

Joyce Maynard

Długi wrześniowy  
weekend

Dla synów, Charliego i Wilsona Bethelów,  
którzy poprzez swój nieskończenie drogi mi przykład  
nauczyli mnie rozumieć serca trzynastolatków.

## Rozdział pierwszy

Po odejściu ojca zostaliśmy we dwoje, matka i ja. Ojciec mówił wprawdzie, że jako członków rodziny powinienem traktować również jego nowo narodzone dziecko, które miał ze swą drugą żoną, Marjorie, a także Richarda, syna Marjorie, młodszego ode mnie o sześć miesięcy, ale za to świetnego we wszystkich dyscyplinach sportu, z którymi ja miałem problemy. Dla mnie jednak rodziną byliśmy tylko my - moja matka Adele i ja. Koniec tematu. Prędzej za członka rodziny uznałbym naszego chomika Joego niż to dziecko o imieniu Chloe.

W sobotnie wieczory, gdy ojciec zabierał nas wszystkich na kolację do Friendly's, zawsze musiałem siedzieć obok niej na tylnym siedzeniu. Później ojciec wyjmował z kieszeni paczkę kart baseballowych, kładł je na stoliku i dzielił równo między mnie i Richarda. Swoje karty zawsze oddawałem Richardowi. Dlaczego nie? Baseball był dla mnie drażliwym i bolesnym tematem. Gdy nauczyciel wychowania fizycznego mówił: „Dobrze, Henry, zagrasz w drużynie niebieskich”, wszyscy członkowie tej drużyny wydawali z siebie jęk zawodu.

Matka właściwie nigdy nie wspominała ani o ojcu, ani o kobiecie, która teraz była jego żoną, ani o jej synu, ani o ich wspólnym dziecku. Kiedy jednak nieopatrznie zostawiłem na stole zdjęcie naszej piątki zrobione rok wcześniej przez ojca, gdy wraz z jego nową rodziną pojechałem do Parku Disneya, wpatrywała się w nie co najmniej minutę. Stała w kuchni, trzymając fotografię w małej bladej dłoni, i przechylała nieco długą zgrabną szyję, tak jakby zdjęcie kryło w sobie jakąś wielką i kłopotliwą tajemnicę. A przecież na fotografii byliśmy tylko my, pięć osób ściśniętych obok siebie w wagoniku karuzeli w kształcie filiżanki do kawy.

- Myślę, że twój ojciec pewnie martwi się, że jego małe dziecko ma jedno oko trochę inne niż drugie - powiedziała wreszcie. - Może to być jedynie drobna wada, a nie upośledzenie, ale na wszelki wypadek powinni chyba przebadać to dziecko. Czy twoim zdaniem mała sprawia wrażenie opóźnionej w rozwoju, Henry?

- Może trochę.

- Wiedziałam. W dodatku wcale nie jest do ciebie podobna.

Dobrze znałem swoją rolę. Wiedziałem, kto jest moją prawdziwą rodziną. Ona.

Takie wspólne wyjścia jak tego dnia były dla mojej matki i dla mnie rzeczą niezwykłą. Generalnie matka nie lubiła nigdzie chodzić, ale teraz potrzebne mi były spodnie do szkoły.

- No dobrze. W takim razie jedziemy do Pricemartu - zdecydowała. Tak jakby fakt, że w ciągu lata urosłem o pół cala, dowodził, że specjalnie chciałem utrudnić jej życie. Tak jakby bez tego miała łatwo.

Samochód odpalił już po pierwszym przekręceniu kluczyka w stacyjce. Było to o tyle dziwne, że minął miesiąc, odkąd ostatni raz korzystaliśmy z auta. Matka jak zwykle jechała powoli, jakby drogę spowijała gęsta mgła albo pokrywał lód, a przecież było lato - ostatnie dni przed rozpoczęciem szkoły, czwartek przed Świętem Pracy (Amerykańskie Święto Pracy (Labor Day) przypada w pierwszy poniedziałek września i nie ma nic wspólnego z obchodzonym 1 maja Międzynarodowym Dniem Solidarności Ludzi Pracy, w Polsce potocznie zwanym Świętem Pracy lub 1 Maja (przyp. tłum.)) - i słońce świeciło bardzo mocno.

To było długie lato. Tuż po zakończeniu roku szkolnego miałem nadzieję, że pojedziemy nad ocean - choćby na jeden dzień - ale matka uznała, że ruch na autostradzie jest zbyt

duży, a poza tym na pewno słońce mnie spali, gdyż mam jego karnację. Oczywiście miała na myśli mojego ojca.

Przez cały czerwiec, od ostatniego szkolnego dzwonka, przez cały lipiec, aż do ostatnich dni sierpnia ciągle miałem nadzieję, że wydarzy się coś dziwnego, ale nic takiego się nie stało. Chodziło mi o coś innego niż przyjazd ojca, wspólne wyjście do Friendly's, gra w kręgle z Richardem, Marjorie i dzieckiem, wycieczka w Góry Białe, gdzie ojciec chciał nam pokazać fabrykę koszyków, lub do miejsca, które chciała odwiedzić Marjorie, gdzie wytwarzano świece o zapachu borówek, cytryny czy imbiru.

Poza tym tego lata bardzo często oglądałem telewizję. Matka nauczyła mnie też układać pasjansa, a gdy mi się to znudziło, zacząłem przeszukiwać takie miejsca w naszym domu, których nikt od dawna nie sprzątał. W ten sposób znalazłem dolara i pięćdziesiąt centów, które bardzo szybko chciałem wydać na kolejną książkę z łamigłówkami. Dzisiaj nawet dziecko tak szalone jak ja bawiłoby się GameBoyem lub grało na PlayStation, wtedy jednak tylko niektóre rodziny miały Nintendo; my w każdym razie nie byliśmy jedną z nich.

W tamtym czasie cały czas myślałem o dziewczynach, ale w moim życiu nie działo się nic, co byłoby z nimi związane, oczywiście, nie licząc moich myśli.

Dopiero co skończyłem trzynaście lat i chciałem wiedzieć o wszystkim, co wiązało się z kobietami i ich ciałami, a także, co ludzie robią ze sobą - naturalnie ludzie przeciwnych płci - i co powinienem zrobić, by zdobyć dziewczynę, i to przed ukończeniem czterdziestego roku życia. Miałem wiele pytań na temat seksu, ale, rzecz jasna, matka nie była osobą, z którą mógłbym to przedyskutować, choć sama nieraz poruszała ten temat. Na przykład wtedy, w samochodzie, w drodze do sklepu.

- Wydaje mi się, że twoje ciało się zmienia - powiedziała, ściskając kierownicę.

I żadnego więcej komentarza.

Wpatrywała się prosto przed siebie, jakby była Luke'em Skywalkerem ściskającym drążki sterownicze myśliwca. W drodze do innej galaktyki. Do centrum handlowego.

Gdy dotarliśmy do sklepu, zaprowadziła mnie do działu chłopięcego i wybraliśmy spodnie. Wzięliśmy także komplet bielizny

- Chyba potrzebne ci są też nowe buty - powiedziała tonem, jakiego używała za każdym razem, gdy byliśmy w miejscach takich jak to. Zupełnie jakby to był kiepski film, ale skoro kupiliśmy bilety, powinniśmy zostać do końca.

- Stare są jeszcze dobre - odparłem. Pomyślałem wówczas, że jeśli kupimy także i buty, to upłynie wiele czasu, zanim znów wrócimy do sklepu, a jeśli ich nie kupimy, to będzie powód, by wrócić niebawem. Gdy już zaczęła się szkoła, potrzebne mi były zeszyty i ołówki, kątomierz i kalkulator. Gdy później wspomniałem o butach, matka zapytała, dlaczego nie powiedziałem o tym wtedy, gdy byliśmy w sklepie. Pokazałem listę pozostałych potrzebnych rzeczy i już więcej nie pytała.

Skończyliśmy więc zakupy w dziale odzieżowym. Wrzuciłem sprawunki do koszyka i poszedłem do działu z prasą i książkami. Zacząłem przeglądać najnowszy numer magazynu „Mad”, chociaż tak naprawdę chciałem przejrzeć „Playboya”. Niestety, wszystkie egzemplarze były zafoliowane.

Z oddali widziałem matkę pchającą wózek alejką między regałami. Szła powoli, jak liść unoszony przez leniwie płynący strumyk. Nie mówiła mi wcześniej, co zamierza kupić, ale później po prostu wszystko to zobaczyłem: poduszkę, o którą można się oprzeć na łóżku i czytać przed

snem; ręczny wentylator na baterie - ale bez baterii; ceramiczne zwierzątko - jeż czy coś w tym stylu - z wyżłobionymi bokami, gdzie wkłada się nasiona i podlewa tak długo, aż zwierzątko pokryje się liśćmi. - To jak zwierzę domowe - powiedziała - ale nie trzeba się martwić o sprzątanie klatki.

- Jedzenie dla chomika - przypomniałem jej. To też było nam potrzebne.

Zagłębiłem się właśnie w wydaniu „Cosmopolitan”; moją uwagę przyciągnął artykuł „Kobiety o mężczyznach: czego nie wiedzą, a wiedzieć powinni”, gdy nagle pochylił się nade mną jakiś człowiek. Stał obok, przy półce, na której leżały magazyny na temat dziewiarstwa i ogrodnictwa. Nigdy nie pomyślałbym, że ktoś tak wyglądający może interesować się podobną tematyką. Mężczyzna wyraźnie chciał ze mną porozmawiać.

- Może mógłbyś mi pomóc? - zapytał.

Spojrzałem na niego. Był wysoki. Na szyi i nieosłoniętych koszulką rękach wyraźnie rysowały się mięśnie. Ubrany był w koszulkę, jakie zwykle noszą pracownicy Pricemartu - czerwoną, z imieniem Vinnie nadrukowanym na kieszonce - a gdy przyjrzałem mu się uważniej, zauważyłem, że jego noga krwawi, a krew przesiąkła przez nogawkę spodni i kapie na but, który bardziej przypominał pantofel.

- Pan krwawi - powiedziałem.

- Wypadłem z okna - odparł tak zwyczajnie, jakby właśnie ugryzł go komar. Może właśnie dlatego nie widziałem w tym wtedy nic dziwnego. A może wszystko było tak dziwne, że jego słowa specjalnie się nie wyróżniały.

- Powinniśmy wezwać pomoc - zaproponowałem. Wiedziałem, że matka nie będzie właściwą osobą, ale oprócz niej w sklepie było przecież wielu innych klientów. Czuję

się dobrze z tym, że spośród wszystkich osób wybrał właśnie mnie. Zwykle sprawy nie toczyły się w taki sposób.

- Nie chcę nikomu sprawiać problemów - powiedział. - Wiele osób boi się widoku krwi. Myślą, że mogą się zarazić jakąś chorobą czy złapać wirusa.

Po warsztatach, które mieliśmy wiosną, doskonale wiedziałem, co ma na myśli. Ludzie byli przekonani, że nie wolno dotykać krwi innych osób, gdyż mogą od tego umrzeć.

- Przyszedłeś tutaj z tamtą kobietą, prawda? - zapytał. Patrzył w kierunku mojej matki, która stała teraz w dziale ogrodniczym i oglądała gumowego węża. Nie mieliśmy węża, ale nie mieliśmy też niczego, co można by nazwać ogrodem.

- Bardzo ładna kobieta - powiedział. Moja matka.

- Chciałbym ją zapytać, czyby mnie nie podwiozła. Będę uważał, żeby nie zabrudzić siedzenia krwią. Gdybyście mogli mnie podrzucić w pewne miejsce. Wygląda na osobę, która byłaby skłonna mi pomóc - rzekł mężczyzna.

Może to jest dobre, a może niedobre w mojej matce, ale taka właśnie jest.

- Dokąd chce pan jechać? - zapytałem. Pomyślałem też, że kierownictwo sklepu chyba niezbyt dobrze troszczy się o swoich pracowników, skoro w przypadku urazów muszą prosić klientów o pomoc.

- Do twojego domu?

Brzmiało to jak pytanie, ale później popatrzył na mnie tak, jakby był postacią ze Srebrnego Surfem, obdarzoną nadnaturalnymi zdolnościami. Położył mi dłoń na ramieniu.

- Szczerze mówiąc, synu, nie mam innego wyjścia. Przyjrzałem mu się uważnie. Zaciśnięta szczęka wskazywała, że cierpi, choć bardzo stara się to ukryć; zaciskał zęby, jakby żuł gwóźdź. Krew na jego spodniach nie była zbyt widoczna, ponieważ były w kolorze granatowym, ale mimo działającej



klimatyzacji dość mocno się pocił. Zauważyłem też, że z boku głowy sączy mu się strużka krwi, sklejjając włosy.

W sklepie była wyprzedaż czapeczek baseballowych. Gdy wziął jedną z nich i założył na głowę, krew była niemal niewidoczna. Wyraźnie także utykał, ale przecież wielu ludzi ma problemy z chodzeniem. Potem zdjął z wieszaka wełnianą kamizelkę i założył ją na firmową koszulkę Pricemartu, a gdy oderwał metkę, domyśliłem się, że nie zamierza za nią płacić. Cóż, może mieli jakieś specjalne zniżki dla pracowników.

- Jeszcze chwilkę - powiedział. - Potrzebuję jeszcze jednej rzeczy. Poczekaj tu na mnie.

Nigdy nie wiedziałem, jak moja matka na coś zareaguje. Czasami, kiedy do drzwi pukał sprzedawca książek religijnych, krzyczała i przepędzała go, gdzie pieprz rośnie, zaś innym razem, gdy wracałem ze szkoły, zastawałem ją siedzącą z kimś na kanapie i pijącą kawę.

- To jest pan Jenkins - wyjaśniała. - Chciał nam opowiedzieć o sierocińcu w Ugandzie, na potrzeby którego zbiera pieniądze. Dzieci jedzą tam tylko raz dziennie i nie mają pieniędzy na zakup ołówków. Za dwanaście dolarów miesięcznie moglibyśmy sponsorować utrzymanie tego małego chłopca o imieniu Arak. Mógłbyś z nim korespondować. Byłby dla ciebie jak brat.

Według mojego ojca miałem już jednego brata, ale wiedzieliśmy przecież, że syn Marjorie się nie liczy.

- Świetnie - powiedziałem. Arak. Matka wypisała czek. Mężczyzna dał nam zdjęcie. Rozmazane, ponieważ była to tylko kserokopia. Matka położyła je na lodówce.

Kiedy indziej na naszym podwórku pojawiła się kobieta w koszuli nocnej. Była bardzo stara i nie wiedziała, gdzie mieszka. Wciąż powtarzała, że szuka swego syna.

Matka zaprosiła ją do domu i zaparzyła kawę. - Dobrze wiem, jak czasem można się zgubić - powiedziała do niej. - Rozwiążemy twój problem.

W takich sytuacjach matka przejmowała kontrolę i podobało mi się, że była przy tym taka normalna. Po kawie i tostach wsadziliśmy kobietę na przednie siedzenie naszego auta - to chyba był ostatni raz, gdy matka prowadziła samochód - i przez długi czas jeździliśmy z nią po okolicy

- Betty, daj mi znać, gdy coś będzie wyglądało znajomo - poprosiła matka.

Choć raz jej wolna jazda miała sens, ponieważ w pewnym momencie jakiś mężczyzna dostrzegł nas i Betty siedzącą z przodu, i zaczął machać ręką.

- Szukaliśmy jej tak długo, że niemal oszaleliśmy - powiedział, gdy matka otworzyła okno. - Jestem bardzo wdzięczny, że się nią zaopiekowaliście.

- Wszystko w porządku - odparła matka. - To była bardzo miła wizyta. Mam nadzieję, że Betty jeszcze kiedyś nas odwiedzi.

- Lubię tę dziewczynę - powiedziała Betty, gdy jej syn przeszedł na drugą stronę auta i odpinał pas, którym była przypięta. - Właśnie z taką dziewczyną powinieneś się ożenić, Eddie. Nie z tą suką.

Z ciekawością przyglądałem się mężczyźnie. Z pewnością nie był przystojny, ale sprawiał wrażenie miłego. Właściwie chciałem mu nawet powiedzieć, że moja matka nie jest już mężatką i że mieszkamy tylko we dwoje. Mógł nas przecież czasem odwiedzić razem z Betty.

- Eddie wyglądał na miłego faceta - powiedziałem, gdy odjechaliśmy. - Może też jest rozwiedziony. Kto wie.

Matkę znaleźliśmy w dziale elektrycznym.

- Skoro już tu jesteśmy, powinniśmy kupić żarówki - powiedziała.

To była dobra wiadomość. Gdy w naszym domu wypalała się jakaś żarówka, najczęściej nic z tym nie robiliśmy, więc z czasem dom stawał się coraz bardziej mroczny. W kuchni działała już tylko jedna żarówka, w dodatku bardzo słaba. Czasami w nocy, gdy chciałem coś zobaczyć, musiałem otwierać lodówkę, by zrobiło się trochę jaśniej.

- Nie wiem wprawdzie, jak je wkręcimy - powiedziała. - Nie sięgnę do tych lamp na suficie.

Wtedy właśnie przedstawiłem jej krwawiącego mężczyznę. Vinnie. Pomyślałem, że wzrost zadziała na jego korzyść.

- Moja matka, Adele - powiedziałem.

- Jestem Frank - przedstawił się.

Nie po raz pierwszy ktoś okazał się kimś innym, niż myślałem. Najwyraźniej Frank założył niewłaściwą koszulkę.

- Masz dobrego chłopaka, Adele - powiedział. - Był na tyle uprzejmy, że zaoferował mi podwiezienie. Może mógłbym się odwdzięczyć za przysługę, pomagając przy tym.

Wskazał na żarówki.

- I wszystkim innym, co jest do zrobienia w twoim domu - dodał. - Na niewielu rzeczach się nie znam.

Matka przyjrzała mu się uważnie. Mimo że założył czapkę, na policzku można było dostrzec trochę zaschniętej krwi. Matka jednak zachowywała się tak, jakby tego nie dostrzegła, a jeśli nawet, to nie przywiązywała do tego najmniejszej wagi.

Razem przeszliśmy przez kasę. Frank wyjaśnił matce, że zapłaci za moją książkę z łamigłówkami, chociaż akurat teraz nie może tego zrobić, bo jego fundusze są bardzo ograniczone. Rzecz jasna, o czapce i wełnianej kamizelce w ogóle nie powiedział kasjerowi.

Poza moimi nowymi ubraniami, węzem ogrodowym, poduszką, ceramicznym jeżem, żarówkami i wentylatorem

matka kupiła także drewnianą paletkę z plastikową piłką przytwierdzoną na gumce, którą należało uderzać jak najwięcej razy z rzędu.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę - powiedziała, kładąc zabawkę na taśmie prowadzącej do kasy.

Nie miałem ochoty wyjaśniać, że podobnymi rzeczami nie bawię się mniej więcej od szóstego roku życia, ale wtedy odezwał się Frank:

- Taki chłopak potrzebuje prawdziwej piłki baseballowej. Potem zdarzyło się coś zaskakującego: wyjął z kieszeni taką właśnie piłkę. Wciąż przyczepiona do niej była metka z ceną.

- Gwiżdżę na baseball - powiedziałem.

- Ale może kiedyś... - odparł. Dotykał palcami szwów na piłce i wpatrywał się w nią tak uporczywie, jakby to, co trzymał w dłoni, było całym jego światem.

Wychodząc ze sklepu, Frank wziął jedną z ulotek, które rozdawano przy drzwiach, a potem rozłożył ją na tylnym siedzeniu naszego samochodu. - Nie chcę ci zakrwawić tapicerki, Adele - wyjaśnił. - Jeśli mogę tak do ciebie mówić.

Matki innych chłopaków pewnie zadałyby mu całą serię pytań. Albo, co bardziej prawdopodobne, w ogóle nie wzięłyby go do samochodu. Tymczasem moja matka po prostu jechała. Zastanawiałem się, czy Frank będzie miał jakieś kłopoty w związku z opuszczeniem miejsca pracy, ale jeśli nawet, to najwyraźniej się tym nie przejmował.

Miałem wrażenie, że z całej naszej trójki tylko ja się czymkolwiek przejmuję. Czuję, że w tej sytuacji powinienem coś zrobić, ale jak zwykle nie wiedziałem co. W dodatku Frank wyglądał na tak spokojnego i pewnego siebie, że chciało się robić to samo co on. Nawet jeśli, mimo wszystko, jechał razem z nami.

- Mam szósty zmysł, jeśli chodzi o wyczucie ludzi - zwrócił się do mojej matki. - Rozejrzałem się po ogromnym

sklepie i od razu wiedziałem, że powinienem zwrócić się do ciebie. Nie będę kłamał. To bardzo trudna sytuacja. Wielu ludzi w tym momencie w ogóle nie chciałoby mieć ze mną nic wspólnego. Kieruję się instynktem, który podpowiada mi, że jesteś osobą pełną zrozumienia.

- Świat nie jest zbyt łatwym miejscem do życia - kontynuował. - Czasem trzeba rzucić wszystko, zatrzymać się i zastanowić. Zebrać myśli. Odpocząć przez chwilę.

W tym momencie popatrzyłem na matkę. Właśnie jechaliśmy przez Main Street, mijaliśmy pocztę, aptekę, bank i bibliotekę. Wszystkie stare, znajome miejsca, ale wcześniej nie jechałem tu w towarzystwie kogoś takiego jak Frank. Tłumaczył właśnie mojej matce, że na podstawie odgłosów można wywnioskować, iż tarcze hamulcowe najprawdopodobniej są już mocno zużyte. Powiedział też, że jeśli będzie miał do dyspozycji trochę narzędzi, chętnie się tym zajmie.

Siedziałem na przednim siedzeniu i obserwowałem twarz matki, ciekaw, czy zmieniła się po słowach Franka. Czułem bicie serca i ucisk w klatce piersiowej - nie był to strach, ale coś bardzo mu bliskiego, choć dziwnie przyjemnego. Tego samego uczucia doznałem, gdy ojciec zabrał Richarda, mnie, Marjorie i ich małe dziecko do Disney World; wszyscy poza Marjorie i dzieckiem zajęliśmy miejsca w wagoniku wjeżdżającym do Kosmicznej Góry. W pierwszej chwili chciałem wysiąść, i to zanim ruszyliśmy, ale później zgasły światła, rozbrzmiała muzyka, a Richard szturchnął mnie i powiedział: - Jeśli będziesz wymiotować, rób to w drugą stronę.

- Dziś jest mój szczęśliwy dzień - stwierdził Frank. - Może również i wasz.

Od razu wiedziałem, że czekają nas zmiany. Wjeżdżaliśmy do wnętrza Kosmicznej Góry, do mrocznego

miejsca, w którym grunt może uciec spod nóg i gdzie nie będziemy mieli pojęcia, dokąd prowadzi nas ten samochód. Może wrócimy z tej podróży, a może nie.

Jeżeli moja matka miała takie same odczucia, nie dała tego po sobie poznać. Po prostu trzymała kierownicę i patrzyła prosto przed siebie, tak jak wcześniej, przez całą drogę aż do domu.

## Rozdział drugi

W miasteczku Holton Mills w stanie New Hampshire - gdzie wówczas mieszkaliśmy - wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli. Ludzie zauważali, że pomiędzy jednym a drugim koszeniem trawnika w twoim ogródku źdźbła urosły nieco bardziej niż poprzednio, a jeśli pomalowałeś dom na jakiś inny kolor niż biały, być może nie mówili ci tego wprost, ale za plecami obgadywali cię na całego. Tymczasem moja matka chciała tylko jednego - by dano jej święty spokój. Był czas, kiedy uwielbiała być na scenie, chciała, by każdy podziwiał jej występ, ale teraz głównym jej celem było pozostawanie niewidzialną albo możliwie najmniej widoczną.

Jedną z zalet naszego domu było, zdaniem matki, jego położenie - na końcu drogi, z dala od innych domów, z wielkim polem z tyłu, otwierającym się tylko na drzewa. Samochody bardzo rzadko tędy przejeżdżały; chyba że ktoś pomylił drogę i musiał zawrócić. Rzadko kiedy ktoś do nas zaglądał, naturalnie nie licząc ludzi takich jak tamten mężczyzna zbierający pieniądze na sierociniec, z religijnym posłaniem lub zbierających podpisy pod jakimiś petycjami.

Ale kiedyś było inaczej. Składaliśmy wizyty sąsiadom i zapraszaliśmy ich do nas. Teraz matka miała raptem jedną przyjaciółkę, ale nawet ona coraz rzadziej ją odwiedzała. Evelyn.

Moja matka i Evelyn poznały się mniej więcej wtedy, gdy odszedł mój ojciec. Matka wpadła wówczas na pomysł, by zorganizować w naszym domu zajęcia z rytmiki dla dzieci - był to rodzaj aktywności, w której później trudno byłoby ją sobie wyobrazić. Rozkleiła ulotki na mieście i wykupiła reklamę w lokalnej gazecie. Wyobrażała sobie, że inne matki przyjdą do nas ze swoimi dziećmi, ona włączy muzykę, rozda dzieciom szale i wstążki i wszyscy będą tańczyć. Po zabawie miał być czas na przekąski. Gdyby zjawiło się wystarczająco

dużo osób, nie musiałyby wychodzić z domu i zajmować się szukaniem normalnej pracy, co zupełnie nie było w jej stylu.

W przygotowanie tego przedsięwzięcia włożyła dużo serca. Uszyła wiele małych mat oraz wyniosła z salonu wszystkie meble; to ostatnie akurat nie wymagało zbyt wiele wysiłku. Kupiła również dywanik na podłogę, który wcześniej zamówił ktoś inny, ale ostatecznie za niego nie zapłacił.

Byłem wtedy bardzo mały, ale dobrze pamiętam dzień, w którym miała się odbyć pierwsza lekcja. Matka udekorowała pokój świecami i upiekła zdrowe ciasteczka - z pełnoziarnistej mąki zbożowej, z miodem zamiast cukru. Nie chciałem brać udziału w zajęciach, więc powiedziała, że mogę zająć się obsługą magnetofonu i mieć na oku młodsze dzieci, podczas gdy ona będzie się zajmować starszymi, a na koniec podam przekąski. Rankiem przed pierwszą lekcją odbyliśmy trening na sucho. Pokazała mi, co mam robić, i przypomniała, że będę musiał pomóc małym dzieciom, które pójdą do toalety, na przykład zapiąć suwak u spodni.

Zbliżała się godzina, kiedy mieli pojawić się pierwsi klienci. Czas mijał i wciąż nie było nikogo.

Mniej więcej pół godziny po spodziewanym początku zajęć pojawiła się kobieta z chłopcem na wózku inwalidzkim. Była to Evelyn i jej syn Barry. Sądząc po wzroście, był mniej więcej w moim wieku. Nie umiał jednak mówić, tylko wydawał różne odgłosy, i to w najmniej oczekiwanych momentach, zupełnie jakby oglądał film, którego nikt inny nie widzi, i nagle była w nim jakaś śmieszna scena, a chwilę później zachowywał się tak, jakby jego ulubiony bohater właśnie zginął - chował głowę w dłoniach, co zresztą nie było takie łatwe, bo ręce wciąż uciekały mu na boki, podobnie jak głowa, ale niekoniecznie w tym samym kierunku. I tak siedział w swym wózku, wydając niekontrolowane dźwięki.



Evelyn najwyraźniej była przekonana, że zajęcia z rozwoju ruchowego mogą być korzystne dla Barry'ego, ale, moim zdaniem, i bez nich poruszał się w całkiem interesujący sposób. Matka zdobyła się jednak na wielki wysiłek. Wraz z Evelyn położyła Barry'ego na jednej z tych specjalnych mat, włączyła płytę, którą lubiła - muzykę z filmu *Guys and Dolls* - i pokazała Evelyn i Barry'emu ruchy do piosenki *Luck Be a Lady Tonight*. Evelyn przejawiała pewien talent, mówiła później matka; Barry'emu jednak poruszanie się do rytmu zupełnie nie odpowiadało.

Zajęcia skończyły się po pierwszym spotkaniu, ale kobiety zaprzyjaźniły się. Odtąd Evelyn często przychodziła razem z Barrym siedzącym w zbyt dużym wózku, a matka zaparzała wówczas dzbanek kawy Evelyn stawiała Barry'ego na werandzie z tyłu domu, a matka mówiła, żebym się z nim bawił. Potem Evelyn paliła papierosy i opowiadała, a moja matka słuchała. Od czasu do czasu przypominam sobie niektóre słowa, takie jak: „skandaliczna opieka nad dzieckiem”, „stawić czoło jego obowiązkom”, „krzyż, który niosę” lub „obibok i pasożyt”. Zawsze mówiła Evelyn, nigdy moja matka; zwykle jednak potrafiłem się wtedy po prostu wyłączyć.

Starałem się wymyślać rzeczy, które mógłby robić Barry, gry, które mogłyby go zainteresować, ale było to poważne wyzwanie. Pewnego razu, gdy byłem naprawdę znudzony, wpadłem na pomysł, by mówić do niego w wymyślonym języku - wydawałem odgłosy podobne do tych, które on wydawał z siebie od czasu do czasu. Usiadłem przed jego wózkiem i mówiłem tak do niego, gestykulując przy tym rękoma, zupełnie jakbym opowiadał jakąś skomplikowaną historię.

To najwyraźniej pobudziło Barry'ego. Przynajmniej wydawał z siebie więcej odgłosów niż wcześniej. Huczał,

krzyczał i wymachiwał rękami o wiele intensywniej niż zwykle. Słyszając to, matka i Evelyn przybiegły na ganek.

- Co się tutaj dzieje? - zapytała Evelyn. Z wyrazu jej twarzy wywnioskowałem, że nie jest zbyt zadowolona. Podbiegła do wózka, w którym siedział Barry, i zaczęła gładzić jego włosy.

- Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś swojemu synowi naśmiewać się z Barry'ego w taki sposób - zwróciła się do mojej matki. Pakowała rzeczy Barry'ego i zbierała papierosy - Myślałam, że jesteś jedyną osobą, która mnie rozumie.

- Przecież chłopcy tylko się bawili - odparła matka. - Nic się nie stało. Henry to dobry chłopak.

Ale Evelyn i Barry już wychodzili.

Po tym wydarzeniu niemal ich nie widywaliśmy, co, moim zdaniem, nie było wielką stratą, ale miałem świadomość, jak samotna jest moja matka pozbawiona jakichkolwiek przyjaciół. Przecież poza Evelyn nie miała nikogo.

Pewnego razu kolega z klasy, Ryan, zaprosił mnie do siebie na noc. Był nowy w naszym mieście i jeszcze nie wiedział, że nie jestem kimś, kogo ludzie zapraszają do swoich domów. Chętnie przyjąłem zaproszenie. Gdy jego ojciec przyjechał po mnie, byłem gotowy do wyjścia. W reklamówce miałem szczoteczkę do zębów i bieliznę na następny dzień.

- Myślę, że najpierw powinienem przedstawić się twoim rodzicom - powiedział ojciec Ryana, gdy wsiadałem do samochodu. - Nie chcę, żeby się martwili.

- Rodzicowi - odparłem. - Mieszkam tylko z mamą. Ona nie ma nic przeciwko temu.

- Wejdę na moment i przywitam się - odparł.

Nie wiem, co powiedziała mu moja matka, ale gdy wyszedł, popatrzył na mnie tak, jakby mi współczuł.

- Możesz przychodzić do nas, kiedy tylko zechcesz, synu  
- zwrócił się do mnie. Był to jednak jedyny raz, gdy u nich byłem.

Przywiezienie Franka do naszego domu było ogromnym wydarzeniem. Prawdopodobnie był pierwszym naszym gościem od roku. Może nawet od dwóch lat.

- Musisz nam wybaczyć bałagan - odezwała się matka, gdy wjeżdżaliśmy na podwórko. - Byliśmy bardzo zajęci.

Popatrzyłem na nią. Zajęci? Czym?

Otworzyła drzwi do domu. Chomik Joe biegał w swoim kółku. Na kuchennym stole leżała gazeta sprzed kilku tygodni. Na meblach wisiały karteczki z hiszpańskimi słowami napisanymi czarnym mazakiem: Mesa. Silla. Aqua. Basura. Poza grą na cymbałkach nauka hiszpańskiego była kolejnym projektem matki, mającym wypełnić nam czas w okresie wakacji. Zaczęła już w czerwcu od puszczenia kaset, które przyniosła z biblioteki. *Dónde esta el bano? Cuanto kuesta el hotel?*

Taśmy były przeznaczone dla turystów i podróżników. - Jaki to ma sens? - zapytałem. Chciałem, by po prostu włączyła radio i byśmy posłuchali muzyki. Nie wybieraliśmy się przecież do żadnego hiszpańskojęzycznego kraju. Wystarczająco wielkim osiągnięciem był już wyjazd do supermarketu, który organizowaliśmy mniej więcej raz na sześć tygodni.

- Nigdy nie wiesz, co cię czeka w przyszłości - odparła wtedy.

Teraz okazało się, że jest też inny sposób na poznanie nowych rzeczy. Nie musisz nigdzie wyjeżdżać, by przeżyć przygodę. Przygoda sama przychodzi do ciebie.

Była teraz w naszej kuchni, z jej pełnymi nadziei żółtymi ścianami, jedną świecącą żarówką i zeszłorocznym

ceramicznym zwierzątkiem - świnką pełniącą rolę doniczki - obrośniętym kielkami, które już dawno zbrązowiały i uschły.

Frank rozejrzał się powoli. Potem przeszedł tak, jakby nie było nic dziwnego w kuchni, w której jedną ze ścian zdobił stos pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu puszek zupy Campbella, zupełnie jak na wystawie supermarketu w wymarłym mieście, a obok stała równie wysoka sterta pudełek z makaronem, słoików z masłem orzechowym i torebek z rodzynkami. Na podłodze wciąż były widoczne odciski stóp, które matka namalowała zeszłego lata, chcąc mnie nauczyć tańczyć fokstrotą i dwukroku. Zgodnie z jej pomysłem miałem stawiać stopy na tych znakach, podczas gdy ona, jako moja partnerka, odmierzała rytm.

- To wspinała rzecz, gdy mężczyzna potrafi tańczyć - powiedziała. - Gdy człowiek umie tańczyć, świat leży u jego stóp.

- Ładny dom - powiedział Frank. - Przytulny. Mogę usiąść przy stole?

- Jaką chcesz kawę? - zapytała matka. Sobie zrobiła czarną. Czasami można było odnieść wrażenie, że była to jedyna rzecz, której potrzebowała do życia. Zupy i makaron kupowała z myślą o mnie.

Frank z uwagą studiował gazetę leżącą na stole, mimo iż była sprzed dobrych kilku tygodni. Najwyraźniej ani on, ani ona nie mieli zamiaru się odzywać, więc postanowiłem przełamać lody.

- Jak skaleczyłeś sobie nogę? - spytałem. Miałem również w zanadrzu pytanie o to, co zrobił sobie w głowę, ale postanowiłem nie pytać o więcej niż jedną rzecz równocześnie.

- Będę z tobą szczery, Henry - odparł. Byłem zdziwiony, że zwrócił się do mnie po imieniu. Po chwili odezwał się do mojej matki: - Ze śmietanką i cukrem. Dziękuję, Adele.

Stała plecami do nas i starannie odmierzała łyżeczki. Frank chyba chciał powiedzieć jeszcze coś do mnie, ale wciąż patrzył na moją matkę, a ja po raz pierwszy wyobraziłem sobie, jak może postrzegać ją osoba niebędąca jej synem.

- Twoja mama wygląda jak Ginger z filmu Gilligan's Island, który widzieliśmy w kinie - powiedziała mi pewnego razu dziewczyna o imieniu Rachel. Było to w piątej klasie, gdy moja matka wyjątkowo pojawiła się na szkolnym przedstawieniu Rip Van Winkle, w którym odgrywałem rolę Ripa. Rachel doszła nawet do wniosku, że moja matka być może naprawdę jest aktorką, która grała rolę Ginger, a mieszkamy tu tylko dlatego, że chciała uciec od fanów i stresów związanych z życiem w Hollywood.

W tym czasie nie byłem pewien, czy mam ochotę obalać tę teorię. Był to chyba lepszy powód, dla którego matka niemal nie wychodziła z domu, niż ten prawdziwy. Niezależnie od tego, jaki był ten prawdziwy

Mimo że była matką - nie jakąś tam matką, tylko moją matką - i była ubrana w starą spódnicę i body, które miała pewnie od tysiący lat, dostrzegałem, że inni mogą uznawać ją za ładną kobietę. Nawet więcej niż ładną. Większość matek, które o piętnastej przyjeżdżały pod szkołę, by odebrać swoje dzieci, lub biegły za nimi z zapomnianą pracą domową, gdzieś po drodze, prawdopodobnie po urodzeniu dzieci straciła figurę. To samo stało się z obecną żoną mojego ojca, Marjorie, mimo że - co zawsze podkreślała moja matka - była przecież młodsza.

Moja matka wciąż miała świetną figurę. Wiem to, bo chcąc sprawdzić, czy jej stary strój taneczny będzie dobry na mnie, przymierzyła go i bez trudu się zmieściła. I choć jedynym miejscem, w którym obecnie tańczyła, była jej kuchnia, wciąż miała nogi tancerki. A Frank w tej właśnie chwili patrzył na te nogi.

- Nie zamierzam cię okłamywać - powiedział. Mówił powoli, ze wzrokiem ciągle wpatrzonym w moją matkę. Właśnie wlewała wodę do czajnika. Być może wiedziała, że jest obserwowana, dlatego zupełnie się nie spieszyła.

Przez dobrą minutę Frank sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby przebywał daleko stąd. Można by pomyśleć, że właśnie oglądał film wyświetlany na ekranie umieszczonym gdzieś w sąsiedztwie lodówki, na której wciąż widniało zdjęcie mojego afrykańskiego przyjaciela Araka. Frank zdawał się koncentrować na jakimś odległym miejscu w kosmicznej przestrzeni, a nie na tym, co było w pomieszczeniu, czyli na mnie siedzącym przy stole i przeglądającym komiks i mojej matce robiącej kawę.

- Zraniłem się w nogę - powiedział - w nogę i głowę, ponieważ wyskoczyłem z drugiego piętra szpitala, do którego zabrano mnie na operację wycięcia wyrostka robaczkowego. Więziennego szpitala - dodał. - Tak, właśnie uciekłem.

Niektórzy ludzie przed udzieleniem odpowiedzi, która może stawiać ich w niezbyt korzystnym świetle, wymyślają rozmaite wyjaśnienia (na pytanie „gdzie pracujesz” odpowiadają „w McDonalddie”, ale zawsze dodają, że tak naprawdę są aktorami lub właśnie ubiegają się o miejsce w Akademii Medycznej; ewentualnie starają się przedstawić fakty w nieco inny sposób, mówiąc na przykład, że pracują w dziale sprzedaży, kiedy w rzeczywistości są telemarketerami i wydzwanają do ciebie, starając się za wszelką cenę wcisnąć ci prenumeratę jakiejś gazety).

Frank jednak niczego nie wymyślał. - Więzienie stanowe w Stinchfield - powiedział. Podniósł koszulę i pokazał trzecią ranę, o której nie mogliśmy wiedzieć, gdyż akurat była zakryta opatrunkiem. Miejsce wycięcia wyrostka robaczkowego. Najwyraźniej stało się to całkiem niedawno.

Matka odwróciła się i spojrzała. W jednej ręce trzymała dzbanek z kawą, a w drugiej kubek. Wlała kawę. Później postawiła na stole mleko w proszku i cukier.

- Nie mamy śmietanki - powiedziała.

- Nic nie szkodzi - odparł Frank.

- Uciekłeś? - zapytał. - Więc teraz szuka cię policja? - Byłem przestraszony, a jednocześnie podekscytowany. Wiedziałem, że w końcu w naszym życiu coś się wydarzy. Może będzie źle, może będzie strasznie, ale jedno było pewne - będzie inaczej.

- Uciekłbym dużo dalej - powiedział - gdyby nie ta cholerna noga. Nie mogłem biec. Ktoś mnie zauważył i już deptali mi po piętach. Wtedy ukryłem się w sklepie, w którym was znalazłem. Właśnie tam zgubili mój ślad, na parkingu.

Wsypał cukier do kubka z kawą. Trzy pełne łyżeczki. - Byłbym wdzięczny, gdybym mógł tutaj zostać przez pewien czas - powiedział. - Ciężko byłoby mi tam wrócić. Uszkodziłem się nieco podczas lądowania.

To była jedna z rzeczy, co do której moja matka i Frank byli zgodni: że bardzo ciężko było wyjść do ludzi.

- Nie śmiałybym was prosić o cokolwiek - powiedział. - Będę się starał pomóc. W życiu nigdy nikogo umyślnie nie skrzywdziłem.

- Możesz tu zostać na chwilę - odparła matka. - Ale nie mogę pozwolić, by cokolwiek stało się Henry'emu.

- Chłopak nigdy nie był w lepszych rękach - powiedział Frank.

### Rozdział trzeci

Moja matka była dobrą tancerką. Nawet więcej niż dobrą. Tańczyła w taki sposób, że mogłaby występować w filmach, gdyby jeszcze powstawały takie, w których ludzie tak właśnie tańczą. Mieliśmy kilka starych filmów na kasetach wideo i nauczyła się paru układów tanecznych. Na przykład z Deszczowej piosenki, kiedy zakochany mężczyzna kręci się wokół ulicznej lampy, oraz tego wykonywanego przez dziewczynę w płaszczu przeciwdeszczowym. Wykonała ten numer w samym centrum Bostonu, w czasach, gdy jeszcze wyjeżdżaliśmy z domu. Zabrała mnie wtedy do muzeum nauki, a gdy wyszliśmy na zewnątrz, akurat zaczęło padać. Tuż obok była latarnia, więc po prostu zaczęła tańczyć. Później, gdy robiła takie rzeczy, czułem się zawstydzony, ale wtedy byłem dumny.

Dzięki tańcowi zresztą poznała mojego ojca. Pomijając inne rzeczy, które mogła powiedzieć mi na jego temat, twierdziła, że był facetem, który wiedział, jak prowadzić kobietę na parkiecie, co w jej ocenie oznaczało bardzo dużo. Niewiele pamiętam z czasów, gdy moi rodzice byli jeszcze razem, ale pamiętam jedno - że tańczyli. I choć byłem bardzo młody, rozumiałem, że byli w tym najlepsi.

- Niektórzy mężczyźni po prostu kładą rękę na twoim ramieniu lub delikatnie opierają ją na plecach - mówiła. - Dobrzy tancerze wiedzą, że musi być odpowiedni, silny ucisk. Coś, o co można się oprzeć.

Sposób trzymania partnerki na parkiecie był tylko jedną z rzeczy, co do których matka miała sprecyzowane poglądy. Uważała również, że kuchenki mikrofalowe powodują rak i bezpłodność, i dlatego - chociaż my też mieliśmy jedną w domu - kazała mi obiecać, że gdy będę w kuchni mojego ojca, a Marjorie akurat będzie coś podgrzewać, osłonię swoje krocze grubą książką kucharską.



Pewnego razu przyśniło jej się, że wkrótce Floryda zostanie zmieciona przez ogromne tsunami, co było oczywistym dowodem na to, że nie powinienem jechać do Disney World z ojcem i Marjorie; nieistotne było, że Orlando leży w głębi lądu. Uznała też, że nasza sąsiadka, Ellen Farnsworth, została wynajęta przez mojego ojca do zbierania informacji, które miały pomóc mu wygrać sprawę rozwodową. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że dzień po telefonie od ojca, który domagał się, by matka przywiozła mnie na testy do Małej Ligi, pani Farnsworth zatrzymała się i zapytała, czy może trzeba mnie podwieźć. Z jakiego innego powodu przyszłaby też do nas pożyczyć jedno jajko, którego zabrakło jej w trakcie robienia czekoladowych ciasteczek? - Chciała nas po prostu sprawdzić - mówiła matka. - Chciała zebrać informacje, które zadziałają na naszą niekorzyść.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby ta kobieta założyła w naszym domu podsłuch - mówiła. - Mikrofony są teraz tak małe, że można je ukryć na przykład w solniczce. - Halo, Ellen! - zawołała nad solniczką niemal śpiewająco.

Kiedyś podziwiałem ją za to, że wiedziała o takich rzeczach, a także za to, że gdy już je odkryła, wiedziała, jak sobie z nimi poradzić. Ale później mi przeszło.

Co do testów do Małej Ligi: - Mała Liga to po prostu jedna z tych organizacji, które ograniczają kreatywność dzieci przez zmuszanie ich do postępowania według określonych reguł - mówiła matka.

- Jak na przykład to, że pozwalają tylko na trzy uderzenia? - zapytałem. - Albo to, że wygrywa drużyna, która zdobędzie więcej baz?

Rzecz jasna, udawałem mądrałę. Nienawidziłem baseballu, ale czasami nienawidziłem również tego, że matka we wszystkim, co robią inni ludzie, szukała czegoś, co

dowodziłoby, że nie jest to rzecz w naszym typie. I dlaczego ci ludzie także nie byli w naszym typie.

- Co w ogóle dzieje się z tą kobietą? - mówiła krótko po tym, jak pani Farnsworth urodziła czwarte dziecko. - Za każdym razem, gdy ją widzę, ma kolejnego dzieciaka.

Na takie właśnie tematy najczęściej rozmawialiśmy przy obiedzie. To znaczy mówiła matka. Ja słuchałem. Matka uważała, że podczas posiłku telewizor powinien być wyłączony. Jej zdaniem przy stole powinna toczyć się rozmowa.

W kuchni, przy świetle naszej ostatniej sprawnej żarówki, podczas jedzenia mrożonych posiłków (odgrzewanych wyłącznie w piekarniku, nigdy w kuchence mikrofalowej), matka mówiła o tym, że metody antykoncepcji stosowane przez panią Farnsworth muszą być niewłaściwe - może kapturek naszyjkowy? - i opowiadała mi historie ze swojego życia, ale jedynie z dawnych czasów. Wtedy właśnie, gdy odstawiła tacę i nalała sobie wina, dowiedziałem się wszystkiego.

- Twój ojciec był bardzo przystojnym mężczyzną - powiedziała. - Ty też będziesz tak przystojny - dodała. Pewnego razu, krótko po ślubie, wysłała jego zdjęcie do kogoś w Hollywood, gdyż myślała, że ojciec może zostać gwiazdą filmową.

- Ale nigdy nie odpisali - przyznała. Wyglądała na zaskoczoną.

Ojciec pochodził z tego miasteczka. Poznała go na ślubie koleżanki, z którą chodziła do szkoły w Massachusetts na Północnym Wybrzeżu.

- Nawet nie wiem, dlaczego Cheryl mnie zaprosiła - powiedziała. - Nie byliśmy aż tak wielkimi przyjaciółkami. Ale można było na mnie liczyć za każdym razem, gdy chodziło o taniec.

Ojciec przyszedł na wesele z kimś innym. Matka przyszła sama, ale jej to bardziej odpowiadało. - W ten sposób nie spędzisz całej nocy z kimś, kto nie potrafi tańczyć.

Mój ojciec potrafił. Przed końcem wieczoru ludzie na parkiecie utworzyli koło, wewnątrz którego tańczyli tylko oni dwoje. Prowadził ją tak, że wykonywała ewolucje, na jakie nigdy wcześniej się nie zdobyła, jak chociażby pionowy obrót wokół własnej osi, dlatego była zadowolona, że założyła czerwone majtki.

Równie dobrze całował. Gdy się poznali, spędzili w łóżku cały weekend, a także trzy pierwsze dni kolejnego tygodnia. Raczej nie powinienem wysłuchiwać takich rzeczy, ale matki to nie powstrzymywało. Przy drugiej lampce wina nie rozmawiała już bezpośrednio ze mną. Mówiła ot tak po prostu.

- Gdybyśmy mogli tak tańczyć bez końca - powiedziała. - Gdybyśmy nie musieli skończyć z tańcem, wciąż wszystko byłoby w najlepszym porządku.

Rzuciła pracę w biurze podróży i przeprowadziła się do niego. Wtedy jeszcze nie był agentem ubezpieczeniowym. Miał furgonetkę, którą jeździł po okolicy i sprzedawał na targach hot dogi i popcorn. Jeździła z nim, a czasem nawet nie wracali do domu, szczególnie wtedy, gdy ruszali gdzieś na północ lub nad ocean. Pod siedzeniem zawsze trzymali śpiwór. Jeden w zupełności im wystarczał.

- Oczywiście była to typowo sezonowa praca - wyjaśniła. Wraz z nadejściem zimy udawali się na Florydę. Przez krótki czas pracowała, podając margaritę w jednym z barów w Fort Lauderdale. On z kolei sprzedawał hot dogi na plaży. Zaś wieczorami chodzili na potańcówki.

Gdy matka opowiadała te historie, starałem się jeść bardzo wolno, wiedziałem bowiem, że po skończonym posiłku przypomni sobie, gdzie jesteśmy i po prostu odejdzie od stołu. Kiedy mówiła o dawnych czasach, o dniach spędzonych na

Florydzie, o furgonetce z hot dogami, o planach wyjazdu do Kalifornii, by spróbować dostać się do jakiegoś tanecznego programu telewizyjnego, coś działo się z jej twarzą. Coś, co zdarza się ludziom, gdy usłyszą w radio piosenkę z czasów ich młodości lub zobaczą psa przypominającego im tego, którego sami niegdyś posiadali. Przez chwilę wyglądała jak moja babcia w dniu, w którym dowiedziała się o śmierci Reda Skeltona, i jak ona sama w dniu, kiedy mój ojciec podjechał na podwórko przed naszym domem i stanął w drzwiach, trzymając na rękach dziecko, które nazwał moją siostrą. Wówczas nie było go z nami już od roku, ale moment, w którym matka zobaczyła to dziecko, był najgorszy.

- Zapomniałam, jak wyglądają takie małe dzieci - powiedziała, gdy już wyszedł, a jej twarz była przy tym taka. roztopiona. Choć może „wymięta” byłoby lepszym określeniem. I nagle zmieniła się. - Ty byłeś dużo ładniejszy - powiedziała.

W czasach, gdy jeszcze zabierała mnie w różne miejsca, podczas jazdy opowiadała mi rozmaite historie. Kiedy jednak zaczęła przesiadywać w domu, obiady były jedyną okazją do posłuchania jej opowieści, i nawet jeśli były one smutne, nigdy nie chciałem, by się skończyły. Niestety, zawsze wraz z odłożeniem widelca opowieść urywała się, nawet jeśli nie dobiegła końca - a zwykle były to historie bez końca - i twarz matki zmieniała się.

- Lepiej pozmywajmy naczynia - mówiła. - Masz jeszcze zadanie domowe do odrobienia.

Prawdziwy koniec nastąpił wtedy, gdy moi rodzice przeprowadzili się na północ i sprzedali furgonetkę z hot dogami.

- W telewizji nie było już takich programów jak wówczas, gdy dorastaliśmy - powiedziała. Nie potrzebowali tancerzy.

Przejechali przez cały kraj i nawet nie zauważyli, że takie programy jak The Sonny and Cher Show czy The Glen Campbell Hour zniknęły. Chociaż w zasadzie nie był to problem, bo największym marzeniem matki nigdy nie była kariera tancerki ani udział w programie telewizyjnym. Chciała mieć dziecko.

- Wtedy pojawiłeś się ty - rzekła. - W ten sposób spełniło się moje marzenie.

Ojciec znalazł pracę jako agent ubezpieczeniowy. Jego specjalnością były wypadła i kalectwo. Nikt nie potrafił szybciej niż on obliczyć, ile pieniędzy dana osoba otrzyma za utratę dłoni lub dłoni i nogi, lub dwóch nóg, lub za bonanzę, czyli utratę czterech kończyn; w tym ostatnim przypadku, jeśli człowiek był sprytny i wcześniej wykupił ubezpieczenie od mojego ojca, mógł zostać milionerem do końca życia.

Matka została wówczas ze mną w domu. Mieszkali u matki mojego ojca, a po jej śmierci odziedziczyli dom. Nie był to jednak ten, w którym mieszkaliśmy po ich rozwodzie. W tamtym starym mieszkali teraz ojciec wraz z Marjorie, Richardem i Chloe. Wziął drugi kredyt hipoteczny, by spłacić moją matkę, dzięki czemu mieliśmy pieniądze na zakup domu, w którym obecnie mieszkaliśmy. Ten był mniejszy, w ogrodzie nie było drzewa, na którym wisiała moja huśtawka, ale okazał się wystarczająco przestronny dla całej naszej rodziny, czyli dla matki i dla mnie.

Takich historii jednak nie opowiadała mi przy obiedzie. Tę część poskładałem samodzielnie oraz na podstawie rozmów podczas sobotnich wypadów na obiad z moim ojcem i Marjorie, gdy czasem ojciec mówił coś w stylu: „gdyby matka nie wyciągnęła ode mnie tych pieniędzy na dom”, a Marjorie, zaciskając wargi, pytała, czy matka znalazła wreszcie jakąś normalną pracę.

Problem mojej matki z wychodzeniem z domu trwał już tak długo, że nawet nie pamiętam, kiedy się zaczął. Wiedziałem jednak, co o tym myśli - że to nie jest dobry pomysł.

- Chodzi przede wszystkim o dzieci - mówiła. - Wszędzie słychać płaczące dzieci i matki wpychające im smoczki do ust - tłumaczyła. Mówiła też o innych rzeczach - o pogodzie i korkach ulicznych, elektrowniach atomowych, niebezpiecznym promieniowaniu linii wysokiego napięcia. Najbardziej jednak chodziło jej o dzieci i ich matki.

- Nigdy nie zwracają uwagi na dzieci - mówiła. - Tak jakby samo urodzenie dziecka było już wielkim osiągnięciem, a cała reszta jest kieratem, przez który muszą przebrnąć jak najmniejszym nakładem sił, karmiąc dzieci wodą sodową i puszczając im bajki na wideo (to właśnie stawało się coraz bardziej popularne). Czy już nikt nie rozmawia ze swoimi dziećmi? - pytała.

Cóż, ona rozmawiała. Moim zdaniem nawet zbyt często. Zawsze była w domu. Jak powtarzała, jedyną osobą, którą chciała widywać, byłem ja.

Od czasu do czasu jeździliśmy w różne miejsca, ale ona zamiast samodzielnie załatwić swoje sprawy, dawała mi pieniądze, wysyłała po zakupy, a sama czekała w samochodzie. Innym razem mawiała, że po co mamy jechać do sklepu, skoro wszystko można zamówić w Searsie. A jeśli już jechaliśmy do supermarketu, kupowała ogromne ilości zupek Campbella, mrożonych dań rybnych, masła orzechowego, mrożonych gofrów i potem miałem wrażenie, że mieszkamy w schronie przeciw atomowemu. W tym czasie Sears miał w swej ofercie także mrożone obiady. W przypadku huraganu moglibyśmy przetrwać w domu kilka tygodni. Tyle mieliśmy zapasów. - Mleko w proszku jest dla mnie lepsze. Mniej tłuste - mówiła. Jej rodzice mieli wysoki

poziom cholesterolu i oboje umarli dość wcześnie. Musieliśmy więc na to uważać.

Potem, korzystając z katalogów wysyłkowych - było to jeszcze przed epoką Internetu - zaczęła kupować nawet takie rzeczy, jak bielizna i skarpetki. Rozwodziła się przy tym, że w centrum miasta jest zbyt wielki ruch, że nie powinno się tam w ogóle jeździć, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę zanieczyszczenie środowiska. Wtedy wpadłem na pomysł, że powinniśmy kupić sobie skuter; w jednym z programów telewizyjnych widziałem osobę jeżdżącą na czymś takim i tłumaczyłem matce, ile zabawy byłoby, gdybyśmy tak jeździli po mieście na skuterze i w ten sposób załatwiali sprawunki.

- A ile sprawunków tak naprawdę potrzebuje człowiek? - zapytała. - Jeśli się nad tym zastanowić, to całe to jeżdżenie na zakupy jest jedynie stratą czasu, który można spędzić w domu.

Gdy byłem młodszy, zawsze starałem się gdzieś ją wyciągnąć. - Chodźmy na kręgle - mówiłem. - Pograjmy w miniaturowego golfa. Jedźmy do muzeum nauki. - Próbowałem wymyślić rzeczy, które mogły się jej spodobać: szkolny pokaz świątecznego rzemiosła, spektakl Oklahoma! wystawiany przez Lions Club.

- Będą tańczyć - powiedziałem. Okazało się, że nie powinienem o tym wspominać.

- Tylko nazywają to tańcem - odparła.

Czasami zastanawiam się, czy problem nie leży w tym, jak bardzo matka kochała ojca. Słyszałem kiedyś, że są ludzie, którzy kochają tak mocno, że po śmierci lub odejściu bliskiej osoby nie są w stanie sobie z tym poradzić. Właśnie to mają na myśli, mówiąc o złamanym sercu. Raz, podczas jednego z naszych mrożonych obiadów, gdy matka naląła sobie trzecią lampkę wina, rozważałem, czy nie zapytać jej o to. Zastanawiałem się nad tym, co musi się stać, żeby nienawidzić kogoś tak mocno, jak matka nienawidziła

mojego ojca, równie mocno go wcześniej kochając. Myślałem, że można się tego nauczyć na lekcji fizyki, choć jeszcze nie miałem takiego przedmiotu. Zależność taka jak na huśtawce: wysokość, na którą wzbija się osoba po jednej stronie, zależy od tego, jak nisko będzie osoba po drugiej stronie.

Uznałem jednak, że to nie odejście ojca złamało serce mojej matce, jeśli faktycznie można mówić o złamanym sercu. Przyczyną była utrata miłości - marzenia o przemierzeniu Ameryki furgonetką z hot dogami i popcornem, o przetańczeniu Ameryki wzdłuż i wszerz w błyszczącej sukience i czerwonych majtkach. O byciu u boku kogoś, kto uważał ją za piękną, a jak wspominała, mój ojciec codziennie ją o tym zapewniał.

Nagle nikt do ciebie nie mówi w ten sposób i stajesz się jak jeden z tych ceramicznych jeży z kwiatami rosnącymi na grzbiecie, których właściciel już nie podlewa. Jak chomik, którego zapomniano nakarmić.

Taka była moja matka. Mogłem spróbować w jakiś sposób wynagrodzić jej to zaniedbanie, co zresztą robiłem, kładąc na jej łóżku karteczki z napisem „dla najlepszej mamy na świecie”, z jakimś kamyczkiem lub kwiatkiem, z żartami z mojej książki żartów. Czasem wymyślałem dla niej piosenki, czyściłem szafkę z zastawą stołową, wykładałem półki papierem, a gdy zbliżały się jej urodziny lub święta, dawałem jej książeczkę z kuponami rabatowymi spiętymi zszywaczem, a na każdym z nich była jakaś obietnica: „podlega wymianie na wyniesienie śmieci” lub „w sam raz na jedno odkurzenie”. Gdy byłem młodszy, zrobiłem kiedyś nawet kupon, na którym napisałem „mąż na jeden dzień”, z obietnicą, że jeśli go wykorzysta, będzie tak, jakby w domu znów był jej mąż, bo wtedy ja zająłbym się wszystkim.

Wówczas byłem zbyt młody, by wiedzieć, że nie jestem w stanie spełnić wszystkich obowiązków „męża na jeden dzień”,



ale z drugiej strony w jakiś sposób wyczuwałem swą okrutną nieodpowiedniość. Była to wiedza, która ciążyła nade mną, gdy leżałem w łóżku w swoim pokoju, tuż obok jej sypialni. Ściana między nami była tak cienka, że leżeliśmy niemal obok siebie. Doskonale wyczuwałem jej samotność i tęsknotę, zanim jeszcze potrafiłem nazwać te uczucia. Tak naprawdę chyba nigdy nie chodziło o mojego ojca. Patrząc teraz na niego, trudno mi wyobrazić sobie, że kiedykolwiek był wart mojej matki. To miłość była tym, co naprawdę kochała.

Rok lub dwa po rozwodzie, podczas jednego z sobotnich wieczorów ojciec zapytał, czy nie wydaje mi się, że matka traci zmysły. Miałem wówczas siedem czy osiem lat, ale gdybym był starszy, pytanie wcale nie byłoby łatwiejsze. Byłem na tyle duży, by wiedzieć, że matki nie siedzą w samochodzie, podczas gdy ich dzieci idą z pieniędzmi do sklepu, by zrobić za nie zakupy, lub do kasjera w banku - nie było jeszcze bankomatów - z czekiem na pięćset dolarów. - Wystarczająco dużo pieniędzy, byśmy nie musieli tu wracać przez długi czas - mówiła.

Bywałem w domach innych ludzi, więc wiedziałem, jakie były inne matki - pracowały, odwoziły dzieci, siedziały na ławeczkach podczas meczów, chodziły do salonów piękności, na zakupy, a także na zjazdy absolwentów. Miały wiele przyjaciółek, nie tylko jedną, zgorzkniałą kobietę z upośledzonym dzieckiem siedzącym w zbyt dużym wózku inwalidzkim.

- Po prostu jest nieśmiała - powiedziałem ojcu. - Poza tym jest zajęta, bierze lekcje muzyki - dodałem. Tamtego roku moja matka zaczęła się uczyć grać na wiolonczeli. Widziała film dokumentalny o słynnej wiolonczelistce, być może najlepszej na świecie, która z powodu choroby zaczęła fałszować, miała problemy z utrzymaniem smyczka, a wkrótce

nie mogła w ogóle grać. Tymczasem jej mąż, który również był słynnym muzykiem, zostawił ją dla innej kobiety.

Matka opowiedziała mi tę historię podczas obiadu, na który składały się dania z mrożonych ryb firmy Cap'n Andy.

- Mąż zaczął sypiać z siostrą tej słynnej wiolonczelistki - powiedziała. Niedługo później wiolonczelistka nie mogła już nawet chodzić. Była przykuta do łóżka w tym samym domu, w którym jej mąż sypiał z jej siostrą. Kochali się w pokoju obok. Co o tym sądzisz, Henry? - zapytała.

- To źle - odparłem, ale tak naprawdę wcale nie oczekiwała mojej odpowiedzi.

Matka powiedziała mi, że uczy się gry na wiolonczeli w hołdzie dla Jacqueline du Pre. Nie miała nauczyciela, ale wypożyczyła wiolonczelę ze sklepu muzycznego znajdującego się w innym mieście. Trochę za małą, przeznaczoną dla dziecka, ale wystarczająco dobrą, by uczyć się na niej grać. Jeśli nauczy się podstaw, będzie mogła przenieść się na większy instrument.

- Z mamą wszystko w porządku - powiedziałem ojcu. - Po prostu czasem jest jej smutno, szczególnie wtedy, gdy ktoś umiera. Tak jak Jacqueline du Pre.

- Mógłbyś mieszkać z Marjorie i ze mną - powiedział. - I z Richardem, i Chloe. Jeśli tego chcesz, postawimy matkę przed sądem. Ponownie ją przebadają.

- Mama jest wspaniała - odparłem. - Jutro odwiedza nas jej przyjaciółka, Evelyn. Będę się bawił z Barrym, synem Evelyn.

(„Bla, bla, bla, pomyślałem. Bubi, dubi, zo, zo”. Tak jak Barry).

Mówiąc to, patrzyłem ojcu w twarz. Gdyby chciał ciągnąć temat, mógłbym mówić dalej - o tym, kim jest Barry, jak matka i Evelyn spędzają wspólnie czas, o ich planach zakupu farmy na jakiejś wsi, gdzie mogłyby same uczyć swoje dzieci i

uprawiać warzywa. Chciały stosować dietę makrobiotyczną, która mogłaby pomóc w odrodzeniu się niewłaściwie pracujących komórek mózgowych Barry'ego. Chciały pozyskiwać energię słoneczną lub postawić wiatrak. Albo kupić maszynę, którą matka Barry'ego widziała w Evening Magazine. Maszyna magazynowała energię niezbędną do działania lodówki, pozyskiwaną w ciągu godziny pedałowania na specjalnie przygotowanym rowerze. Oszczędność na rachunku za prąd oraz odchudzanie, wszystko naraz. Moja matka tego nie potrzebowała, bardziej chodziło tu o Evelyn.

Ojciec, słysząc moje sprawozdanie na temat napiętego i radosnego planu dnia matki, wyglądał tak, jakby poczuł ulgę, czego zresztą się spodziewałem. Wiedziałem, że tak naprawdę nie chciałem mieszkać z nim i Marjorie, ja zresztą też nie chciałem mieszkać z nim i kobietą, która do dwójki swoich dzieci (i do mnie, gdy byłem razem z nimi) zwracała się per „cukiereczki”. Lub „bobaski”, co było jej ulubionym określeniem.

Mimo że to ja byłem jego prawdziwym synem, a nie Richard, to jednak Richard był bardziej podobny do niego. To on zawsze zdobywał bazę, gdy uderzał pałką w Małej Lidze. Ja tymczasem siedziałem na ławce rezerwowych tak długo, aż ojciec w końcu zgodził się, że baseball nie jest sportem dla mnie. Jednej rzeczy byłem wówczas pewien: gdy przestałem grać, w drużynie Holton Mills Tigers nikt za mną nie tęsknił.

- Zapytałem, bo mam wrażenie, że twoja matka jest przygnębiona - powiedział ojciec. - Nie chciałbym, żebyś był narażony na jakieś traumatyczne doświadczenia. Chcę, byś miał przy sobie kogoś, kto właściwie się tobą zaopiekuje.

- Mama doskonale się o mnie troszczy - odparłem. - Świetnie się bawimy przez cały czas, ludzie nas odwiedzają, mamy różne zainteresowania.

- Uczymy się hiszpańskiego - dodałem.

## Rozdział czwarty

Frank. Rzecz jasna, szukali go w całym mieście. Na naszym telewizorze odbieraliśmy tylko jedną stację, ale jeszcze przed wieczornymi wiadomościami przerwano program, by o tym poinformować. Na podstawie obrażeń zbiega i faktu, że w ciągu godziny od jego ucieczki policja zablokowała wszystkie drogi - w naszym mieście była w zasadzie jedna droga wjazdowa i jedna wyjazdowa - ustalono, że nie mógł uciec zbyt daleko.

Pokazano też jego twarz. To zabawne widzieć na ekranie twarz osoby, która siedzi w twoim salonie. Podobnie mogłaby się czuć ta dziewczyna, Rachel, gdyby przypadkiem była u nas, kiedy w telewizji powtarzaliby Gilligan's Island - moja matka wchodziłaby do pokoju z tacą pełną ciasteczek, a Rachel wciąż myślałaby, że to aktorka.

- Mamy wśród nas gwiazdę - powiedziała Marjorie, gdy wraz z ojcem zabrali mnie na lody po szkolnym przedstawieniu, w którym grałem Ripa Van Vinkle'a. Tylko w tej sytuacji mogła to być prawda.

Właśnie nadawano rozmowę z komendantem policji, który mówił, że uciekinier był widziany w okolicy centrum handlowego. Mówili o Franku, że jest niebezpieczny i prawdopodobnie uzbrojony, ale my wiedzieliśmy, że to nieprawda. Pytałem go już, czy ma broń, a gdy powiedział, że nie, byłem nawet rozczarowany.

- Jeśli zobaczycie tego człowieka, natychmiast skontaktujcie się z odpowiednimi władzami - mówiła prezenterka telewizyjna. Później na ekranie pojawił się numer telefonu. Matka nawet go nie zapisała.

Okazało się, że operację wycięcia wyrostka robaczkowego przeprowadzono dzień wcześniej. W telewizji mówili, że Frank związał pielęgniarkę, która miała go pilnować, i wyskoczył przez okno. Wiedzieliśmy o tym, podobnie jak o

tym, że przed skokiem uwolnił pielęgniarkę i pozwolił jej odejść. Była teraz na ekranie, mówiła, że przez cały czas bardzo dobrze ją traktował i nie zrobił jej krzywdy. Dobry pacjent, choć na pewno była bardzo zaskoczona, gdy ją związał. Jego słowa się potwierdziły, co sprawiło, że w oczach mojej matki z pewnością stał się bardziej wiarygodny.

Ale w wiadomościach podali też powód jego pobytu w więzieniu. Morderstwo.

Do tej chwili Frank nic nie mówił. Siedzieliśmy i oglądaliśmy telewizję, jakby nadawano Evening Magazine lub jakiś inny zwyczajny program. Kiedy jednak powiedzieli, w jaki sposób kogoś zabił, można było zauważyć, że drży mu szczęka.

- Nigdy nie wyjaśnili szczegółów - powiedział. - Wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

W telewizji wrócili do normalnego programu. Do powtórki serialu Happy Days.

- Adele, muszę jeszcze raz zapytać, czy mogę przez pewien czas zostać tutaj z wami - Frank zwrócił się do matki. - Będą prowadzić poszukiwania na drogach, w pociągach i autobusach. Nikt nie będzie się spodziewał, że jestem w pobliżu.

Była jeszcze jedna kwestia, ale to nie matka ją poruszyła. Zrobiłem to ja. Nie chciałem o tym wspominać, bo polubiłem Franka, nie chciałem też, by się zdenerwował, ale wydawało mi się, że ktoś musi to powiedzieć.

- Czy ukrywanie przestępcy nie jest niezgodne z prawem? - zapytałem go, używając słów, które kiedyś usłyszałem w telewizji. Po chwili jednak poczułem się z tym źle. Mimo że prawie go nie znaliśmy, nazywanie przestępcą osoby, która kupiła mi książkę i wkręciła żarówki w całym domu, było chyba nie na miejscu. No i pochwalił kolor, jaki matka wybrała do pomalowania ścian w kuchni - ten odcień żółtego

przypominał mu jaskry rosnące na farmie jego babci, gdzie dorastał. Powiedział też, że jeszcze nigdy nie jedliśmy chili przyrządzonego tak, jak on zamierza to zrobić.

- Masz bardzo mądrego syna, Adele - odezwał się Frank. - Dobrze wiedzieć, że martwi się o ciebie. Właśnie taki powinien być syn dla swojej matki.

- Problem pojawi się dopiero wtedy, gdy ktoś tutaj znajdzie Franka - wyjaśniła matka. - Dopóki nikt się nie dowie, że tutaj jest, nie będzie żadnych kłopotów.

Ciąg dalszy już znałem. Matka nie przejmowała się prawem. Nie chodziła do kościoła, mimo to uważała, że jedyną osobą, która się o nas troszczy, jest Bóg.

- Święta prawda - przyznał Frank. - Nie możemy jednak narażać ciebie i twojej rodziny na takie ryzyko.

Nasza rodzina. Mówił o nas jako o rodzinie.

- Właśnie dlatego będę musiał cię związać - powiedział. - Tylko ciebie, Adele. Henry na pewno nie chce, by coś złego stało się jego matce. Dlatego nie pójdzie na policję ani nie powiadomi nikogo innego. Mam rację, Henry?

Matka, słysząc to, nawet nie drgnęła. Przez minutę wszyscy milczeliśmy. Wyraźnie słyszeliśmy odgłosy dochodzące z klatki chomika Joego, który biegał w swoim kole, stukając pazurkami o metal, a także syk wody z piekarnika, w którym podgrzewaliśmy właśnie jedno z naszych mrożonych dań.

- Adele, muszę cię prosić, żebyś zabrała mnie do swojej sypialni - powiedział. - Wydaje mi się, że kobieta taka jak ty powinna mieć kilka szalików. Jedwab będzie najlepszy. Lina i sznurek mogą poranić nadgarstki.

Do drzwi wejściowych miałem nieco ponad metr. Od chwili, gdy weszliśmy z zakupami, wciąż były uchylone. Po drugiej stronie ulicy stał dom Jervisów; pani Jervis czasem zagadywała do mnie na temat pogody, zwłaszcza wtedy, gdy

jechałem na rowerze. Dalej mieszkali Farnsworthowie i Edwardsowie, którzy przyszli kiedyś zapytać matkę, czy ma zamiar uprzętać liście ze swojej posesji, ponieważ wiatr rozwiewa je i zanoszą na inne trawniki. Co roku w grudniu pan Edwards przystrajał swój dom taką ilością lampek, że przyjeżdżali go podziwiać nawet ludzie z innych miast, a to oznaczało, że pojawiali się wtedy także w sąsiedztwie naszego domu.

- Ludzie wydają tyle pieniędzy na te wszystkie lampki - mawiała matka. - Nie słyszeli o tym, że można też popatrzeć w gwiazdy?

Mogłem więc wybiec teraz przez drzwi w kierunku tamtych domów. Mogłem złapać telefon i wykręcić numer. Na policję. Do ojca. Nie, do ojca nie. Wykorzystałby to jako dowód, że moja matka jest szalona, jak zwykle mawiał.

Nie chciałem jednak tego robić. Może Frank był uzbrojony, a może nie. Wszystko wskazywało na to, że kogoś zabił. Mimo wszystko nie wyglądał na kogoś, kto może skrzywdzić moją matkę lub mnie.

Spojrzałem na matkę. Wyglądała bardzo dobrze. Na policzkach miała rumieńce, do których nie byłem przyzwyczajony, i patrzyła mu prosto w oczy. W jego niebieskie oczy.

- W zasadzie mam całą kolekcję jedwabnych szalików - powiedziała. - Należały do mojej matki.

- To tylko dla zachowania pozorów - powiedział Frank przytłumionym głosem. - Myślę, że doskonale wiecie, o co mi chodzi.

Wstałem i podszedłem do drzwi. Zamknąłem je, by nikt nie zajrzał do środka. Potem usiadłem w salonie z podkurczonymi nogami i obserwowałem, jak oboje wchodzi po schodach i idą do jej pokoju: najpierw matka, a tuż za nią Frank. Sprawiali wrażenie, jakby szli wolniej niż zwykle,

jakby każdy kolejny stopień wymagał odpowiedniej koncentracji. Tak jakby na górze czekało na nich coś więcej niż tylko kilka starych szalików. Tak jakby w ogóle nie byli pewni, co może tam na nich czekać i grając na czas, zastanawiali się nad tym.

Po chwili wrócili na dół. Frank zapytał matkę, które krzesło jest dla niej najwygodniejsze. Byle nie to przy oknie.

Z grymasu na jego twarzy można było wywnioskować, że wciąż boli go zraniona noga, nie wspominając o ranie pooperacyjnej. Mimo to chciał zrealizować swój plan.

Najpierw przetaił krzesło. Później przesunął dłonią po drewnie, jakby szukał wystających drzazg. Wreszcie niezbyt mocno, ale stanowczo położył dłoń na ramieniu matki i usadził ją na krześle. Stał nad nią z minutę, jakby zastanawiał się, co powinien dalej zrobić. Ona spojrzała na niego, jakby również o tym myślała.

Przykucnął na podłodze, by ją związać. Matka miała na nogach swoje ulubione buty przypominające baletki. Jednym ruchem zsunął je dłonią zwiniętą w łuk - najpierw jeden pantofel, potem drugi. Miał zadziwiająco duże dłonie, a może to stopy matki były takie małe?

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała mi za złe tego, co powiem, Adele - odezwał się - ale masz piękne palce u stóp.

- Wiele tancerek ma zniszczone stopy - odparła matka. - Po prostu miałam dużo szczęścia.

Sięgnął po jeden z szalików leżących na stole - różowy z różyczkami - a później po drugi, w geometryczny wzór. Wydawało mi się, że na moment przyłożył je do policzka, ale być może to tylko wymysł mojej wyobraźni. Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał lub płynął bardzo wolno. Nie potrafiłbym powiedzieć, ile minut upłynęło, zanim Frank owinał matce pierwszy szalik wokół kostek. Potem przywiązał krzesło do metalowej szyny, umocowanej pod blatem stołu, do



której doczepiało się dodatkowy blat, gdy trzeba było posadzić przy nim więcej osób. My jednak nigdy go nie wykorzystywaliśmy.

Wiążąc matkę, Frank najwyraźniej zapomniał o mnie; zamotał matce na każdej kostce po jednym szaliku, przytwierdzając je do nóg krzesła, a kolejnym związał nadgarstki dłoni, które trzymała na kolanach; w efekcie wyglądała tak, jakby modliła się na siedząco. Lub po prostu siedziała w kościele. Choć w sumie nigdy tam nie chodziliśmy.

Później nagle przypomniał sobie o mnie.

- Nie chcę, byś się denerwował, synu - powiedział. - W tej sytuacji po prostu muszę to zrobić.

- Jeszcze jedna rzecz - zwrócił się do matki. - Mówiąc to, nie chciałbym, byś czuła się zakłopotana. Ale jeśli będziesz chciała skorzystać z toalety lub będziesz miała inną intymną potrzebę wymagającą prywatności, po prostu mi o tym powiedz.

- A teraz siądę obok ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział. - Będę cię miał na oku.

Przez moment na jego twarzy znów pojawił się grymas świadczący o tym, że wciąż cierpi.

Matka zapytała go wówczas o nogę. Nie wierzyła zbyt mocno w medycynę, ale pod zlewem trzymała spirytus do dezynfekcji. Powiedziała, że nie chce, by nabawił się zakażenia i dlatego powinien oczyścić ranę.

- Pomożemy ci stać się takim, jakim byłeś wcześniej - dodała.

- A może ja nie chcę być taki jak wcześniej? - odparł. - Może teraz chcę być już zupełnie inny?

Karmił ją. Ja miałem wolne ręce, ale jej były związane, dlatego postawił talerz na stole tuż przed sobą. No i miał rację

co do chili, które nam przygotował. Najlepsze, jakie kiedykolwiek jadłem.

Przyglądałem się, jak delikatnie wkłada matce jedzenie do ust. Nie można tego było w żaden sposób porównać z tym, co robiła przyjaciółka mojej matki, Evelyn, karmiąc Barry'ego. Ani z tym, jak Marjorie karmiła małe dziecko, nazywane moją młodszą siostrą; wpychała jej do buzi łyżeczkę pełne jedzenia, rozmawiając przy tym przez telefon lub krzycząc na Richarda, a co najmniej połowa pokarmu lądowała na śpioszkach Chloe, czego Marjorie najwyraźniej w ogóle nie zauważała. Można by pomyśleć, że bycie uzależnionym od tego, czy ktoś inny nas nakarmi, jest upokarzające. Jeśli na łyżce będzie za dużo jedzenia, będziesz musiał sobie z tym jakoś poradzić, a jeśli za mało, będziesz siedział z otwartymi ustami i prosił o więcej. Można by też pomyśleć, że karmiona osoba wpadnie wówczas w szal lub rozpacz, a jedyne, co jest w stanie zrobić, to wypluć jedzenie karmiącemu prosto w twarz. I w efekcie wciąż będzie głodna.

Jednak w tym, jak Frank karmił moją matkę, było coś uroczego. Zupełnie jakby był jubilerem albo naukowcem, albo jednym z tych starych Japończyków, którzy cały dzień pielęgnują drzewko bonsai.

Przy każdej łyżeczce upewniał się, że nabrał właściwą ilość i matka się nie zadławi, ale też że jedzenie nie zostanie w kącikach jej ust ani nie spadnie na brodę. Doskonale wiedział, że matka przywiązuje dużą wagę do wyglądu, nawet w sytuacji, gdy jest przywiązana do krzesła we własnej kuchni, a jedynymi osobami, które ją widzą, są jej syn i uciekinier z więzienia. Być może to, jak postrzega ją syn, nie miało dla niej znaczenia, ale z pewnością chciała dobrze wyglądać w oczach Franka.

Zanim uniósł łyżeczkę do jej ust, parę razy podmuchał na chili, by nie poparzyła sobie języka. Pamiętał też, żeby co

kilka łyżeczek podać jej coś do picia. Wodę lub wino. Nie musiała nawet mówić, co powinien jej w danej chwili podać.

W przeciwieństwie do naszych codziennych obiadów, kiedy matka cały czas opowiadała różne historie, tego wieczoru jedliśmy w całkowitym milczeniu. Wyglądało to tak, jakby ci dwoje porozumiewali się bez słów. Ich oczy były połączone jednym spojrzeniem. Dostrzegałem też wiele innych rzeczy: to, że matka wyciągała szyję w jego stronę niczym ptaszek siedzący w gnieździe, że on pochylał się w jej stronę niczym malarz siedzący przy sztalugach. Raz, by wykonać kolejny ruch pędzlem, drugi raz, by tylko przyjrzeć się swemu dziełu.

W pewnym momencie kropla sosu pomidorowego zatrzymała się w kąciku jej ust. Prawdopodobnie mogłaby bez problemu ją zlizać, ale wiedziała, że nie będzie takiej potrzeby. Frank zanurzył serwetkę w wodzie i otarł jej policzki. Później palcem delikatnie starł resztki wody. Matka nieznacznie skinęła głową. Łatwo było to przegapić, ale jej włosy opadły na jego dłoń, a wtedy Frank uchwycił niesforny kosmyk i odgarnął z jej twarzy. Frank nic nie jadł. Ja z kolei byłem głodny, ale siedząc z nimi przy stole, miałem wrażenie, że żucie lub przełykanie byłoby równie niewłaściwe jak gryzienie popcornu podczas chrztu lub lizanie lodów w momencie, gdy najlepszy przyjaciel mówi ci o śmierci swego psa. Czuję po prostu, że nie powinno mnie tu być.

- Chyba zjem w salonie - powiedziałem. - I obejrzę telewizję.

Rzecz jasna, w salonie też był telefon. Mogłem podnieść słuchawkę i zadzwonić. Drzwi, sąsiedzi, samochód z kluczykami w środku - pod tym względem nic się nie zmieniło. Ja jednak włączyłem serial Three's Company i jadłem swoje chili.

Kilka programów później, gdy miałem już dość telewizji, ponownie zajrzałem do kuchni. Naczynia były uprzątnięte i pozmywane. Frank zaparzył herbatę, ale nikt jej nie pił. Słyszałem ich ściszone głosy, choć nie wiedziałem, o czym rozmawiają.

Zawołałem, że idę spać. W takich chwilach matka zwykle mówiła do mnie „słodkich snów”, ale tym razem była zajęta.

## Rozdział piąty

Matka nie miała normalnej pracy, ale prowadziła sprzedaż witamin przez telefon. Co kilka tygodni firma, dla której pracowała - MegaMite - przysyłała jej wykaz numerów telefonicznych potencjalnych klientów z całego regionu, a matka dzwoniła do nich i opowiadała o produkcie. Gdy sprzedawała zestaw witamin, firma płaciła jej prowizję. Dodatkową korzyścią było to, że mieliśmy zniżkę na zakup witamin na własny użytek. Matka zawsze upewniała się, czy dwa razy dziennie połykam swoją porcję. Mówiła, że efekty terapii widzi w moich oczach; niektórzy ludzie mają zszarzałe białka oczu, ale moje były białe jak śnieg. Inną korzyścią było jej zdaniem to, że w przeciwieństwie do wielu moich rówieśników (choć nie widziała zbyt wielu dzieci w tym wieku) nie dokuczał mi trądzik.

- Jesteś jeszcze zbyt młody, by to docenić - powiedziała. - Ale w przyszłości będziesz mi wdzięczny za to, że ci je podawałam. Te minerały mają pozytywny wpływ na twoją męskość i zdrowie seksualne. Prowadzono już badania na ten temat. Obecnie wchodzisz w okres dojrzewania, więc należy pamiętać o takich sprawach.

Były to prawdopodobnie słowa, które matka miała kierować do potencjalnych klientów, ale to ja słyszałem je najczęściej.

Matka była jednak fatalnym przedstawicielem firmy MegaMite. Przede wszystkim nienawidziła rozmów telefonicznych z obcymi, więc bardzo często unikała swej pracy. Nowe listy z nazwiskami leżały na kuchennym stole, na stercie starych wydruków. Niektóre nazwiska były zaznaczone i czasami okraszone jakąś notatką: Linia zajęta. Zadzwoń w bardziej dogodnym terminie. Kupiłaby, ale nie ma pieniędzy.

- Powiem ci, Marie, że jesteś osobą, która powinna brać te witaminy - usłyszałem pewnego razu matkę mówiącą do

telefonu. Był to jeden z tych rzadkich wieczorów, kiedy siadała przy aparacie z notatnikiem, długopisem i listą nazwisk otrzymanych z MegaMite. „Na razie nie jest źle”, pomyślałem, wchodząc do kuchni, by przygotować sobie płatki z mlekiem w proszku. Była to dla mnie szczególnie dobra wiadomość, bo kiedyś matka obiecała mi, że jeśli znajdzie kolejnych trzydziestu klientów dla MegaMite, to kupi mi zestaw książek o Sherlocku Holmesie, wydany przez Klub Klasycznej Książki, do którego wstąpiliśmy rok temu, by dostać darmowy Atlas Świata i oprawione w skórę wydanie Kronik Narnii z kolorowymi ilustracjami.

- Oto, co zamierzam teraz zrobić, Marie - mówiła dalej. - I tak przyślę ci te witaminy. Kupię je taniej na mój prywatny rachunek. Gdy będziesz w lepszej sytuacji, przyślesz mi czek.

- Na jakiej podstawie uważasz, że osoba, której nigdy nie spotkałaś, jest w gorszej sytuacji niż my? - zapytałem.

- Bo ja mam ciebie - odparła. - A Marie nie.

- Nie wyobrażam sobie, że ojciec mógłby powiedzieć ci cokolwiek na temat seksu - stwierdziła pewnego wieczoru, gdy jedliśmy kolejne odgrzewane danie Cap'n Andy. Obawiałem się tej chwili i mogłem jej uniknąć, mówiąc, że tak, ojciec wszystko mi wyjaśnił, ale okłamanie jej było niemożliwe.

- Nie powiedział - odparłem.

- Większość ludzi koncentruje się na fizycznych zmianach, które wkrótce zauważysz. Może nawet już zauważyłeś. Nie zamierzam naruszać twojej prywatności i wypytywać cię o to.

- Wyjaśniają nam to wszystko na zajęciach z biologii - powiedziałem. Myślałem o jednym - jak odwieść ją od tej rozmowy I to w możliwie najłagodniejszy sposób.

- Ale w szkole nigdy nie mówią o miłości, Henry - odparła. - W całej tej dyskusji na temat twojego ciała nie wspominają o sercu.

- Nic nie szkodzi - powiedziałem. Byłem zdesperowany, chciałem jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, ale ona wciąż mówiła:

- Jest jeszcze jeden aspekt, o którym nauczyciel raczej nie wspomni. Choć zapewne odniesie się do hormonów. Nie wątpię, że to zrobił.

Przygotowałem się wówczas na wszystkie te przerażające słowa. Ejakulacja. Sperma. Erekcja. Włosy łonowe. Polucje. Masturbacja.

- Pragnienie - powiedziała. - Ludzie nigdy nie mówią o pragnieniu. Działają tak, jakby uprawianie miłości sprowadzało się fizycznej funkcji ciała, wydzielin i reprodukcji. Zapominają o tym, co się przy tym czuje.

„Przestań, przestań!” - chciałem zawołać. Chciałem położyć dłoń na jej ustach. Wstać od stołu i wybiec gdzieś w ciemną noc. Kosić trawnik, grabić liście, odgarniać śnieg, cokolwiek, byle tylko zniknąć z tego miejsca.

- Istnieje inny rodzaj głodu - powiedziała, zbierając talerze. Jej jak zwykle był niemal nietknięty. Po chwili naląła sobie wina.

- Głód ludzkiego dotyku - wyjaśniła. Westchnęła głęboko. Teraz nie miała już wątpliwości. Ten rodzaj głodu znała przecież bardzo dobrze.

## Rozdział szósty

Czasami zdarza się coś dziwnego. Budzisz się rano i przez minutę zupełnie nie pamiętasz, co działo się poprzedniego dnia. Twój umysł potrzebuje kilku sekund, by się zresetować i przypomnieć sobie to, co się wydarzyło - czasem coś dobrego, częściej coś złego - coś, o czym wiedziałeś przed pójściem do łóżka, ale w nocy wymazałeś z pamięci. Pamiętam to uczucie. Kiedy odszedł ojciec, następnego dnia otworzyłem oczy i wyjrzałem przez okno. Wiedziałem, że coś jest nie tak, ale nie byłem w stanie powiedzieć co. Dopiero później to do mnie dotarło.

Podobnie było wtedy, gdy Joe wyszedł ze swojej klatki i przez trzy dni nie wiedzieliśmy, gdzie jest, a jedyne, co mogliśmy zrobić, to rozkładać pokarm po całym domu, licząc, że w końcu wyjdzie, co się na szczęście stało. Albo gdy umarła babcia - nie dlatego, że dobrze ją znałem, ale dlatego, że matka bardzo ją kochała, a teraz została sierotą, co oznaczało, że będzie się czuła jeszcze bardziej samotna, a to z kolei oznaczało, że muszę poświęcać więcej czasu na granie z nią w karty, słuchanie jej opowieści, wspólne posiłki.

Rankiem, następnego dnia po przywiezieniu Franka z Pricemartu - w piątek przed weekendem z Dniem Pracy - obudziłem się i nie pamiętałem, że jest u nas. Wiedziałem jedynie, że w naszym domu z jakiegoś powodu jest inaczej.

Podpowiedzią był zapach parzonej kawy, który poczułem. Inny niż wtedy, gdy parzyła ją moja matka. Poza tym ona nigdy nie wstawiała tak wcześnie. Z radia rozbrzmiewała muzyka. Klasyczna.

Coś się piekło. Okazało się, że bułeczki. Raptem w kilka sekund zorientowałem się, o co chodzi. W przeciwieństwie do innych poranków, gdy budziłem się i nagle coś sobie przypominałem, tym razem nie miałem złych przeczuć. Teraz przypominałem sobie jedwabne szaliki i kobietę w telewizji



mówiącą słowo „morderca”. Wciąż jednak, nawet gdy pomyślałem o Franku, nie czułem strachu. Bardziej oczekiwanie i podniecenie. Czułem się tak, jakbym był w połowie książki, którą musiałem odłożyć z powodu zmęczenia, lub w trakcie filmu na wideo, który zatrzymałem. Chciałem wrócić do tej historii i dowiedzieć się, co się stało z głównymi bohaterami, tyle że w tym przypadku to my nimi byliśmy.

Schodząc na dół, zastanawiałem się, czy matka wciąż będzie w tym miejscu, w którym zostawiłem ją wczoraj, idąc spać, przywiązana do krzesła własnymi jedwabnymi szalami. Krzesło było jednak puste. A przy piecyku stał Frank. Najwyraźniej znalazł jakiś sposób na usztywnienie swojej kostki. Wciąż kuśtykał, ale jakoś dawał sobie radę.

- Poszedłbym do sklepu po jajka - powiedział. - Nie wydaje mi się jednak, by w tej chwili był to dobry pomysł - dodał, ruchem głowy wskazując na gazetę; prawdopodobnie wziął ją z chodnika, na który została rzucona przed wschodem słońca. Na pierwszej stronie, tuż obok informacji o przewidywanej fali upałów w trakcie świątecznego weekendu, widniało zdjęcie znajomej, a jednocześnie nierozpoznawalnej twarzy - twarzy Franka. Mężczyzna na zdjęciu miał twarz surową i nikczemną, natomiast ten w naszej kuchni był taki zwyczajny - stał ze ścierką zatknięą za pasek i dłonią ukrytą w rękawicy do trzymania gorących naczyń.

- Do tych ciasteczek doskonale pasowałyby jajka - powiedział.

- Bardzo rzadko kupujemy rzeczy łatwo psujące się - odparłem. - Zwykle jemy zupy z puszek lub dania mrożone.

- W ogródku macie wystarczająco dużo miejsca, by hodować kurczaki - stwierdził. - Trzy lub cztery czerwone rodajlenty i moglibyście codziennie usmażyć sobie jajecznicę. Świeżutkie jajka są zupełnie inne niż te, które sprzedają w

sklepach. Złociutkie żółtka. Sterczą na patelni jak cycki striptizerki z Las Vegas. Małe towarzyskie cholery.

Powiedział, że dorastał na farmie. Mógłby nam pomóc. Nauczyć mnie wszystkiego. Rzuciłem okiem na gazetę, ale pomyślałem, że jeśli będę zbyt zainteresowany jego ucieczką i trwającymi poszukiwaniami, może poczuć się urażony

- Gdzie jest mama? - zapytałem. Nagle dotarło do mnie, że powinienem się martwić. Frank nie wyglądał wprawdzie na kogoś, kto zamierza nas skrzywdzić, ale znienacka wyobraziłem sobie, że matka siedzi w piwnicy, przykuta łańcuchem do pieca olejowego, z jedwabnym szalikiem mocno zaciśniętym na ustach, a nie delikatnie przewiązanym na nadgarstkach. Albo zamknięta w bagażniku naszego samochodu. W rzece.

- Musiała się położyć - powiedział. - Rozmawialiśmy do późna. Ale może się ucieszy, gdy jej to zanieziesz. Lubi pić kawę w łóżku?

Skąd miałem wiedzieć? Takie pytanie nie pojawiło się nigdy wcześniej.

- A może jednak pozwolimy jej jeszcze trochę pospać? - stwierdził po chwili.

Właśnie wyjmował ciasteczka z piekarnika, układał je na tacy i nakrywał serwetką, by dłużej utrzymały ciepło.

- Mam dla ciebie radę, Henry - powiedział. - Nigdy nie krój ciasteczek nożem. Lepiej rozerwać je palcami, by mieć więcej nierówności. Chodzi o to, by uzyskać góry i doliny. Wyobraź sobie świeżo spulchniony ogród, w którym gleba jest nierówna. Więcej miejsca, w które może wsiąknąć masło.

- Zwykle nie mamy masła - odparłem. - Jadamy margarynę.

- I to właśnie nazywam przestępstwem - stwierdził Frank.

Nalał sobie filiżankę kawy. Gazeta spokojnie leżała na swoim miejscu, ale żaden z nas po nią nie sięgnął.

- Nie obwiniam cię za to, że się zastanawiasz - powiedział nagle. - Każda rozsądna osoba zrobiłaby tak samo. Chcę ci tylko powiedzieć, że ta historia jest trochę bardziej skomplikowana niż to, co piszą w gazetach.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc tylko nalałem sobie soku pomarańczowego do szklanki.

- Masz jakieś plany na długi weekend? - spytał. - Przyjęcie na świeżym powietrzu, gra w piłkę, cokolwiek? Wygląda na to, że będzie upalnie. Dobra okazja, by pojechać na plażę.

- Nic specjalnego - odparłem. - W soboty ojciec zabiera mnie na obiad, i to wszystko.

- Opowiedz mi o nim - rzekł Frank. - Jak to się stało, że facet odszedł od takiej kobiety jak twoja matka?

- Zakochał się w swojej sekretarce - wyjaśniłem. Nawet mając trzynaście lat, byłem świadom brzmienia tych słów, ich okropnej zwyczajności. To było jak przyznanie się do sikania w majtki lub do kradzieży w sklepie. Mówienie o tym nie było nawet interesujące. Było po prostu żałosne.

- Nie chcę cię urazić, synu. Ale jeśli o to chodzi, to dobrze, że się go pozbyliście. Ktoś taki nie zasługuje na podobną kobietę.

Minęło bardzo wiele czasu, odkąd ostatni raz widziałem matkę wyglądającą tak jak wtedy, gdy tego poranka weszła do pokoju. Jej włosy, zwykle ściągnięte z tyłu głowy gumką, swobodnie spływały na ramiona, w dodatku były bardziej puszyste niż zwykle, tak jakby spała na chmurze. Założyła bluzkę, w której nigdy wcześniej jej nie widziałem - białą w drobne kwiatuszki, z rozpiętym ostatnim guzikiem. Niewiele zdradzało, że wygląda tandetnie - wciąż myślałem o tym, co Frank powiedział na temat striptizerki z Las Vegas - raczej przyjaźnie i zapraszająco. W uszach miała kolczyki, na ustach

szminkę, a gdy podeszła bliżej, poczułem zapach perfum. Delikatną cytrusową nutkę.

Zapytał, jak spała. Odparła, że jak dziecko, a potem roześmiała się.

- Nie wiem, dlaczego wszyscy tak mówią - powiedziała. - Tym bardziej, że dzieci przecież tak często budzą się w nocy  
Potem zapytała, czy ma dzieci.

- Jedno - odparł. - Gdyby żył, miałby dziewiętnaście lat. Francis Junior.

Niektórzy ludzie, jak na przykład moja macocha Marjorie, wyraziliby jakieś słowa współczucia, że bardzo jest im przykro. Zapytaliby, co się stało, a gdyby byli religijni, powiedzieliby coś o tym, że syn Franka na pewno jest teraz w jakimś lepszym miejscu. Ewentualnie powiedzieliby coś o swoim znajomym, który także stracił syna. Ostatnio zacząłem dostrzegać, że ludzie robili to bardzo często: wszystko, co mówili inni, traktowali w kategoriach problemu umożliwiającego im naświetlenie swojej dramatycznej sytuacji.

Moja matka, słysząc o śmierci syna Franka, nie powiedziała nic, ale wyraz jej twarzy zmienił się w taki sposób, że w tej chwili niepotrzebne były żadne słowa. Była to chwila taka jak poprzedniego wieczoru, gdy Frank karmił ją chili i trzymał w dłoni lampkę wina, z której pozwalał jej pić. Miałem wówczas wrażenie, że wznieśli się ponad słowa i porozumiewali zupełnie innym językiem. Wiedział, że mu współczuła. Ona wiedziała, że ją rozumie. Tak jak wówczas, gdy siadła na krześle, które dla niej przygotował - tym samym, co ubiegłego wieczoru - i złożyła dłonie, by mógł ponownie związać je szalikiem. Rozumieli się bez słów. Ja byłem jedynie obserwatorem.

- Nie wydaje mi się, by było to konieczne - powiedział, starannie zwijając szaliki i odkładając je na stos puszek z

tuńczykiem. - Nie mam zamiaru ponownie tego używać - dodał. - Ale jeśli kiedyś nadejdzie dzień, w którym będziesz musiała powiedzieć, że cię związałem, przejdiesz nawet test na wykrywaczu kłamstw.

Chciałem go zapytać, kiedy nadejdzie ten dzień. Kto będzie przeprowadzał ten test? Gdzie będzie on, gdy ona będzie przechodziła test? O co ja będę pytany?

Matka skinęła głową.

- Kto nauczył cię wypiekać takie ciasteczka? - spytała.

- Babcia - odparł. - Po śmierci rodziców to ona mnie wychowywała.

Powiedział, że mieli wypadek samochodowy, gdy miał siedem lat. Późną nocą wracali od krewnych z Pensylwanii i wpadli w poślizg na oblodzonej jezdni. Samochód uderzył w drzewo. Matka i ojciec zginęli - choć matka tuż po wypadku jeszcze żyła, słyszał jej jęki, podczas gdy jacyś ludzie próbowali wydostać ją z samochodu. A ciało ojca leżało na przednim siedzeniu z głową na jej kolanach. On siedział z tyłu - miał tylko złamany nadgarstek - i widział wszystko. W samochodzie była także jego malutka siostra. W tamtych czasach ludzie w czasie jazdy zwykle trzymali małe dzieci na kolanach. Więc ona także zginęła.

Przez minutę milczeliśmy. Być może matka chciała sięgnąć po chusteczkę, ale jej dłoń musnęła dłoń Franka i zawahała się przez moment.

- To najlepsze ciasteczka, jakie kiedykolwiek jadłam - pochwaliła go. - Może zdradzisz mi ich sekret.

- Prawdopodobnie powiem ci wszystko, Adele - odparł.

- Jeśli tylko będę mógł zostać tu wystarczająco długo.

Zapytał, czy gram w baseball. W zasadzie zapytał o to, która pozycja na boisku jest moją ulubioną. To, że żadna, było najwyraźniej nie do pomyślenia.

- Grałem jeden sezon w Małej Lidze, ale byłem bardzo kiepski - powiedziałem. - Grałem na lewej stronie i przez cały sezon nie złapałem ani jednej piłki. Wszyscy się ucieszyli, gdy odszedłem z drużyny.

- Założę się, że twój problem polegał na tym, że nie miałeś odpowiedniego trenera - stwierdził. - Twoja matka jest kobietą posiadającą wiele talentów, ale domyślam się, że baseball nie jest jednym z nich.

- Mój ojciec jest wielkim fanem sportu - odparłem. - Nawet gra w drużynie softballu.

- Otóż to. Softball. Czego można się spodziewać?

- Dzieciak jego nowej żony jest miotaczem - wyjaśniłem.

- Ojciec bez przerwy z nim trenuje. Kiedyś i mnie zabierał na boisko i trenowaliśmy z koszem pełnym piłek. Ale byłem beznadziejny.

- Myślę, że powinniśmy dziś trochę porzucić piłką, jeśli znajdziesz na to czas, Henry - zaproponował. - Masz rękawicę?

Frank nie miał rękawicy dla siebie, ale to nie był problem. Zauważył, że za naszą posiadłością jest otwarta przestrzeń, na której można było potrenować.

- Myślałem, że niedawno wycięli ci wyrostek robaczkowy - powiedziałem. - Myślałem, że jesteśmy twoimi więźniami. Co będzie, jeśli jedno z nas wykorzysta twoją nieuwagę i ucieknie?

- Wtedy spotka was prawdziwa kara - odparł Frank. - Będziecie musieli ponownie wrócić do społeczeństwa.

Oto, co zrobiliśmy później: Frank obejrzał nasze podwórko, poszukując miejsca, gdzie mógłby stanąć kurnik. Zbliżały się chłodne dni, ale przy odpowiedniej ilości słomy kurczaki mogły spokojnie przetrwać zimę. Wszystko, czego potrzebowały to ciepłe ciało, do którego mogły się przytulić w nocy, mniej więcej tak jak ludzie.

Przejrzał też stos naszego drewna, a gdy dowiedział się, że dopiero co je przywieziono, powiedział matce, że człowiek, który je sprzedał, oszukał nas.

- Porąbałbym to drzewo, ale mógłbym rozwalić sobie szwy - powiedział. - Założę się, że zimą jest tu bardzo przytulnie, gdy spadnie śnieg, a ty w domu rozpalisz ogień w kominku.

Potem przeczyścił filtry w naszym piecu i wymienił olej w samochodzie. Włożył również nowy bezpiecznik odpowiadający za migacze.

- Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz zmieniałaś koło, Adele? - zapytał.

Matka tylko patrzyła na niego.

- Skoro już przy tym jesteśmy - ciągnął - założę się, że nikt nigdy nie pokazywał ci, jak się wymienia oponę, prawda, Henry? Jedno ci mogę powiedzieć: na pewno nie chcesz czekać z nauką do czasu, gdy będzie to konieczne. A obok ciebie będzie siedziała piękna dziewczyna, której będziesz chciał zaimponować. Powinieneś to umieć, zanim usiądziesz za kierownicą. To i wiele innych rzeczy.

Zrobił pranie. Poprasował. Umył podłogę i od razu ją nawoskował. Przejrzał spiżarnię w poszukiwaniu czegoś, co mógłby nam zrobić do jedzenia. Zupa. Zaczął od Campbella, ale dodał trochę przypraw. Szkoda, że nie mieliśmy świeżej bazylii. Może w przyszłym roku. Tymczasem musiało wystarczyć suszone oregano.

Potem zabrał mnie na podwórko. Wziął też nową piłkę, którą przywłaszczył sobie dzień wcześniej w Pricemarcie.

- Na początek - powiedział - zamierzam przyjrzeć się temu, w jaki sposób układasz palce na szwach.

Nachylił się nade mną, a jego długie palce nakryły moje.

- To jest pierwszy problem - rzekł. - Twój chwyt. Dziś jeszcze nie będziemy rzucać - wyjaśnił mi po tym, jak pokazał

właściwy sposób trzymania. Jego sposób. Uznał, że blizna po operacji jest na to jeszcze zbyt świeża. Mimo wszystko jednak dla mnie miało być dobre to, że przyzwyczaję się do tego uczucia. Do trzymania palców na piłce. Chodziłem więc po podwórku i podrzucałem ją lekko w górę.

- Gdy przyjdzie noc, chciałbym, żebyś włożył rękawicę pod poduszkę - powiedział. - Wdychaj zapach skóry. To cię utrzyma w grze.

Wróciliśmy do kuchni. Matka, niczym pionierka lub żona z westernu, cerowała podarte spodnie Franka. Chciała je także wyprać, ale wtedy nie miałyby w czym chodzić. Siedział więc owinięty w ręcznik i kiedy ona szyła, on do najmocniej skaleczonych miejsc przykładął mokrą szmatkę.

- Przygryzasz wargę, kiedy szyjesz - powiedział. - Ktoś ci już o tym mówił?

Tego dnia zauważył w niej nie tylko to. Zwrócił uwagę na jej szyję, kostki palców u rąk. I na to, że nie nosiła biżuterii, nad czym ubolewał, gdyż miała piękne dłonie. A na jej kolanie dostrzegł bliznę, na którą nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi.

- Jak to się stało, skarbie? - spytał. Zupełnie jakby w tym słowie nie było nic dziwnego, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie.

- Występ w Stars and Stripes Forever, w mojej szkole tanecznej - wyjaśniła. - Dosłownie wytańczyłam się ze sceny  
Pocałował bliznę.

Późnym popołudniem, gdy jego spodnie były już naprawione, po obiedzie, po grze w karty i po sztuczce, jakiej mnie nauczył - z wykałaczką wychodzącą z nosa - nagle rozległo się pukanie do drzwi. Frank był już u nas wystarczająco długo, cały dzień, by wiedzieć, że to dość niezwykle. Zobaczyłem, że żyła na jego szyi pulsuje. Matka



spojrzała przez okno: nie było żadnego samochodu. Ktokolwiek to był, przyszedł pieszo.

- Idź do drzwi, Henry - powiedziała. - Powiedz, że jestem zajęta.

Był to mieszkający na naszej ulicy pan Jervis, który przyniósł wiadro pełne późnych brzoskwiń.

- Mamy ich tak dużo, że nie wiemy, co z nimi robić - wyjaśnił. - Pomyślałem, że twoja mama będzie umiała je wykorzystać.

Wziąłem wiadro. On jednak pozostał na werandzie, tak jakby miał jeszcze coś do powiedzenia.

- Zbliża się długi weekend - odezwał się. - Podobno ma być ponad trzydzieści stopni ciepła.

- Wiem - odparłem. - Widziałem w gazecie.

- W niedzielę przyjeżdżają do nas wnuki. Możesz do nas wpaść, jeśli będziesz w okolicy. Popływacie w basenie, ochłodzicie się.

W ogrodzie mieli odkryty basen, który przez większość czasu stał pusty. Napełniali go tylko wtedy, gdy z Connecticut przyjeżdżał ich syn z rodziną. Jego córka miała mniej więcej tyle lat co ja, używała inhalatora i lubiła udawać, że jest androidem, natomiast syn miał trzy lata i zapewne sikał do basenu. Nie była to dla mnie kusząca oferta.

Podziękowałem jednak.

- Mama w domu? - zapytał. Było to zupełnie zbędne pytanie, nie tylko dlatego, że nasz samochód stał na podjeździe. Wszyscy na naszej ulicy wiedzieli, że matka prawie wcale nie wychodzi z domu.

- Jest zajęta.

- Możesz jej przekazać, na wypadek, gdyby jeszcze nie słyszała. Jakiś facet uciekł z więzienia stanowego w Stinchfield. W radio mówili, że ostatnio widziano go na parkingu przy naszym centrum handlowym. Nie było zgłoszeń

o autostopowiczach i skradzionych samochodach, więc przyjmują, że wciąż jest w okolicy Żona obawia się, że zbieg skieruje się do naszego domu.

- Matka akurat szyje - powiedziałem.

- Pomyślałem tylko, że ją ostrzegę. Jest przecież sama.  
Daj znać, gdybyście mieli jakieś problemy.

## Rozdział 7

Gdy pan Jervis wreszcie poszedł, wróciłem do kuchni. Nie było mnie raptem kilka minut, ale wchodząc do pokoju, miałem wrażenie, że zaburzam jakąś równowagę, choć mieszkaliśmy tu już niemal cztery lata, a Franka poznaliśmy dopiero wczoraj. Tak jak wtedy, gdy wszedłem do sypialni ojca w starym domu, a na łóżku siedziała Marjorie z dzieckiem, w rozpiętej bluzce, z jedną piersią na wierzchu. Lub innym razem, gdy wypuszczono nas wcześniej ze szkoły, ponieważ w wyniku nieudanego eksperymentu w całym budynku cuchnęło siarką; muzyka z płyty w naszym domu grała tak głośno, że matka nie słyszała, że wszedłem i nagle zobaczyłem ją tańczącą w salonie. Nie były to zwykłe kroki taneczne ani takie, jakich próbowała mnie kiedyś nauczyć. Kręciła się po pokoju niczym jeden z derwiszów, których widziałem w programie National Geographic. I tak właśnie wyglądali ona i Frank, gdy stanąłem w kuchni z kubłem brzoskwiń. Tak jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

- Mają ich za dużo, więc chcieli się z nami podzielić - powiedziałem. - Państwo Jervisowie.

Drugiej części rozmowy, w której pan Jervis mówił o uciekinierze z więzienia, nie powtórzyłem.

Postawiłem owoce na stole. Frank klęczał na podłodze i naprawiał rurę pod zlewem. Matka siedziała obok niego i trzymała klucz nasadowy. Patrzyli na siebie.

Wyjąłem z wiadra brzoskwinie i umyłem ją. Matka nie wierzyła w istnienie zarazków, ale ja wierzyłem.

- Zarazki są tym, co odwraca uwagę ludzi od tego, czym naprawdę powinni się martwić - mawiała. - Zarazki są czymś naturalnym. Powinieneś się martwić tym, co robią ludzie.

- Dobra brzoskwinia - powiedziałem.

Matka i Frank wciąż siedzieli na podłodze. Trzymali narzędzia i nie ruszali się.

- Szkoda, że są tak dojrzałe - zauważyła matka. - Nie zdążymy zjeść wszystkich.

- Tak właśnie się stanie - powiedział Frank. Jego głos, głęboki i niski, teraz wydawał się niższy o dodatkowe pół oktawy i brzmiał tak, jakby w naszej kuchni siedział Johnny Cash.

- Mamy ważną sprawę do załatwienia - kontynuował.

Wciąż rozmyślałem o tym, co powiedział pan Jervis. Wszyscy szukali uciekiniera z więzienia. W gazecie napisali, że na autostradzie zorganizowano blokadę. Helikoptery patrolowały teren nad zaporą, gdyż komuś zdawało się, że widział tam mężczyznę odpowiadającego rysopisowi, choć później mówiono, że miał bliznę nad okiem i tatuaż w kształcie noża lub harleya na szyi. Jak nic, Frank wyjmie teraz pistolet lub nóż, owinie swym muskularnym ramieniem szyję mojej matki, którą właśnie skończył podziwiać, przyciśnie jej nóż do gardła i poprowadzi nas do samochodu.

Byliśmy jego przepustką poza granice stanu. To oczywiste. Oglądałem wystarczająco dużo odcinków serialu Magnum, by to zrozumieć. Wtedy właśnie Frank odwrócił się do nas z nożem w ręku.

- Te brzoskwinie - powiedział - wyglądają coraz gorzej. Jeśli szybko ich nie wykorzystamy, zepsują się.

- Co masz na myśli? - spytała matka. Jej głos brzmiał jakoś inaczej. Śmiała się, ale nie tak jak ktoś, kto usłyszał dobry żart, ale bardziej jak ktoś, kto jest w dobrym nastroju lub czuje się szczęśliwy.

- Zrobię ciasto brzoskwiniowe, takie jak kiedyś robiła moja babcia - powiedział.

Przede wszystkim potrzebował dwóch misek. Jednej do wyrobienia ciasta, drugiej do nadzienia.

Obrał brzoskwinie ze skórki, a ja pokroiłem je na kawałki.

- Nadzienie jest proste - wyjaśnił. - Chcę jednak chwilę porozmawiać na temat ciasta.

Ze sposobu, w jaki sięgnął po miskę, można było wywnioskować, że w swoim życiu upiekł dużo ciast.

- Przede wszystkim składniki muszą być możliwie najchłodniejsze - powiedział. - W tak ciepłe dni jest to prawdziwe wyzwanie. Musimy działać bardzo szybko, zanim ciepło otoczenia zdąży je ogrzać. Jeśli w trakcie wyrabiania ciasta dzwoni telefon, nie odbierasz. (W naszym domu nie był to wielki problem - zdarzały się dni, gdy nikt nie dzwonił, nie licząc mojego ojca, który potwierdzał nasze wspólne weekendowe plany).

Przygotowując składniki i miejsce pracy, Frank opowiadał nam o swoim życiu na farmie z dziadkami, a po wypadku dziadka tylko z babcią. To ona wychowywała go mniej więcej od dziesiątego roku życia. Twarda kobieta, ale sprawiedliwa. Nie wywiązujesz się z obowiązków, wiesz, jakie są konsekwencje, bez dyskusji. Przez cały weekend sprzątasz oborę. Jasne jak słońce.

Wieczorami czytała mu na głos. Robinson szwajcarski, Robinson Crusoe, Rikki Tikki Tavi, Hrabia Monte Christo. - W tamtych czasach nie mieliśmy telewizji - wyjaśnił. - Ale biorąc pod uwagę sposób, w jaki czytała na głos, nie było takiej potrzeby. Z powodzeniem mogłaby pracować w radio.

Mówiła mu, by nie jechał do Wietnamu. Od początku wiedziała, że tej wojny nikt nie może wygrać. On jednak myślał, że będzie sprytniejszy od wszystkich. Chciał potem przejść do rezerwy i pójść na studia. Zanim się więc zorientował, w wieku osiemnastu lat był już na pokładzie samolotu lecącego do Sajgonu. Dotarł tam dwa tygodnie przed rozpoczęciem Ofensywy Tet. Z dwunastu ludzi z jego plutonu siedmiu wróciło do domu w trumnach.

Chciałem wiedzieć, czy wciąż ma swoje nieśmiertelniki. Lub pamiętki. Broń wroga czy coś w tym rodzaju.

- Nie chcę, by cokolwiek przypominało mi o tamtych czasach - odparł.

Frank upiekł w swym życiu wystarczająco dużo ciast - ostatnio wprawdzie żadnego, ale jego zdaniem było to jak jazda na rowerze - i nie musiał dokładnie odmierzać mąki, a jedynie dla mojej informacji stwierdził, że najlepiej zaczynać od trzech filiżanek. W ten sposób zyskujesz trochę więcej ciasta, które może pójść na straty lub jeśli masz obok siebie jakiegoś nowicjusza, możesz dać mu kawałek, by wyciął sobie dowolny kształt.

Soli również nie odmierzał, ale uznał, że potrzeba mniej więcej trzy czwarte łyżeczki.

- Ciasto wybacza wiele rzeczy, Henry - powiedział. - Można popełnić wiele błędów, a mimo wszystko wyjdzie dobrze. Sól jest jednak jedyną rzeczą, o której nie można zapomnieć. Tak jak w życiu: czasem to, co najmniejsze, okazuje się tym najważniejszym.

Jedyną rzeczą, której bardzo mu brakowało przy wyrabianiu ciasta, był mikser babci. Takie urządzenie można kupić wszędzie - nie tylko w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego, ale nawet w zwykłym supermarkecie - ale ten należący do jego babci miał drewnianą rączkę pomalowaną na zielono.

- Najpierw do mąki i soli dodajesz tłuszcz. Potem mieszasz, używając miksera - powiedział. - W nagłych przypadkach, na przykład takich jak teraz, wystarczą dwa widelce.

- A teraz coś o tłuszczu. - Na ten temat miał trochę do powiedzenia. - Niektórzy ludzie używają masła, by uzyskać lepszy aromat. Jeśli jednak chodzi o kruchość, nic nie pobije smalcu. Jest to jedna z największych kontrowersji

dotyczących pieczenia ciasta, Henry - powiedział. - Przez całe życie będziesz spotykał ludzi wyznających obydwie szkoły, a przekonanie kogoś do przejścia na drugą stronę może być równie trudne, jak przekonanie demokraty do poglądów republikanina lub odwrotnie.

- A czego ty użyjesz? - spytałem. Smalcu czy masła? O dziwo, w naszej spiżarni mieliśmy smalec. Choć nie taki prawdziwy, o jaki chodziło Frankowi, lecz Crisco; matka pewnego razu wpadła na pomysł, że zrobi frytki smażone w głębokim tłuszczu. Przygotowaliśmy może z dziesięć frytek, po czym poczuła się zmęczona i poszła się położyć. Na szczęście niebieska puszka wciąż stała na półce. Zakładając oczywiście, że Frank wyznawał szkołę dodawania smalcu do ciasta.

- Jestem zwolennikiem obu szkół - wyjaśnił, przesuając szpatułką po lśniącej białej powierzchni i wrzucając kawałek tłuszczu w sam środek miski z mąką. Masło było jednak równie ważne, dlatego wysłał mnie po nie do sąsiadów. Ani ja, ani matka nigdy wcześniej od nikogo niczego nie pożyczaliśmy. Wykonanie tego zadania - mimo że wstydziłem się pytać - sprawiło mi jednak przyjemność; poczułem się tak, jakbym był bohaterem serialu sprzed lat, w którym główne postaci zawsze się odwiedzały i świetnie się ze sobą bawiły. Tak jakbyśmy wszyscy byli normalnymi ludźmi.

Gdy wróciłem z masłem, Frank pokroił część kostki na małe kawałeczki i także dodał je do miski z mąką. Znowu nie odmierzał składników, ale gdy zapytałem go o proporcje, tylko pokręcił głową.

- Trzeba kierować się instynktem, Henry - powiedział. - Przykładając zbyt wielką wagę do przepisu, stracisz umiejętność odczuwania koniuszkami palców, co akurat jest w danej chwili potrzebne. To samo tyczy się ludzi, którzy uważnie studiują szybki rzut piłki Nolana Ryana, lub

ogrodników, którzy czytają książki o najlepszych metodach uprawy pomidorów, zamiast wyjść do ogrodu i po prostu pogrzebać w ziemi.

- Twoja matka prawdopodobnie mogłaby powiedzieć coś na ten temat, ponieważ odnosi się to także do tańca - powiedział. - Do innych sfer życia również, ale w tej chwili nie będziemy się nimi zajmować.

Posłał jej spojrzenie. Ich oczy spotkały się. Nie odwróciła wzroku.

Chciał mi też powiedzieć coś, co miało związek z dziećmi. Nie był w tej dziedzinie ekspertem, ale dawno temu przez krótki czas opiekował się synem i to doświadczenie bardziej niż inne nauczyło go, jak ważne jest postępowanie zgodnie z instynktem. Odbieranie danej sytuacji wszystkimi pięcioma zmysłami i całym ciałem, a nie umysłem. Dziecko płacze w nocy, ty budzisz się i idziesz je uspokoić. Może płacze tak mocno, że jego twarz jest purpurowa, z trudem łapie oddech, jest potwornie zmęczone. Co robisz w takiej sytuacji? Czy bierzesz książkę z półki i czytasz, co na ten temat sądzą jacyś eksperci?

Nie, kładziesz dziecku dłoń na plecach i gładzisz je. Delikatnie dmuchasz w ucho. Przytulasz je mocno i wychodzisz na zewnątrz, gdzie otoczy je nocne powietrze, a na buzię spłynie blask księżyca. Może gwizdziesz. Tańczysz. Nucisz. Modlisz się.

Czasem najlepszym lekarstwem może być chłodny wietrzyk. Czasem ciepła dłoń na brzuszku. Czasem najlepszą reakcją jest brak reakcji. Musisz uważać. Zwolnić. Wyciszyć resztę świata, która nie jest ważna. Wczuć się w to, co w danej chwili jest potrzebne.

Wracając do ciasta - czasami może to oznaczać większą ilość smalcu niż masła. Innym razem zaś więcej masła niż



smalcu. Ilość wody również jest zmienna, w zależności od pogody. Mówimy, rzecz jasna, o lodowatej wodzie.

- Należy używać tak mało wody, jak to tylko możliwe - powiedział Frank. - Większość ludzi zwykle dodaje za dużo wody. Uzyskują wprawdzie idealną kulę zagniecionego ciasta, ale za to przecież nikt nie przyznaje nagród. A w efekcie otrzymują papkowate ciasto. Wiesz, o czym mówię. Równie dobrze można by jeść tekturę.

To była jedna z tych prawd, których nie wolno było mi zapomnieć: zawsze można dodać więcej wody do ciasta, ale nigdy nie można jej odjąć. A im mniej wody, tym bardziej kruche ciasto.

Bacznie słuchałem, gdy Frank opowiadał mi o wszystkim. On także poświęcał wiele uwagi zarówno mnie, jak i ciastu, które wyrabialiśmy. Koncentrował się na tym tak bardzo, jakby cała reszta świata w ogóle nie istniała.

Mówił w taki sposób, że ciężko było oderwać się choćby na chwilę. Od czasu do czasu jednak zerkałem na matkę, która stała przy stole i obserwowała nas.

Mógłbym niemal pomyśleć, że to zupełnie obca osoba. Tak była odmieniona.

Przede wszystkim wyglądała młodziej. Nachylała się nad blatem z brzoskwinia w ręku. Co pewien czas ją gryzła, a że owoc był bardzo dojrzały, z każdym kęsem sok spływał jej po brodzie i kapał na kwiecistą bluzkę. Ona jednak zdawała się tego nie widzieć. Kiwała głową i uśmiechała się, jakby świetnie się bawiła, obserwując nas. Patrzyłem tak na nią, a później na niego i nagle poczułem coś dziwnego - tak jakby przepływał między nimi prąd elektryczny. Frank mówił wprawdzie do mnie i na mnie skupiał swą uwagę, ale działało się coś jeszcze, coś ukrytego, nierozpoznawalnego dla innych, być może dla nikogo. Tak jakby przepływały jakieś fale o

wysokiej częstotliwości, wyczuwane tylko przez nielicznych. Tylko przez nich.

Mówił do mnie, ale prawdziwą wiadomość wysyłał w jej kierunku. A ona ją odbierała.

Lekcja pieczenia ciasta, rzecz jasna, nie dobiegła jeszcze końca: teraz opowiadał mi o tym, jak zrobić zagłębienie w środku miski i wlać do niego odpowiednią ilość wody, a później sypać na to pozostałe składniki i wyrabiać górną warstwę ciasta, by uzyskać kulę - nie idealną, bo taka wymagałaby zbyt dużej ilości wody. Musi być jednak na tyle zwarta, by dało się ją rozwałkować.

Nie mieliśmy wałka, ale Frank uznał, że to nie problem i możemy wykorzystać w tym celu butelkę wina. Najpierw pokazał mi właściwe ruchy - szybkie, krótkie pociągnięcia ze środka na zewnątrz. Potem powiedział, że bym sam spróbował. Bowiem jedynym sposobem nauczania się jest zrobienie czegoś samodzielnie.

Podczas wałkowania nasze ciasto sprawiało wrażenie, że wcale nie trzyma się kupy. Jedynie z grubsza było w kształcie koła, w niektórych miejscach rozłaziło się, ale Frank uciskał je brzegiem dłoni.

- Brzeg dłoni - powiedział. - Ma idealny kształt i temperaturę. Ludzie kupują dziwne urządzenia i narzędzia, tymczasem najlepsze narzędzie do tej roboty masz dołączone do swego ciała. Zawsze jest na miejscu, gdy go potrzebujesz.

Nie mieliśmy żadnego problemu z przełożeniem ciasta do formy. Rozwałkowaliśmy je na papierze, a gdy było już wystarczająco cienkie, przynajmniej według Franka, i w miarę zwarte, po prostu przykrył je formą do pieczenia, później przytrzymał papier i odwrócił wszystko do góry nogami. Odkleił papier. I gotowe.

Powierzył mi przygotowanie nadzienia. Najpierw miałem posypać brzoskwinie cukrem i odrobiną cynamonu.

- Byłoby wspaniale, gdybyśmy mieli trochę tapioki, w którą wsiąkłyby nadmiar soku - powiedział. - Rozumiecie? - Rozumieliśmy.

- Sekretny składnik z przepisu mojej babci - wyjaśnił. - Zanim położysz nadzienie na dolnej warstwie ciasta, posyp ją trochę, by wyglądała jak zimowa ulica posypana solą - i już więcej nie zobaczysz rozmoczonego ciasta. Tapioka zbiera nadmiar soku, nie pozostawiając kukurydzianego posmaku. Wiesz, o jakich ciastkach mówię, Henry? O tych o kleistej konsystencji, firmy Pop - Tart.

Wiedziałem doskonale. W lodówce mieliśmy chyba ze sto paczek tych ciastek.

Na nadzienie wyłożone na placek Frank rzucił jeszcze kawałki masła i byliśmy gotowi do ułożenia górnej warstwy.

- Ta warstwa musi być bardziej spójna niż dolna, ponieważ musimy ją podnieść - wyjaśnił. - Wciąż jednak łatwiej jest dodać trochę wody, niż w jakiś sposób usunąć ją potem z ciasta.

Znowu spojrzałem na matkę. Patrzyła na Franka. Musiał to poczuć, ponieważ on także na nią spojrzał.

- To zabawne, jak działają dobre rady - powiedział. - Ktoś odszedł z twego życia dwadzieścia pięć lat temu, ale jego rady wciąż pozostają w twojej głowie.

Nigdy nie wyrabiaj ciasta zbyt długo - to kolejna z prawd jego babci.

Powiedział nam, że z tym sobie nie radził. Myślał, że chodziło jej o pieniądze. Wyjaśnił jednak, że to był żart. Mogliśmy się nie zorientować, gdyż sądząc po mocno napiętych mięśniach jego twarzy, bardzo rzadko gościł na niej uśmiech.

Górną warstwę ciasta również rozwałkowaliśmy na papierze. Tym razem nie można było nakryć jej formą do pieczenia, ponieważ leżały już na niej brzoskwinie.

Musieliśmy więc unieść rozwałkowane ciasto i rzucić je na wierzch. Przez ułamek sekundy nasze niezbyt spójne ciasto z minimalną ilością lodowatej wody musiało zawisnąć w powietrzu. Chwila zawahania w trakcie podnoszenia i przerzucania, a całe ciasto może rozlecieć się na kawałki. Gdy rzucisz zbyt szybko, możesz minąć się z celem.

- Rzucający musi mieć pewną rękę i pewne serce. Ten moment wymaga wiary i zaangażowania - powiedział Frank.

Do tej pory Frank i ja pracowaliśmy tylko w dwójkę. Matka jedynie przyglądała się. Teraz Frank położył jej dłoń na ramieniu.

- Myślę, że sobie z tym poradzisz, Adele - powiedział.

Jakiś czas temu - nie pamiętam już, kiedy - matce zaczęły się trząść ręce. Gdy podnosiła monetę z lady lub siekała warzywa, kiedy mieliśmy coś świeżego do pokrojenia, dłoń drżała jej tak bardzo, że odkładała nóż i mówiła: - Na dzisiejszy obiad wystarczy nam zupa. Co ty na to, Henry?

W czasach, gdy używała szminki - gdy jeszcze sporadycznie wychodziliśmy z domu - kontur ust nie zawsze pokrywał się ze szminką. Prawdopodobnie z powodu drżenia rąk przestała też grać na wiolonczeli. Na strunach utrzymywała naturalne vibrato, ale nie była w stanie utrzymać smyczka. Coś, czego podjęła się tego popołudnia - zszywanie spodni Franka - również było nie lada wyzwaniem. Nawlekanie igły było niemożliwe. To musiałem zrobić ja.

Teraz podeszła do Franka, który trzymał w dłoni butelkę wina służącą nam za wałek do ciasta.

- Spróbuję - powiedziała, biorąc ciasto w palce i składając je tak, jak pokazał. Stał bardzo blisko niej. Wstrzymała oddech. Koło z ciasta wylądowało dokładnie tam, gdzie powinno. Na nadzieniu z brzoskwiń.

- Idealnie, skarbie - pochwalił ją.

Potem pokazał mi, jak należy docisnąć brzegi ciasta, by górna warstwa zeszła się z dolną, jak posmarować górę mlekiem, posypać cukrem i w trzech miejscach nakłuć widelcem, by para mogła wydostać się na zewnątrz. Wreszcie wstawił ciasto do piekarnika.

- Za czterdzieści pięć minut ciasto będzie gotowe - powiedział. - Moja babcia mawiała, że nawet najbogatszy człowiek w Ameryce nie jadł nigdy tak pysznego ciasta, jakie my dzisiaj zjemy. I będzie ono tylko dla nas.

Zapytałem go, gdzie teraz jest jego babcia.

- Nie żyje - odparł. Z tonu jego głosu wywnioskowałem, że nie powinienem pytać o szczegóły.

## Rozdział ósmy

Tego lata moje ciało zaczęło się zmieniać. Fakt, że urosłem, nie był jednak najistotniejszy. Mój głos stawał się niższy, chociaż na razie niepewnie utknął w połowie drogi i nigdy nie miałem pewności, czy jeśli otworzę usta, wyjdą z nich słowa wypowiedane moim starym, wyższym tonem, czy może nowym, niższym. Ramiona były węższe jak zawsze, ale szyja wydawała się nieco masywniejsza. Pod pachami pojawiły się też pierwsze włosy. Również niżej, w miejscu, którego nie potrafiłem nazwać.

Tam też się zmieniałem. Widziałem kiedyś nagiego ojca, co sprawiło, że teraz widok mojego ciała mnie zawstydział. Ojciec, śmiejąc się, nazwał mnie siuskiem. Richard był młodszy ode mnie. Jego też widziałem pod prysznicem i moje obawy potwierdziły się. Z moim ciałem coś było nie tak. Byłem chłopcem wychowywanym przez kobietę. Przez kobietę, która uważała, że mężczyźni są samolubni, niewierni, niegodni zaufania i okrutni. Według niej prędzej czy później jakiś facet na pewno złamie kobiecie serce. Kim więc miałem być? Jedynym synem swojej matki? Chłopcem?

Pewnego razu wiosną wydarzyło się to po raz pierwszy: dziwne zeszywnienie w okolicach pachwiny, w moich intymnych częściach - jak zwykła to określać moja matka - uciskające majtki i pojawiające się odtąd w dziwnych momentach. Zupełnie nad tym nie panowałem. Wystarczyło, że Rachel McCann podchodziła do tablicy, by rozwiązać zadanie z matematyki, a jej spódniczka podnosiła się, odsłaniając udo, że dostrzegłem skrawek majtek Sharon Sunderland, która siedziała ławkę wyżej na warsztatach plastycznych, że u jakiejś dziewczyny w ławce przede mną zobaczyłem ramiączko biustonosza lub samo zapięcie prześwitujące przez bluzkę lub gdy nauczycielka, panna Evenrud, nachylając się nade mną, pytała, jak przygotowałem

swoją bibliografię - za każdym razem czułem, jakby w moich majtkach, gdzie wcześniej egzystował jedynie mały, bezużyteczny organ, budziła się do życia nowa część ciała.

Mogłem być z tego powodu szczęśliwy lub dumny, a tymczasem odczuwałem jedynie wstyd. A jeśli ludzie to widzieli? Chodząc szkolnymi korytarzami, czułem strach przed ładnymi dziewczynami. Dziewczynami o krągłych pośladkach, dziewczynami, które ładnie pachniały, które miały duże piersi. Czytałem kiedyś artykuł o metodzie łapania sprawców napadów na banki; banknoty pokrywano jakąś chemiczną substancją, która aktywowała się w momencie wyjęcia ich z torby i opryskiwała twarze bandytów niezmywalną niebieską farbą. Właśnie tak czułem się w odniesieniu do moich erekcji - był to dla mnie niemożliwy do ukrycia dowód mojej marnej, niepełnej męskości.

Ale to nie wszystko. Najgorsze nie było to, co działo się z moim ciałem, a to, co działo się w mojej głowie. Każdej nocy śniłem o kobietach. Nie byłem pewien, co to jest seks. Były to jedynie obrazy tego, co ludzie mogli ze sobą robić, co ja mógłbym robić, chociaż wiedziałem, że w ciele kobiety jest miejsce, w które mój nowo wykształcony organ mógłby się wepchnąć niczym pijak wpychający się na imprezę. Nie przyszło mi na myśl, że ktoś kiedykolwiek mógłby chcieć, bym znalazł się w tym miejscu, i z tego powodu każda scena, jaką wymyślałem, była przepełniona wstydem i poczuciem winy

Niektóre sny nieustannie się powtarzały - obrazy dziewcząt z mojej szkoły, ale nigdy nie przyśniła mi się żadna z drużyny cheerleaderek. Te, które nawiedzały mnie nocą, były zupełnie inne. Sprawiały wrażenie, jakby w swoich ciałach czuły się równie niewygodnie jak ja w moim - jak Tamara Fisher, która roztyła się w piątej klasie, mniej więcej wtedy, gdy zmarła jej matka, a teraz poza brzuchem opiętym

białymi rajtuzami nosiła przed sobą wielkie ciężkie piersi, które wyglądały jak piersi starej kobiety, a nie trzynastolatki. Mimo wszystko chciałem je zobaczyć. Wyobrażałem sobie, że przypadkiem wchodzę do damskiej szatni i widzę przebierające się dziewczęta lub wchodzę do łazienki i widzę Lindsay Bruce siedzącą na klozecie, ze spuszczonej majtkami, dotykającą sekretne miejsce między nogami. Postaci w moich snach rzadko były piękne lub uwodzicielskie, częściej żałosne. Nie bardziej jednak niż ja.

Szczególnie jeden sen zapadł mi w pamięć: biegałem wokół jakiejś tyczki, może drzewa, goniąc uciekającą przede mną nagą Rachel McCann. Biegłem najszybciej, jak umiałem, ale nigdy nie mogłem jej złapać. I tak biegaliśmy w kółko. Widziałem jej pupę, nogi, ale nigdy nie widziałem jej z przodu, nie widziałem jej piersi (małych, ale bardzo interesujących) ani tego, co znajdowało się niżej, w nienazwanym miejscu, o którym nieustannie myślałem.

W tym śnie wpadłem na pewien pomysł. Nagle przestałem biec i odwróciłem się, patrząc w przeciwnym kierunku. Wiedziałem, że w ten sposób Rachel McCann wpadnie wprost na mnie. W końcu zobaczyłem ją z przodu. Nawet we śnie pomyślałem, że jestem bardzo sprytny. To było naprawdę niezłe.

Nigdy jej jednak nie zobaczyłem. Za każdym razem budziłem się w tym momencie w łóżku zmoczonym własnymi wstydliwymi wydzielinami, które ukrywałem przed matką, odwracając pościel na drugą stronę, upychając ją na dnie kosza na brudną bieliznę lub zmywając wodą i rozkładając w tym miejscu ręcznik, by jak najszybciej wyschła.

W końcu zorientowałem się, dlaczego golusienka Rachel nigdy nie wybiegła wprost na mnie z drugiej strony drzewa. Po prostu mój umysł nie mógł dostarczyć potrzebnego obrazu.



Piersi znalazłem (nie licząc tego jednego razu z Marjorie) wyłącznie ze zdjęć. Ale reszta - zbiór pusty.

Bardzo wiele czasu spędzałem, rozmyślając o dziewczynach, ale tak naprawdę nigdy nie rozmawiałem z dziewczynami z mojej szkoły, nie licząc tego, że czasem prosiłem którąś, by pożyczyła mi długopis. Nie miałem siostry ani kuzynki. Podobała mi się dziewczyna z serialu Happy Days, podobała mi się także jedna z Aniołków Charliego - żadna z tych dwóch, które większość ludzi uważała za ładniejsze, ale ta z ciemnymi włosami, o serialowym imieniu Jill. Lubiłem też Olivię Newton - John oraz jedną z Dziewczyn Miesiąca ze starego „Playboya”, który znalazłem kiedyś w domu ojca i przemyciłem do siebie w plecaku; niestety, rozkładówkę już wcześniej ktoś wyrwał. Jedyną kobietą, którą tak naprawdę znałem, była moja matka. Dlatego też wszelkie wyobrażenia, jakie mogłem mieć na temat kobiet, były związane właśnie z nią.

Wiedziałem, że ludzie uważają moją matkę za kobietę ładną, a nawet piękną. Gdy kiedyś przyszła do szkoły na przedstawienie, w którym występowałem, pewien ósmoklasista - zresztą w ogóle go nie znałem - zaczepił mnie i powiedział: - Twoja mama jest niezła. - A gdy dodał: - Założę się, że gdy dorośniesz, wszyscy twoi kumple będą chcieli z nią zaszaleć - poczułem się dumny.

Fakt, że była ładna i miała figurę tancerki, tylko częściowo to wyjaśniał. Myślę, że dawała również światu odpowiedni sygnał, tak jakby wydzielala jakiś zapach lub miała przyczepiony do bluzki specjalny znaczek, który mówił, że obecnie nie ma przy niej odpowiedniego mężczyzny. W szkole były również inne dzieci rozwiedzionych rodziców, ale tylko moja matka zachowywała się tak, jakby wycofała się z gry, jak kobiety z pewnego plemienia w Afryce, a może były

one z Indii, o których kiedyś słyszałem, że po śmierci lub rozstaniu z mężem uważają swoje życie za zakończone.

Przez wszystkie te lata po odejściu ojca była tylko na jednej randce. Na jednej, o której wiedziałem. Umówiła się z mężczyzną, który naprawiał nasz piec olejowy. Spędził cały poranek w naszej piwnicy, gdzie czyścił rurki. Później, gdy przyniósł rachunek, przeprosił za bałagan, jaki po sobie zostawił.

- Pani to chyba jest samotna - zauważył.

Gdy to mówił, akurat siedziałem w kuchni i odrabiałem lekcje, ale moja obecność najwyraźniej mu nie przeszkadzała.

- Samotność pewnie doskwiera - powiedział. - Szczególnie w zimie.

- Mam syna - odparła i zapytała, czy on też ma dzieci.

- Zawsze chciałem mieć - wyjaśnił. - Niestety, żona ode mnie odeszła. Teraz ma czyjeś dziecko.

Pomyślałem wtedy, że jakoś dziwnie to brzmi. Miałem wrażenie, że jeśli ktoś ma dziecko, to należy ono do rodziców, a nie do kogoś innego. Ja należałem do mojej matki, ale zastanawiałem się, czy dziecko Marjorie należało do mojego ojca?

- Lubi pani tańczyć? - zapytał. - W sobotę w Moose Lodge będzie potańcówka. Jeśli oczywiście nie ma pani innych planów.

Czy lubiła tańczyć? To było pytanie. A moja matka nie potrafiła kłamać.

Przyszedł po nią z bukietem kwiatów. Matka założyła jedną z tych spódnic, które nieco unosiły się podczas obrotów. Nie tak wysoko jak wtedy, gdy tańczyła z ojcem, kiedy było jej widać bieliznę, ale wystarczająco, by podkreślić ruchy i odsłonić nogi.

Mężczyzna, z którym była umówiona, również elegancko się ubrał. Kiedy naprawiał piec, miał na sobie firmowy

kombinezon z imieniem Keith po lewej stronie klatki piersiowej. Wieczorem jednak założył koszulę z cienkiego, syntetycznego materiału przylegającego do ciała. Koszula, rozpięta od góry, odsłaniała włosy na klatce piersiowej. Widziałem, jak matka przygotowywała się do wyjścia, jak trzy razy zmieniała kreację i stała przed lustrem, układając włosy, a teraz wyobraziłem sobie jego i jego włosy na piersiach, wystające spod koszuli.

Ja nie miałem tam włosów. Mój ojciec miał ich bardzo dużo, a ja w ogóle nie byłem do niego podobny. Czasami nawet zastanawiałem się, czy byłem jego prawdziwym synem. Może to Richard był jego prawdziwym synem? A ja tylko jakąś pomyłką?

Matka nie wynajmowała opiekunek do dziecka. Nawet żadnej nie znała, gdyż niemal nigdy nie ruszała się z domu beze mnie. Poza tym mawiała, że zostawienie mnie z opiekunką jest o wiele niebezpieczniejsze niż zostawienie mnie samego. Na świecie jest wiele osób, które wyglądają na miłe i uprzejme, ale przecież nigdy nie można mieć pewności.

- Przygotowałam ci przekąskę - powiedziała. Zostawiła mi też numer „National Geographic” poświęcony życiu w starożytnej Grecji oraz książkę nagrany na taśmę, którą kupiła w sprzedaży wysyłkowej; była to opowieść o chłopcu, którego statek rozbił się, on wylądował na jednej z wysp na Pacyfiku, gdzie żył samotnie przez trzy lata, aż w końcu został odnaleziony przez przepływający w pobliżu frachtowiec. Dostałem również zadanie, które, przynajmniej według matki, powinno mnie zainteresować, polegające na sortowaniu jej drobnych monet. Obiecała, że gdy oddamy je do banku (naturalnie miałem to zrobić ja; ona tymczasem będzie siedziała w samochodzie), dostanę dziesięć procent, czyli, jeśli będę miał szczęście, będzie to około trzydziestu pięciu centów.

- Wyglądasz jak księżniczka - powiedział Keith. - Wiem, że zabrzmiało to głupio - kontynuował - ale nawet nie wiem, jak masz na imię. W biurze mieliśmy tylko twoje nazwisko i numer konta.

Keith wyglądał młodo. Byłem zbyt mały, by dostrzec tę dramatyczną różnicę pomiędzy dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, ale Keith być może nie miał nawet dwudziestu pięciu lat. Widząc mój krawat leżący na stole, ponownie się odezwał:

- O, widzę, że chodzisz do Pheasant Ridge. Ja też kończyłem tę szkołę. - Wymienił nazwisko nauczyciela, którego być może mógłbym znać.

Po niespełna godzinie matka była z powrotem w domu. Jeśli Keith odprowadził ją do domu, umknęło to mojej uwadze. Do środka również nie wszedł.

- Wiele można powiedzieć o człowieku na podstawie tego, jak tańczy - wyjaśniła. - Ten jednak był kompletnie pozbawiony poczucia rytmu.

Wolny taniec według niego polegał na tym, że kołysali się w przód i w tył, stojąc w jednym miejscu na parkiecie, a jego dłoń wędrowała po jej plecach w górę i w dół. Ponadto pachniał jak palenisko. I mimo że otwarcie powiedziała, iż nie życzy sobie żadnych pocałunków, usilnie starał się ją pocałować, zanim wysiadła z samochodu.

- Nie był w moim typie, ale uznałam, że wypada dać mu szansę - powiedziała. - Teraz wiem, że nie jestem zainteresowana żadnymi randkami.

Matkę interesował raczej romans. A mężczyzna odpowiedni dla niej - jeśli w ogóle taki istniał - na pewno nie zabrałby jej do Moose Lodge.

W związku z długim świątecznym weekendem Frank uznał, że powinniśmy zrobić grilla. Problem jednak polegał na

tym, że nie mieliśmy mięsa, nie licząc mrożonych dań „w pięć minut” i mrożonej ryby spod znaku Cap'n Andy.

- Chciałbym postawić wam obiad - powiedział. - Mam jednak problem z płynnością finansową.

Po ostatniej wizycie w banku mieliśmy sporo dziesięciodolarowych banknotów, które matka trzymała na lodówce, w pudełkach po ciastkach. Wyjęła trzy i powiedziała, że możemy pojechać do sklepu; do tej pory nie korzystała z samochodu częściej niż raz na kilka tygodni.

- Domyślam się, że chcesz pojechać z nami - zwróciła się do Franka. - Upewnij się, że nie próbujemy uciec.

Nikt się jednak nie roześmiał, gdy to powiedziała. Ogarnęło mnie dziwne, trochę niewygodne uczucie, bo nie wiedziałem tak na sto procent, kim naprawdę jest dla nas Frank. Zachowywał się jak gość, którego zaprosiliśmy, jak znajomy, który przyjechał w odwiedziny, ale przecież wszyscy wiedzieliśmy, co nas tak naprawdę połączyło.

Rankiem, gdy matka pojawiła się w kuchni w kwiecistej bluzce i z rozpuszczonymi włosami, powiedział jej, stawiając przed nią kawę i ciastka, żeby nie próbowała robić nic podejrzanego.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał zrobić czegoś, czego oboje będziemy żałować - powiedział. - Wiesz o czym mówię, Adele.

Jego słowa brzmiały tak, jakby wyjęto je ze starego filmu, z westernu, który można zobaczyć w telewizji w sobotnie popołudnie. Matka jednak tylko skinęła głową i spuściła wzrok niczym dziecko w szkole, gdy nauczyciel każe mu wypluć gumę do żucia.

Po upieczeniu ciasta Frank wsunął do kieszeni nóż. Najostrzejszy, jaki mieliśmy. Jedwabne szaliki wciąż były na widoku, zawieszane na ściereczce obok zlewu. Nie związał matki ponownie, ale wskazał je ruchem głowy, tak jakby

dalsze wyjaśnienia nie były konieczne. Dla nich zresztą nie były konieczne. Jedynie dla mnie.

Mieszkałem tam. Ona była moją matką. Wciąż jednak czułem się jak intruz. Działo się coś, czego prawdopodobnie nie powinienem oglądać.

Frank prowadził. Matka siedziała obok niego. Ja zająłem miejsce na tylnym siedzeniu, którego nie używaliśmy od niepamiętnych czasów. „Tak to wygląda w normalnej rodzinie”, pomyślałem. Mama, tata, dziecko. Było tak, jak chciał to widzieć mój ojciec, gdy wraz z Marjorie i swymi nowymi dziećmi przyjeżdżał po mnie, z wyjątkiem tych nocy, kiedy chciałem, żeby to wszystko się skończyło. Natomiast teraz świadomość, że to może się skończyć, po prostu mnie przerażała. Widziałem tylko tył głowy matki, ale wiedziałem, że gdybym mógł spojrzeć jej w twarz, z pewnością byłaby dla mnie w pewnym sensie nieznajoma. Tak jakby była szczęśliwa.

W drodze do miasta nikt z nas nie wspomniał o tym, że Frank jest poszukiwany przez policję. Ja jednak byłem bardzo zdenerwowany. Na głowie miał czapkę baseballową, której daszek na wszelki wypadek zsunął nisko nad oczy. Miałem świadomość, że jego największym kamuflażem byliśmy my. Nikt z szukających nie spodziewał się, że będzie miał ze sobą kobietę i dziecko. Poza tym i tak miał zostać w samochodzie. Wciąż jeszcze wyraźnie utykał.

Gdy dotarliśmy na parking przed supermarketem, matka wręczyła mi banknoty, a Frank wymienił listę potrzebnych produktów: mielona wołowina, frytki i lody do ciasta. No i cebula, i trochę ziemniaków do zupy - powiedział.

- Potrzebuję też brzytwy - dodał. Chciał zwykłą brzytwę, ale w Safewayu talach nie było.

Nagle oczami wyobraźni zobaczyłem przerażający obraz: Frank trzymający matkę za szyję, z brzytwą przyciśniętą do jej

policzka. Cięcie. Pojedyncza kropla krwi spływająca po jej policzku. I jej głos: „Rób, co ci każe, Henry”.

- I piankę do golenia - powiedział Frank. - Chcę się dla was ogarnąć. Nie chcę wyglądać jak włóczęga.

Lub uciekinier z więzienia. Ale tego nikt nie powiedział.

W sklepie wszyscy robili duże zakupy przed długim weekendem. Choć raz miałem w koszyku niewiele rzeczy. Zwykle było przecież tak, że nasz koszyk był po brzegi wypchany mrożonymi daniami i zupami w puszcze; kasjerka często ironicznie pytała, czy przypadkiem nie spodziewamy się huraganu lub ataku nuklearnego.

Stojąca przede mną w kolejce kobieta rozmawiała z przyjaciółką o zbliżającej się fali upałów: w niedzielę temperatura przekroczy podobno trzydzieści pięć stopni. Dobry moment, by wyskoczyć na plażę, ale korki z pewnością będą potworne.

- Zrobiłaś już szkolne zakupy dla dzieci, Janice? - spytała przyjaciółka.

- Nawet mi o tym nie przypominaj - odrzekła pierwsza z kobiet. - Trzy pary niebieskich dżinsów dla chłopców, dwie spódnice i bielizna, a rachunek wyniósł dziewięćdziesiąt siedem dolarów.

Okazało się, że kasjerka w ubiegłym tygodniu była w centrum miasta. Mąż zabrał ją na przedstawienie zatytułowane Koty.

- Wiecie, co wam powiem? - odezwała się. - Za pieniądze, które wydaliśmy na bilety, mogliśmy spokojnie zostać w domu, oglądać telewizję i kupić klimatyzator.

Człowiek stojący za mną cały dzień smażył pomidory z własnego ogrodu, a teraz kupował słoiki do przetworów. W sklepie była też kobieta z dzieckiem, która mówiła, że zamierza przez cały weekend siedzieć w dziecięcym basenie.

- Słyszałaś o poszukiwanym facecie, który uciekł z więziennego szpitala? - zapytała nagle przyjaciółkę kobieta, która robiła zakupy dla dzieci. - Nie mogę zapomnieć jego twarzy.

- Teraz jest pewnie w połowie drogi do Kalifornii.

- W końcu i tak go złapią - powiedziała pierwsza. - Zawsze ich łapią.

- Najgorsze jest to, że taki człowiek nie ma nic do stracenia - odparła przyjaciółka. - Jest w stanie zrobić wszystko. Dla niego życie ludzkie jest warte najwyżej dziesięć centów.

Pierwsza kobieta miała jeszcze coś ciekawego do dodania, ale tego już nie słyszałem. Dotarłem do kasy, zapłaciłem i wybiegłem z zakupami. Przez chwilę nie potrafiłem odnaleźć naszego samochodu, ale w końcu go dostrzegłem. Frank zaparkował z boku budynku, obok sklepu z materiałami budowlanymi. Przed sklepem, w ramach sezonowej wyprzedaży wystawiono jedną z drewnianych huśtawek. Siedzieli na niej, a Frank obejmował matkę ramieniem. Silnik samochodu był wyłączony, ale kluczyk był w stacyjce, dzięki czemu radio mogło grać. W tej chwili rozbrzmiewała piosenka Lady In Red.

Nawet nie zauważyli, że już jestem. Powiedziałem, że powinniśmy wracać do domu, zanim lody się roztopią.

Gdy skończyliśmy jeść ciasto, nie było jeszcze zbyt późno, ale powiedziałem, że jestem zmęczony. Poszedłem do pokoju i włączyłem wentylator. Była już dziewiąta, ale wciąż panował upał. Zdjąłem z siebie wszystko z wyjątkiem bokserek i przykryłem się prześcieradłem.

Przeglądałem czasopismo „Mad”, ale nie potrafiłem się skoncentrować. Rozmyślałem o zdjęciu Franka zamieszczonym na pierwszej stronie porannej gazety, która wciąż leżała na swoim miejscu i której od rana nikt nie



otworzył, by przeczytać całą historię. Z nagłówka wiedziałem, że poszukiwania wciąż trwają, że Frank kogoś zabił, ale nic więcej. Zabawne było to, że czytanie artykułu można by pewnie uznać za niegrzeczne, skoro Frank przebywał razem z nami.

Z dołu dochodził mnie szmer ich głosów i szum bieżącej wody, gdyż zmywali naczynia. Nie słyszałem jednak, co mówili, choć wentylator nie pracował zbyt głośno. Później głosy stały się cichsze, za to rozległa się muzyka - ulubiony album matki z balladami w wykonaniu Franka Sinatry. Dobra muzyka do tańca, gdyby ktoś wiedział, co robili.

W pewnym momencie musiałem zasnąć, bo nagle obudził mnie odgłos kroków na schodach. Poprzedniej nocy Frank spał na kanapie, ale teraz, oprócz znajomych kroków matki, usłyszałem także inne, cięższe, a także jego niski głos, który zdawał się dochodzić z zupełnie innego miejsca, głębokiego, mrocznego i cichego jak jaskinia lub bagno.

Wciąż nie rozumiałem słów. Słyszałem ich głosy i szum wiatraka, a na zewnątrz cykające świerszcze i jadący samochód, choć na pewno z dala od naszego domu. Ktoś - prawdopodobnie pan Jervis - oglądał na werandzie, gdzie było chłodniej, mecz baseballa. Co pewien czas słyszałem okrzyk radości, więc domyślałem się, że Red Sox mieli jakieś dobre zagranie.

Potem ktoś odkręcił prysznic, a woda leciała bardzo długo, dłużej niż wtedy, kiedy ja się myłem. Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy nie powinienem sprawdzić, czy przypadkiem nie pękła rura, ale część mnie wiedziała doskonale, że nie powinienem tego robić. Przez okno wpadało światło księżyca. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi jej sypialni. Słyszałem muzykę towarzyszącą meczowi. Znów głosy. Tym razem szept. Jedyne, co byłem w stanie zrozumieć, to: „Ogoliłem się dla ciebie”.

Miejsce, w którym spoczywała moja głowa, graniczyło przez cienką ścianę z wezglowiem jej łóżka. Nieraz słyszałem, jak mówi lub mruczy przez sen. Także odgłosy sprężyn jej łóżka, dzwonek budzika czy tykanie zegara były dla mnie znajome, ale nigdy się nad nimi nie zastanawiałem, podobnie jak nad odgłosem bicia swego serca. Mój pokój był tuż obok jej pokoju, więc mogłem słyszeć te wszystkie rzeczy. Jej westchnienia, gdy składała pościel, dźwięk szklanki stawianej na stoliku, zgrzyt okna, które otwierała, by zaczerpnąć świeżego powietrza, tak jak teraz. Gorąca noc.

Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale i ona musiała słyszeć odgłosy dobiegające z mojego pokoju. Nagle przypomniałem sobie ostatnie noce, kiedy to błądziłem ręką po moim nieznajomym, nowym ciele, a mój oddech stawał się coraz szybszy, krótszy, aż w końcu z ust dobywało się nagłe westchnienie, gdy było już po wszystkim. Moje rozmyślenia naraz przerwało mruczenie po drugiej stronie ściany, a potem jej głos, który również odpowiadał mruzeniem. Już nawet nie było żadnych słów. Odgłosy poruszających się ciał i oddechy, uderzanie łóżka o ścianę, aż wreszcie długi, pojedynczy krzyk, jakby nocny ptak dostrzegł gdzieś swego towarzysza lub wzywał młode do gniazda, bo nadlatuje orzeł. Krzyk rozpaczy.

Po drugiej stronie ściany moje ciało usztywniło się. Leżałem tak dość długo - mecz się skończył, głosy w sąsiednim pokoju zamilkły, słyhać było tylko szum wiatraka. Aż w końcu zasnąłem.

## Rozdział dziewiąty

Sobota. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Zapach kawy świadczył o tym, że Frank jest na dole, ale nie mógł przecież otworzyć, a domyślałem się, że matka jeszcze śpi. Zbiegłem więc szybko po schodach i otworzyłem. Niezbyt szeroko, ledwie uchyliłem.

Na schodach stała Evelyn, dawna przyjaciółka matki - pojawiła się chyba po raz pierwszy od roku. Ogromny wózek, w którym siedział Barry, stał trochę niżej, na cementowym chodniku prowadzącym do drzwi. Jedno spojrzenie na Evelyn wystarczyło, żeby zorientować się, że nie jest w formie - włosy po trwałej, poskręcane we wszystkich kierunkach, mocno zaczerwienione oczy. Z czasów, gdy godzinami słuchałem jej rozmów z moją matką, gdy nas jeszcze często odwiedzała, wiedziałem, że sypiała tylko kilka godzin dziennie.

- Powiem ci jedną rzecz, Adele - mawiała. - Życie nie jest wycieczką na plażę.

- Muszę porozmawiać z twoją matką - oznajmiła. Nie musiała nawet pytać, czy matka jest w domu. Choć nie widziały się od miesięcy, Evelyn doskonale wiedziała, jaki tryb życia prowadzimy

- Śpi - powiedziałem. Wyszedłem na schody, zamiast zaprosić ją do środka, bo przecież Frank był w kuchni. Po zapachu masła topionego na patelni domyśliłem się, że robi francuskie tosty lub coś podobnego.

- Przed chwilą dzwoniła moja siostra z Massachusetts - wyjaśniła. - Nasz ojciec miał wylew. Muszę tam pojechać. Zabieranie Barry'ego w taką podróż to nie najlepszy pomysł - dodała. - Miałam nadzieję, że może twoja matka będzie mogła się nim zająć przez jeden dzień. Obie opiekunki, które zwykle mi pomagają, mają wolne z okazji długiego weekendu.

Spojrzałem na jej syna. Minęło sporo czasu, odkąd widziałem go ostatni raz. Teraz był wyższy, a na górnej wardze nieśmiało pojawił się pierwszy zarost. Wymachiwał rękami, jakby atakowała go chmara robaków, co oczywiście nie miało miejsca.

- Przygotowałam dla niego lunch - powiedziała. - Jego ulubione jedzenie. Śniadanie już zjadł, pieluchę także mu zmieniłam. Twoja matka nie będzie musiała robić przy nim zbyt wiele. Jeśli wyjadę od razu, powinnam wrócić jeszcze przed kolacją.

W domu grało radio nastawione na ulubioną stację Franka z muzyką klasyczną. Z góry matka pytała, kto przyszedł, a po chwili ona również była już przy drzwiach. Wyglądała subtelnie. Miała na sobie szlafrok, a na szyi widać było jakiś ślad. Zastanawiałem się, czy może znowu związał ją szalikami, tym razem zbyt mocno, ale wyglądało, że wszystko jest w porządku. Matka po prostu była odmieniona.

- To nie jest najlepszy moment, Evelyn - powiedziała.

- Lekarze uważają, że to nie potrwa zbyt długo - odparła Evelyn.

- Normalnie nie zastanawiałabym się ani chwili - tłumaczyła matka. - Po prostu ten moment nie jest odpowiedni - mówiąc to, spojrzała w stronę kuchni. Zapach kawy. Frank, który pogwizdywał pod nosem.

- Nie prosiłabym, gdybym miała inne wyjście - nalegała Evelyn. - Jesteś moją jedyną nadzieją.

- Chciałabym ci pomóc - odparła matka. - Ale to dla mnie trudna sytuacja.

- Obiecuję, że będzie grzeczny. - Evelyn pogładziła syna po głowie. - Pamiętasz Henry'ego i jego mamę, Barry? Jak świetnie się kiedyś bawiliście?

- No, dobrze - zgodziła się matka. - Myślę, że przez krótki czas damy sobie radę.

- Będę twoją dłużniczką, Adele. - Evelyn podniosła przednie kółka wózka, by wjechać nimi na stopień. Głowa Barry'ego przez ułamek sekundy opadła w dół, a wydawał przy tym odgłosy takie jak te, które poprzedniej nocy słyszałem za ścianą. A może były to oznaki radości? Trudno powiedzieć.

- Cześć, Barry - powiedziałem. - Co u ciebie słyszać?

- Jestem twoją dłużniczką - powtórzyła Evelyn. - Jeśli kiedyś będzie taka potrzeba, to na pewno zaopiekuję się Henrym. (Tak jakbym był odpowiednikiem Barry'ego. Jakbym w ogóle kiedyś chciał spędzić u nich dzień).

- Wiem, że się spieszysz, Evelyn - odezwała się matka. - O nic się nie martw. Wnieśmy Barry'ego do środka. Henry jest silnym chłopcem.

- Muszę się dostać na autostradę - powiedziała Evelyn. - Im szybciej wyjadę, tym szybciej wrócę. Postaw wózek przed telewizorem i będzie zadowolony. Uwielbia kreskówki. Potem jest też telewizyjny maraton z Jerrym Lewisem.

- Nie martw się - uspokajała ją matka. - Na pewno sobie poradzimy.

W czasach, gdy Evelyn i jej syn odwiedzali nas dość często, matka powtarzała, że powinniśmy coś zrobić, by nasz dom był lepiej przystosowany dla niepełnosprawnych, ale kiedy przestali przychodzić, zarzuciliśmy te plany. Teraz musieliśmy wnieść nowoczesny wózek Barry'ego po schodach i potem do salonu.

Wózek z Barrym był cięższy niż się spodziewaliśmy, ale kiedy tylko Evelyn zniknęła, Frank wyszedł z kuchni, uniósł go i pewnie, choć delikatnie wniósł do środka. Wchodząc do salonu, uważał, żeby Barry nie uderzył się głową w drzwi, a gdy postawił wózek na miejscu, poprawił mu głowę, która w trakcie przenoszenia mocno przechyliła się w jedną stronę.

- I już wszystko w porządku, kolego - powiedział. Włączyłem telewizor.

Z korytarza widziałem mamę i Franka, którzy stali w kuchni. Frank sięgał do szafki nad piekarnikiem, by ją otworzyć, i jakby mimochodem przesunął dłonią po szyi matki.

Popatrzyła na niego.

- Dobrze spałaś?

Spojrzała jeszcze raz.

- Przecież wiesz.

Frank nakarmił Barry'ego. Evelyn, co prawda, mówiła, że już jadł, ale na widok francuskiego tosta tak się rozochocił, że Frank ukroił mu kilka małych kawałków. Po raz drugi w ciągu dwóch i pół dnia widziałem, jak kogoś karmił, ale z Barrym było zupełnie inaczej. Gdy Frank wkładał łyżkę do ust mojej matki, widok był tak intymny, że musiałem odwrócić wzrok.

Po śniadaniu Frank odprowadził Barry'ego do salonu i ustawił wózek przed telewizorem. Evelyn założyła mu wiatrówkę i czapkę, ale w domu rozebraliśmy go, bo chociaż nie było jeszcze nawet wpół do ósmej, powietrze już było przesiąknięte wilgocią i gorącem.

- Wiesz, co by ci się przydało, kolego? - powiedział Frank. - Ochłodzenie wilgotną gąbką.

Wyjął z szafki miskę, napełnił ją kostkami lodu oraz niewielką ilością wody i zaniósł do salonu razem z małym ręcznikiem. Potem zanurzył ręcznik w wodzie i wykręcił.

Rozpiął Barry'emu koszulę i przejechał ręcznikiem po jego gładkiej, nieowłosionej klatce, po szyi i kościstych ramionach. Potem delikatnie przetał mu twarz. Odgłosy, jakie Barry wydawał, mogły sugerować, że jest zadowolony. Głowę, którą często kręcił na wszystkie strony, teraz trzymał prosto i nie spuszczał Franka z oczu.

- W tym wózku musi ci być naprawdę gorąco, co, kolego?  
- powiedział Frank. - Może po południu zaniosę cię do wanny i zrobię ci prawdziwą kąpiel.

Barry wydał z siebie kolejne odgłosy. Radość.

Na pierwszej stronie gazety dostrzegłem kolejny artykuł na temat rekordowo wysokich temperatur, przewidywanych korków na drogach prowadzących do plaży a także możliwych przerw w dopływie prądu, spowodowanych nadmiernym wykorzystaniem klimatyzatorów. My jednak mieliśmy tylko wiatrak.

- Chciałabym obejrzeć twoją nogę - matka zwróciła się do Franka. - Zobaczyć, jak się goi.

Podwinął nogawkę spodni. Krew wzdłuż rany była już zaschnięta. W innych okolicznościach rana wymagałaby pewnie założenia kilku szwów, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to niemożliwe.

Rana na głowie również nie wyglądała źle. Frank zapewniał nas, że gdyby nie blizna na brzuchu po operacji, już dawno rąbałby drewno.

- Rąbanie drewna daje satysfakcję - powiedział. - W ten sposób można wyrzucić z siebie całą złość, nie robiąc przy tym nikomu krzywdy.

- A z czego bierze się ta złość? - zapytałem. Nie chciałem, by chodziło o mnie lub o coś, co zrobiłem. Chciałem, by mnie polubił, by tu został. Na' razie wiedziałem tylko, że lubi moją matkę.

- No, wiesz. Końcówka sezonu Red Sox. Co roku o tej porze zaczynają grać słabo.

Miałem wątpliwości, czy naprawdę o to chodziło, ale nic nie powiedziałem.

- A skoro już o baseballu mowa - powiedział. - Gdzie masz swoją rękawicę? Gdy już skończę pomagać twojej matce, może byśmy trochę porzucali? Co ty na to?

Oglądaliśmy z Barrym Fantastyczną Czwórkę oraz Scooby - Doo. Normalnie matka nigdy nie pozwoliłaby mi oglądać tylu kreskówek naraz, ale to była wyjątkowa sytuacja. Gdy zaczęły się Smurfy, chciałem zmienić kanał na mniej dziecinny, ale Barry zaczął skamleć jak szczeniak, któremu nadepnięto na łapę, więc pozwoliłem mu oglądać tę bajkę. Program właśnie zbliżał się do końca, gdy Frank nagle zszedł po schodach - widać skończył pomagać matce - i powiedział, że ma ochotę porzucić.

- Co ty na to? - zaproponował.

Powiedziałem, że jestem w tym do niczego, ale odparł, żebym nigdy tak nie mówił.

- Jeśli będziesz uważał, że coś jest za trudne, to takie właśnie będzie. Musisz uwierzyć, że to jest w zasięgu twoich możliwości. Przez te wszystkie lata w więzieniu nigdy nie pomyślałem, że nie będę mógł się stamtąd wydostać. Uzbroiłem się w cierpliwość i myślałem pozytywnie. Czekałem na swoją szansę. Musiałem być pewien, że gdy się pojawi, będę gotów.

Do tej pory nikt z nas nie podejmował tematu ucieczki Franka z więzienia, dlatego byłem zaskoczony, że to on jako pierwszy chciał o tym rozmawiać.

- Nie wiedziałem, że przepustką na wolność okaże się mój wyrostek robaczkowy - mówił. - Ale byłem przygotowany na to okno. W myślach wyskakiwałem przez nie milion razy. Dokładnie opracowałem wszystkie ruchy - jak wyskoczę, jak wyląduję. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten kamień na trawniku, jego nie wziąłem pod uwagę. Właśnie przez niego załatwiłem sobie kostkę.

Wiedziałem też, że będę potrzebował zakładnika - kontynuował. - Osobę szczególnego typu.

Popatrzył na matkę. Ona spojrzała na niego.



- Wtedy jednak - mówił dalej - rodzi się pytanie, która z tych osób jest porywaczem, a która zakładnikiem.

Pochylił się nad nią i odgarnął jej włosy, tak jakby chciał być jak najbliżej. Może myślał, że tego nie widzę, a może wcale się tym nie przejmował.

- Jestem twoim więźniem, Adele. - Właśnie to jej powiedział.

## Rozdział dziesiąty

Pomyślałem, że zostawimy Barry'ego w domu, ale Frank powiedział, że oglądanie może sprawi mu radość, więc wyniósł go na zewnątrz i posadził na leżaku. Na głowę założył mu czapkę Red Sox, którą wyniósł z Pricemartu. Byliśmy na tyle daleko od drogi, że widział nas tylko Barry.

- Twoim zadaniem jest kibicowanie ulubionej drużynie, przyjacielu - powiedział do niego Frank.

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele - wtrąciłem. - Na pewno nigdy nie widziałeś nikogo, kto grałby w baseball gorzej niż ja. (Może Barry. Ale nie chciałem go zranić).

- Znowu chcesz się ze mną spierać na ten temat? - odparł Frank. - Nie pamiętasz, co ci mówiłem o pozytywnym myśleniu?

- No dobrze. Będę najlepszym środkowym z pola od czasów Mickeya Mantle'a.

- Mantle nie grał na środku pola - wyjaśnił Frank. - Ale mniej więcej o to chodzi.

I nagle zdarzyło się coś dziwnego. Frank rzucił piłkę, a ja ją złapałem. Gdy z domu wyszła matka, daliśmy jej moją rękawicę i ustawiliśmy na pozycji łapacza. Ja zająłem miejsce Franka i odbijałem jego rzuty. Nie wszystkie, ale więcej niż zwykle. Można było pomyśleć, że daje mi fory, ale nic na to nie wskazywało.

Stanął za mną na wyimaginowanym boisku i ułożył mi dłonie na kiju baseballowym. Dokładnie ustawił mój łokieć i nadgarstek, trochę tak jak matka, gdy uczyła mnie kroków do fokstrota.

- Patrz na piłkę - powiedział szeptem tuż przed wykonaniem rzutu. Złapałem się na tym, że powtarzam jego słowa, tak jakby miały mi pomóc w odbiciu. I najwyraźniej pomagały.

- Gdybym mógł popracować z tobą przez cały sezon, naprawdę byłbyś dobry - powiedział. - Większość twoich problemów siedzi w głowie. Jeśli pomyślisz, że coś zawalisz, to na pewno tak się stanie. Wyobraź sobie, że wyskakujesz przez szpitalne okno, lądujesz na dwóch nogach - może trochę szkła spadnie ci na głowę, może zranisz się w łydkę - i jesteś wolny. Szczerze mówiąc, bardziej martwi mnie, jak układa rękę twoja matka - dodał. Potrzebujesz solidnego treningu, Adele - zwrócił się do niej. - Z tobą musiałbym pracować znacznie dłużej. Prawdopodobnie wiele lat.

Te słowa rozbawiły ją do łez, a ja nagle zdałem sobie sprawę, że od dawna nie widziałem czegoś podobnego. Teraz ja byłem łapaczem. Frank wciąż rzucał, ale opuścił swoje miejsce i zbliżył się do matki. Ustawił się tak, by mógł ją objąć długimi ramionami.

- Rzuć tak jak trenowaliśmy, Henry - powiedział, podając mi piłkę.

Tylko jeden rzut, ponieważ nie mieliśmy łapacza. Wziąłem zamach i wypuściłem piłkę. Oboje wykonali ruch kijem. Rozległ się głuchy trzask. Piłka poleciała w pole.

Z leżaka, na którym siedział Barry, dobiegło radosne jęczenie.

Zadzwoił ojciec. On i Marjorie byli z dziećmi na pikniku. Pytał, czy możemy wybrać się do restauracji nie dzisiaj, lecz jutro. Ton jego głosu przypominał mi głosy ludzi, z którymi rozmawiałem przez telefon, gdy pomagałem matce sprzedawać MegaMite. Podobnie mówili dawni klienci, do drzwi których pukałem, a którzy już dłużej nie chcieli kupować tych witamin. Wiedziałem, że pragną tylko, bym jak najszybciej sobie poszedł, żeby mogli wrócić do swych zajęć i nie musieli dłużej czuć się winni.

- U was wszystko w porządku? - spytał ojciec. Jego głos brzmiał tak, że wiedziałem, iż nam współczuje, a jednocześnie

jak najszybciej chce zakończyć tę rozmowę i wrócić do swej nowej rodziny, w której życie było znacznie prostsze.

- Odwiedzili nas znajomi - odparłem. Według Franka po takim stwierdzeniu mógłbym przejść badanie wykrywaczem kłamstw.

Zadzwoiła też Evelyn. Ruch na drodze nr 93 był tak wielki, że do szpitala dotarła dopiero o drugiej po południu. Teraz czekała na rozmowę z doktorem. Prosiła, żeby Barry mógł zostać trochę dłużej, niż wcześniej planowaliśmy.

- Przyjedź, kiedy będziesz mogła, Evelyn - usłyszałem głos matki. - Z Barrym wszystko w porządku.

Evelyn prawdopodobnie zapytała o pieluchę. Martwiło ją to. Barry był już dużym chłopcem i podnoszenie go z wózka na pewno nie należało do łatwych czynności.

Matka nie powiedziała, że to Frank będzie zmieniał mu pieluchę. Gdy skończyliśmy grać, Frank wniósł go do środka i wykąpał w wannie z kostkami lodu i pianką do golenia. Z miejsca, w którym siedziałem, mogłem ich słyszeć: Barry wydawał dziwne dźwięki, a Frank pogwizdywał pod nosem.

- Ale ze mnie idiota - powiedział Frank w pewnej chwili.  
- Przecież zapomniałem ci się przedstawić. Jestem Frank.

Barry wydał jakiś dźwięk.

- W porządku - odezwał się Frank. - Babcia mówiła do mnie Frankie. Nie mam nic przeciwko obu tym formom.

Znów przygotował nam kolację. Matka siedziała na skraju stołu i razem popijali piwo. Wygrzebała skądś chiński wachlarz, który prawdopodobnie był częścią jednego z jej strojów tanecznych, i wachlowała nim Franka.

- Założę się, że mogłabyś przygotować jakiś ciekawy numer taneczny z tym wachlarzem i zatańczyć dla mnie, Adele - powiedział. - Na pewno masz jakiś wspaniały kostium, który do niego pasuje. Lub nie.

Z powodu upału nikt nie był głodny, ale Frank z resztek brzoskwiń i ostatniego pudełka sosu, który kiedyś kupiliśmy z jakimś jedzeniem na wynos, przygotował nam chłodnik z curry. Później matka zrobiła napój z piwa korzennego, a Barry i ja siedzieliśmy w ogródku poza polem widzenia Jervisów i ludzi korzystających z ich basenu; dobiegały do nas tylko odgłosy pluskania się chorej na astmę dziewczynki i jej brata. Gdy komary stały się zbyt uciążliwe, wróciliśmy do domu i włączyliśmy telewizor. Właśnie nadawali Bliskie spotkania trzeciego stopnia. Frank uniósł nieco Barry'ego w wózku i położył mu na szyi mokrą szmatkę. Matka w tym czasie przygotowywała popcorn.

Gdy usłyszeliśmy nadjeżdżający samochód Evelyn, Frank zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami poszedł na górę. Dla niej byliśmy tylko my troje: jej syn, moja matka i ja.

Weszła do salonu. Jej ojciec wciąż pozostawał na oddziale intensywnej opieki medycznej, ale jego stan był stabilny.

- Jak mogę ci się odwdzięczyć, Adele? - zapytała.

Wiedziałem, że matka chciała jednego - żeby już sobie poszli, ale przecież Evelyn przez dwie godziny siedziała za kółkiem.

- Powinnaś napić się wody - powiedziała do niej.

Gdy wróciła ze szklanką, w telewizji zaczęły się wiadomości. Najnowsze wydanie. Ogromne zużycie energii elektrycznej podczas fali upałów sprawiło, że ograniczenia dopływu prądu stały się całkiem realne, a przecież przed nami była jeszcze duża część długiego weekendu.

- Proszę państwa, wiemy, że jest bardzo gorąco - mówił prezenter - ale przedstawiciele służb publicznych proszą o rozsądne korzystanie z wentylatorów i klimatyzacji. Jeśli będzie zbyt gorąco, radzimy wybrać raczej zimny prysznic.

W innym programie prezenter powiedział, że policja z Nowego Jorku wciąż prowadzi poszukiwania zbiega, który w środę uciekł z więzienia stanowego.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Franka. Do tego momentu Barry sprawiał wrażenie niezbyt zainteresowanego otoczeniem, ale gdy fotografia wypełniła cały ekran, zaczął machać rękami i krzyczeć, jakby pozdrawiał starego przyjaciela. Krzyczał, klepał się po głowie i uderzał w telewizor.

Wiedziałem, że w przeszłości Evelyn i matka wiele razy rozmawiały o tym, że ludzie nie doceniają inteligencji Barry'ego, nie rozumieją, co się z nim dzieje. Evelyn nawet starała się o to, by uczył się wraz z innymi dziećmi w normalnej klasie. Teraz jednak, gdy Barry krzyczał i machał rękami, zdawała się nie dostrzegać jego podekscytowania - a przecież wymachiwał energiczniej niż zwykle, a jego bosa stopy mocno kopały powietrze. Jego wzrok, zazwyczaj rozbiegany, był teraz skupiony na ekranie telewizora.

- Najwyższy czas wracać do domu, synku - powiedziała zmęczonym głosem.

Cała nasza trójka - Evelyn, matka i ja - wypchnęliśmy wózek przez otwarte drzwi, po czym w ciemności postawiliśmy go na chodnik. Patrzyliśmy, jak Evelyn wpycha wózek na podjazd, wjeżdża nim na tył samochodu i przytwierdza do właściwego miejsca. Gdy tylne drzwi się zamknęły, wciąż widziałem twarz Barry'ego. Ciągłe wykrzykiwał jedną sylabę. Pierwsze wychodzące z jego ust słowo, które wreszcie zrozumiałem.

Powtarzał je bez końca. Zniekształcone, ale zrozumiałe: "Frank".

Tej nocy znów ich słyszałem. Musieli wiedzieć, że ściany pomiędzy naszymi pokojami są cienkie. Ale chyba zupełnie ich to nie obchodziło, ani to, co ktoś może o tym pomyśleć,

włącznie ze mną. Byli teraz u siebie, we własnym kraju, na własnej planecie.

Kochali się bardzo długo. Wtedy jeszcze nie używałem takiego słowa na określenie tego, co robili - ani żadnego innego słowa. Było to coś, czego nie znałem z własnego doświadczenia ani z doświadczenia nikogo innego. Nie spotkałem się z tym podczas tych rzadkich nocy, kiedy spałem u ojca, mimo że dzielił łóżko z Marjorie. Działo się coś, czego nie potrafiłem sobie wyobrazić w żadnym innym domu na naszej ulicy, czego nie znałem z żadnego telewizyjnego serialu - w tamtych czasach detektyw Magnum tylko nachylał się, by pocałować jakąś piękną kobietę, a jakaś para w Statku miłości tuliła się do siebie w blasku księżyca.

Choć starałem się tego nie robić, wyobrażałem sobie, że to, co dzieje się po drugiej stronie ściany między matką i Frankiem, przypomina sytuację dwójki rozbitków, którzy wylądowali na bezludnej wyspie i jedyne, czego mogą się trzymać, to własne ciała. Może to nawet nie wyspa, tylko jakaś rozpadająca się szalupa ratunkowa dryfująca pośrodku oceanu.

Czasem wezgłowie łóżka przez minutę uderzało w ścianę, miarowo i regularnie, co przypominało mi hałasy dochodzące z klatki Joego, który kręcił tam nieskończone kółka. Innym razem - co było mi trudniej znieść - słyszałem odgłosy, jakich można spodziewać się po gnieździe, w którym siedzą młode zwierzęta. Ptaki lub kocięta. I ciche, powolne i radosne mruczenie, jakby pies leżał przy kominku i delektował się kością, zlizywał z niej ostatnie kęsy mięsa.

Co jakiś czas słyszałem też głos: „Adele. Adele. Adele”.  
„Frank”.

Z tego, co słyszałem, nigdy nie mówili o miłości, jakby byli także ponad to.

W takich chwilach wiedziałem, że w ogóle nie myśleli o tym, że leżę po drugiej stronie ściany, w swoim łóżku, pod zdjęciem Einsteina, na półce jest kolekcja minerałów, obok niej książki o Narnii, list od astronautów z Apollo 12, Tysiąc jeden żartów na wspaniałe przyjęcie i jedyny liścik, jaki otrzymałem od Samantha Whitmore, co świadczyło o tym, że zauważyła moje istnienie na tej planecie: „Masz może zadanie domowe z matematyki?”.

W takich chwilach nie myśleli o fali upałów, oszczędzaniu prądu, Red Soksach, cięcie brzoskwiń, zakupach do szkoły ani jego szwach po operacji wyrostka, choć widziałem, że są jeszcze całkiem świeże, podobnie jak miejsce na łydce, w które wbił się kawałek szkła. Nie myśleli o oknach na trzecim piętrze, prezenterach telewizyjnych, policyjnych blokadach dróg i patrolujących okolicę helikopterach, których odgłosy słyszeliśmy poprzedniego dnia. Swoją drogą, co chcieli zobaczyć z góry - strugę płynącej krwi? Ludzi przywiązanych do drzew? Ognisko i męczyznę piekącego upolowaną wiewiórkę?

Dopóki siedzieliśmy w domu, nikt nie miał szans się dowiedzieć, że Frank tu jest. Może nie w ciągu dnia, ale nocą nikt nie mógł do nas przyjść. Byliśmy jak trójka ludzi nie tyle zamieszkujących Ziemię, co bardziej orbitujących wokół niej.

W zasadzie nawet nie to. Konfiguracja była w kształcie dwa plus jeden. Byli jak dwaj astronauty z Apollo, którzy poruszali się po powierzchni Księżyca, podczas gdy ich zaufany towarzysz siedział w kosmicznej kapsule, czuwał nad urządzeniami pomiarowymi i upewniał się, że wszystko jest w porządku. Gdzieś tam, w dole, mieszkańcy Ziemi oczekiwali na ich powrót. W tym momencie czas jednak zatrzymał się i nie istniała żadna atmosfera.



## Rozdział jedenasty

Nadszedł ranek - była już niedziela - i znów musieliśmy stawić czoło naszym problemom. Po południu miał po mnie przyjechać ojciec i choć tak bardzo nie chciałem z nim jechać, jak bardzo on nie chciał po mnie przyjeżdżać, musiałem udawać, że chcę.

Szkoła miała się zacząć w środę - siódma klasa. Nie mogłem spodziewać się niczego więcej ponad to, co zostawiłem w szóstej. Chłopcy, którzy wołali na mnie „ciota” lub „dupek”, gdy przechodziłem szkolnym korytarzem, będą teraz więksi, a ja - wbrew temu, co według mojej matki zrobiły ze mną witaminy MegaMite - nadal byłem mały.

W czasie wakacji dziewczynom być może urosły piersi - pewnie tak się stało - ale dla mnie będzie to oznaczało jedynie więcej problemów, ilekroć będę wstawał z krzesła. Któż nie odkryje mojego straszego sekretu, jeśli będę nosił książki na poziomie krocza, przechodząc z wiedzy o społeczeństwie na lekcję angielskiego, z angielskiego na fizykę, z fizyki na lunch? Nieważne, że nikt się tym nie przejmował, ale ta bezużyteczna część mego ciała nieustannie dawała o sobie znać, zupełnie jak Alison Smoat, która ciągle zgłaszała się do odpowiedzi, a nauczyciel zdawał się jej nie zauważać. Wiedział - tak jak my wszyscy - że jeśli tylko pozwoli jej mówić, to nie będzie w stanie jej przerwać.

Będą też testy przed naborem do szkolnej drużyny koszykówki. I wybory samorządu klasowego. Ustalą obsadę szkolnego musicalu. Różne grupy uczniów, którzy znaczą coś w tej szkole, zajmą miejsca w stołówce, dając pozostałym do zrozumienia, że nie powinni nawet myśleć o siedzeniu przy ich stolikach. Dyrektor szkoły powie o presji ze strony rówieśników i narkotykach, ktoś inny przypomni nam, że jesteśmy zbyt młodzi na rozpoczęcie współżycia, po czym wyjaśni, co to jest prezerwatywa i nałoży ją na banana, tak

jakbym w ciągu najbliższych dziesięciu lat lub w ogóle kiedykolwiek miał wykorzystać tę wiedzę.

- Wyobraź sobie to, co chcesz, by się wydarzyło - mówił do mnie Frank, stojąc na prowizorycznej górze miotacza. Ja jednak wyobraźni używałem przeważnie w łóżku.

Wyobrażałem sobie, że Rachel McCann specjalnie dla mnie ściga biustonosz i mówi: „Widzisz, jak urosły w czasie wakacji? Chcesz ich dotknąć?”.

Wyobrażałem sobie też jakąś dziewczynę, której nie mogłem rozpoznać. Przychodziła do mnie, gdy otwierałem swoją szafkę. Zakrywała mi oczy, odwracała mnie i wpychała mi język w usta. Nie widziałem jej twarzy, ale czułem piersi przyciskające się do mnie i język buszujący w moich ustach.

- Może dla odmiany ty poprowadzisz, Henry? - powiedziała nagle matka. - Chciałbyś, żebyśmy pojechali na plażę?

Teraz jednak nie byliśmy już tylko we dwoje. Było nas troje. Matka na tylnym siedzeniu, ja za kierownicą i Frank siedzący obok mnie, by czuwać, czy wszystko robię dobrze. Tak jak robiłby to ojciec. Ale nie mój ojciec.

- Co ty na to, żebyśmy na chwilę wyjechali z miasta? - odezwał się Frank. - Jedźmy na północ. Spróbujemy czegoś innego.

Klatkę z chomikiem ustawiliśmy na siedzeniu obok matki, wzięliśmy też kilka książek, talię kart, kasetę ze smutnymi irlandzkimi balladami i kilka innych drobiazgów. Żadnego jedzenia. Gdy będziemy głodni, zatrzymamy się w restauracji. Wezmę komiksy, ale nie zabiorę łamigłówek. Uświadomiłem sobie, że lubiłem te łamigłówki tylko dlatego, że nie było nic innego do roboty. Teraz było już inaczej.

Zdziwiłem się, gdy przyszło mi do głowy, że wrzucę też do bagażnika piłkę baseballową i rękawicę. Dawniej na każdą sugestię ojca dotyczącą gry w baseball reagowałem gniewem i

złością, ale rzucanie z Frankiem było bardzo przyjemne. Przy nim nie czułem się żałosny.

Jedziemy na północ przez stan Maine. Gra muzyka. Po drodze zatrzymujemy się w nadmorskiej knajpce - Old Orchard Beach. Frank i ja jemy roladki z homara, a matka rybę z frytkami.

- Boże, to smakuje zdecydowanie lepiej niż nasze mrożonki - mówi, wkładając frytkę do ust Franka.

- Jak ci smakuje rolada? - pyta mnie Frank, ale mam pełne usta, nie mogę odpowiedzieć, więc tylko szeroko się uśmiecham.

Kupujemy lemoniadę, a później przychodzi czas na lody. Przy sąsiednim stoliku siedzi dziewczyna w plażowej sukience - bo znów jest lato, a może babie lato - i liże loda, ale po chwili odsuwa go od ust i macha do mnie. Nie wie, kim jestem w swojej szkole, nie wie, kim moja matka była w naszym miasteczku, nie widziała też zdjęcia Franka w gazecie.

- Widziałam, że masz Księcia Kaspiana - mówi do mnie. - To moja ulubiona książka.

Nagle zaczyna mnie całować. Pocałunek jest długi i powolny, a jej dłoń mocno zaciska się na moim karku i trzyma mnie za włosy. Moja dłoń również wędruje wśród jej włosów, a później delikatnie na pierś. Oczywiście znowu mam wzwód, ale tym razem nie ma w nim nic zawstydzającego.

- Twoja matka i ja idziemy na spacer po plaży, synu - mówi do mnie Frank.

Pomyślałem wtedy, że jest to jedna z najlepszych rzeczy związanych z jego pojawieniem się. Nie jestem już odpowiedzialny za uszczęśliwienie matki. On może się tym zająć. Ja mogę poświęcić się innym rzeczom. Własnemu życiu na przykład.

Po przebudzeniu poczułem zapach świeżo parzonej kawy. Dopiero trzeci taki poranek, a ja już zdążyłem się do tego

przyzwyczajaić. Na mojej pościeli jak zwykle była mokra plama, ale nie przejmowałem się tym tak bardzo jak kiedyś. Matka nie sprawdzała moich brudów. Miała teraz inne rzeczy na głowie.

Tym razem, gdy zszedłem na dół, matka już nie spała. Siedzieli oboje przy kuchennym stole, pochylając się nad gazetą. Jakaś łódź przewróciła się na jeziorze Winnepesaukee i trwały poszukiwania mężczyzny. Starsza pani podczas wycieczki klubu seniora do North Conway zmarła w autobusie z powodu upału. Red Sox krótko przed play - off zajmowali drugie miejsce. Nadzieje z września odżyły.

Ale matka i Frank nie czytali tych wiadomości. Czytali inną, a może zatrzymali się tylko na nagłówku: „Policja intensyfikuje poszukiwania zbiegłego więźnia”. Władze wyznaczyły 10 000 dolarów nagrody za informacje prowadzące do ujęcia mężczyzny, który w środę uciekł z więzienia stanowego w Stinchfield. Przedstawiciel władz twierdził, że z powodu długiego weekendu i najprawdopodobniej odniesionych obrażeń oraz świeżych blizn pooperacyjnych wciąż przebywa on w niewielkiej odległości od więzienia, być może przetrzymując kogoś jako zakładnika. Nie wiadomo, czy jest uzbrojony, ale niezależnie od tego należy go uznać za osobę niebezpieczną. Jeżeli ktoś widziałby poszukiwanego mężczyznę, pod żadnym pozorem nie powinien podejmować próby ujęcia go. Należy niezwłocznie powiadomić policję. Nagroda zostanie wypłacona po zatrzymaniu zbiega.

Wszedłem do przedpokoju. Minęło kilka dni, odkąd ostatni raz czyściłem klatkę Joego. Wyjąłem go i przytrzymałem na ręce, a drugą wyłożyłem dno czystą gazetą. Ale nie stroną ze zdjęciem Franka, choć leżała na stosie. Działem sportowym.

Zwykle o tej porze dnia Joe biegałby jak oszalały w swoim kole. Rano zawsze był najbardziej ruchliwy. Dzisiaj jednak leżał na dnie klatki i dyszał. Prawdopodobnie z powodu upału. W takim dniu nikt nie miał ochoty na wykonywanie niepotrzebnych ruchów.

Stałem w przedpokoju dobrą minutę, głaskając jego futerko. Delikatnie skubał mój palec. Przez drzwi słyszałem, jak matka mówi do Franka:

- Mam trochę pieniędzy. Po śmierci matki sprzedałam dom. Wszystko wpłaciłam na rachunek oszczędnościowy.

- Potrzebujesz pieniędzy, Adele - odparł Frank. - Masz syna na wychowaniu.

- Musisz ukryć się w bezpiecznym miejscu.

- Mam nadzieję, że pojedziesz ze mną.

- To propozycja?

- Tak.

Podczas lunchu Frank powiedział nam, że jego blizna po operacji wygląda już całkiem dobrze.

- Powiniennem poprosić doktora, żeby zachował mój wycięty wyrostek i włożył do słoika - wyznał. - Chciałbym zobaczyć, jak wygląda ten drań, który umożliwił mi to wszystko. Ucieczkę. Spotkanie z wami.

Gdy to mówił, domyśliłem się, że chodzi mu o moją matkę, mimo że przy stole siedzieliśmy oboje.

Dotąd nie powiedział nam, od jak dawna siedział w więzieniu ani jak długo jeszcze musiałby czekać na wypuszczenie na wolność. Mogłem dowiedzieć się tego z gazety, ale wówczas czułbym, że go oszukuję. Dokładnie tak jak wtedy, gdybym go zapytał, za co trafił za kratki.

Byli w kuchni, zmywali naczynia. Dawniej należało to do moich obowiązków, ale teraz już nie byłem do tego potrzebny. Leżałem więc na kanapie w salonie, oglądałem telewizję i słuchałem.

- Jak to dobrze budzić się w taki sposób - powiedział, mając zapewne na myśli łóżko mojej matki i ją samą leżącą obok niego. - Nie będę jednak mógł nazwać się wolnym człowiekiem, dopóki nie będę mógł iść swobodnie ulicą, obejmując ciebie, Adele. I nie będę oczekiwał od życia nic więcej.

- Nowa Szkocja - kontynuował. - Wyspa Księcia Edwarda. Tam nikt nie będzie się nami przejmował.

Mogliby hodować kurczaki, mieć ogródek. Oceanem rządził tam Golsztröm.

- Mój były mąż nie pozwoli mi zabrać Henry'ego - powiedziała matka.

- Wiesz zatem, co to może oznaczać? - odparł.

Wyjeżdżali. Wyjeżdżali beze mnie. Przez cały czas wyobrażałem sobie, że będziemy we trójkę, jak wówczas, gdy graliśmy razem w baseball, a teraz okazuje się, że chodzi tylko o nich. Ja z nimi nie pojedę. Taki wyciągnąłem wniosek.

Niedługo, nie dzisiaj, bo bank jest zamknięty, z takiego samego powodu także nie jutro, ale później pojedą do banku. Minęło kilka lat, odkąd matka ostatni raz przekroczyła jego próg, ale teraz znowu tam wejdzie. Podejdzie do okienka - Frank będzie czekał w samochodzie - i powie, że chce podjąć pieniądze. Dziesięć minut później - liczenie banknotów może zająć trochę czasu - wróci do samochodu z torbą pieniędzy

- Co myślisz o tym, żebyśmy wysadzili to miasto w powietrze? - powie Frank słowami z jakiegoś starego westernu, który widziałem w telewizji.

- Będę za nim tęsknić - odpowie matka, mając na myśli mnie. Może nawet zacznie płakać, ale Frank ją pocieszy i szybko przestanie ronić łzy.

- Możesz mieć kolejne dziecko - powie. - Tak jak twój były mąż. Wychowamy je razem. Ty i ja. Poza tym twój syn na pewno świetnie sobie poradzi. Może mieszkać z ojcem. Z

macochą i dwójką jej dzieci. Będą się świetnie bawić. Ojciec nauczy go grać w baseball.

Nie chciałem tego, ale wciąż wyobrażałem sobie tę scenę. Gładził jej włosy, mówił, że tak naprawdę wcale jej już nie potrzebuję. A ona, z głową wspartą na jego ramieniu, wierzyła mu.

- Nie jest już dzieckiem - powie Frank. - Z tego, co wiem, myśli wyłącznie o majtkach dziewczyn. Dojrzewa. Jeśli chcesz się przekonać, spójrz na jego pościel. Chłopak w tym wieku myśli tylko o jednym.

Uda Rachel McCann. Bielizna Sharon Sunderland. Cycki panienki z Las Vegas.

- Czas, byś wreszcie pomyślała o sobie, Adele - wytłumaczy jej. Wystarczy zabawy w „męża na jeden dzień”. Teraz Frank może być jej mężem na zawsze.

Wchodząc do pokoju, narobiłem sporo hałasu, ale czasem zdawało mi się, że zupełnie nie ma to znaczenia, bo matka i Frank byli zatopieni w swoim własnym świecie. W świecie, w którym żyło tylko dwoje ludzi - ona i on. Gdy podszedłem do lodówki po mleko do płatków kukurydzianych - choć raz było to prawdziwe mleko - rozmawiali o czymś innym. W łazience obok prysznic Frank zauważył miejsce, z którego woda wycieka pod linoleum i powoduje butwienie drewna. Dzisiaj chciał się tym zająć. Miał zamiar usunąć kafelek i zbutwiałe drewno, a później zastąpić je nowym.

- Może nie zostaniemy tu na tyle długo, by miało to jakieś znaczenie - powiedziała matka.

- Mimo wszystko lepiej zająć się tym od razu - odparł. - Nie lubię zostawiać po sobie bałaganu, którym miałby się zająć ktoś inny.

Oto był dowód. Wyjeżdżali. A co miało stać się ze mną?

## Rozdział dwunasty

Podczas śniadania Frank opowiedział nam o farmie w zachodnim Massachusetts, gdzie dorastał. Jego dziadkowie uprawiali głównie borówki, jednak w późniejszych latach sadzili także choinki i dynie. Od siódmego roku życia jeździł traktorem, spulchniał glebę pomiędzy grządkami, karmił kurczaki i pielęgnował drzewka. Iglaki nie rosły, rzecz jasna, w kształcie choinek. Tajemnica tkwiła w odpowiednim przycinaniu.

Przed domem dziadkowie mieli stragan, na którym sprzedawali owoce, a także przetwory przygotowywane przez babcię, dżemy i ciasta z owocami. Frank wolałby cały dzień zbierać kurze odchody, niż sprzedawać na straganie, dlatego po śmierci dziadka babcia musiała zatrudnić dziewczynę do prowadzenia przydomowego sklepiku. Była to Mandy o rok starsza od Franka. Miała trudne dzieciństwo. Jej matka uciekła z jakimś facetem, a ojca nigdy nie poznała. Kiedy ona i Frank spotkali się pierwszy raz, Mandy właśnie porzuciła szkołę i mieszkała u siostry. Sprzątała u ludzi i imiała się innych dorywczych zajęć. Na przykład na farmie Chambersów.

Chodził z nią, jeśli można to tak nazwać, latem, po ukończeniu szkoły średniej. Głównie jeździli po okolicy, słuchali radia i rozmawiali.

- Byłem prawiczkim - powiedział mojej matce. Jak zwykle rozmawiali w taki sposób, jakby nie robiło im różnicy czy z nimi jestem, czy mnie nie ma. Jakbym był niewidzialny.

Tamtego roku został wysłany do Wietnamu. Dwa lata w służbie dla kraju. Im mniej o tym mówić, tym lepiej. Początkowo myślał, że po powrocie z wojny pójdzie na studia, ale gdy wreszcie znalazł się do domu, jedyne, czego pragnął, to zaszyć się w jakimś spokojnym miejscu, gdzie ludzie dadzą mu święty spokój. Nocne koszmary dopiero miały zacząć się pojawiać. A później zapomniał, co to znaczy spokojny sen.



Gdy wyjechał, Mandy napisała do niego trzy razy. Raz tuż po jego wyjeździe, by powiedzieć, że będzie o nim myśleć i modlić się, choć w gruncie rzeczy nie była osobą religijną. Być może podobało jej się to, że jej chłopak jest gdzieś daleko.

Później nie miał od niej żadnej wiadomości przez cały rok i większość następnego. Niespodziewanie pod koniec służby otrzymał długi list, napisany na papierze w linie, znajomym zaokrąglonym pismem pochylonym w lewo, z okrągłymi buźkami nad wszystkimi literami i.

Napisała mu o ludziach z miasteczka. O chłopcu, którego oboje znali, a który sięgał do maszyny belującej siano i stracił rękę. O drugim, który spowodował wypadek samochodowy i zabił trzyosobową rodzinę jadącą innym autem. Wkleiła również do listu nekrologi kilku starszych mieszkańców miasteczka - w paru przypadkach znajomych jego babci - którzy zmarli z przyczyn naturalnych, oraz dostawcy mleka, który pewnego dnia zamknął się w garażu i włączył silnik samochodu. Bez komentarza.

Trudno było powiedzieć, po co pisała mu o tym wszystkim, zważywszy że Wietnam ostatecznie nie był taki straszny. Może po prostu chciała dać mu do zrozumienia, że w każdym miejscu jest źle? Życie jest krótkie, więc dlaczego się nim nie cieszyć?

Jej listy, także kolejny, który nadszedł dwa dni później, zanim w ogóle zdążył odpisać na pierwszy upewniły go - mimo że nie miał nawet dwudziestu jeden lat - że tragedia i śmierć podążają za człowiekiem niezależnie od tego, którą drogą pójdzie. Nie było czegoś takiego jak ucieczka przed nimi, oczywiście wyłączając rozwiązanie, jakie wybrał pan Kirby, który zamknął się w garażu i włączył silnik samochodu. Jeśli kiedykolwiek myślał, że powrót do domu wszystko naprawi, to teraz zmienił zdanie.

Pisała, że odlicza dni do jego powrotu. Chwaliła się, że zrobiła specjalny kalendarz, który powiesiła na ścianie w domu u siostry. W dniu jego powrotu miała rozpuścić czy spać włosy?

Nie pamiętał, by kiedykolwiek prosił ją, by została jego dziewczyną, lub pomyślał, że nią jest. Teraz jednak wyglądało to tak, jakby właśnie nią była. Stało się to samoistnie, jak krzewy borówek łapiące wodę lub kurczaki, które każdego wieczora, bez przypominania wiedzą dokładnie, o której godzinie wrócić do kurnika. Na razie nie miał w głowie żadnego lepszego planu, więc dlaczego nie?

Czekała na niego w Fort Devens, gdzie przyleciał samolotem z Wietnamu. Była trochę pulchniejsza niż ją zapamiętał, nieco grubsza w talii, ale była też i dobra wiadomość - w postaci bardziej obfitych piersi. Zaliczył kilka dziewcząt w Sajgonie, a także jedną na przepustce w Niemczech, ale odkąd otrzymał te dwa listy od Mandy, zdecydował, że będzie jej wierny. Kolejny raz chciał to zrobić dopiero z nią.

Babcia przygotowała mu pokój na tyłach domu, z własną łazienką, małą lodówką i piecykiem, by mógł czuć się jak w prawdziwym apartamencie. I tam właśnie wiozła go Mandy. Babcia czekała na nich. Wyglądała dużo starzej niż przed jego wyjazdem na wojnę. Gdy wszedł do domu, telewizor był włączony; właśnie nadawali program Let's Make a Deal. Gdy usłyszał krzyk ludzi zgromadzonych na widowni, chciał odruchowo zatkać uszy.

- Możemy przyciszyć, babciu? - spytał. Ale nawet to nie pomogło. Na zewnątrz ktoś kosił trawę kosiarką, pralka w domu chyba akurat wirowała, a do tego jeszcze dochodziło włączone radio. Mężczyźni w szopie słuchali jakiegoś meczu. Ryczący odgłos. Nie był nawet pewien, czy wszyscy to słyszą, czy może hałas jest tylko w jego głowie.

- Przygotowałam ci lunch, Frankie - powiedziała. -  
Pewnie jesteś głodny

- Daj mi chwilę, babciu - odparł. - Chcę odpocząć. Może wezmę prysznic.

Dokładnie to miał na myśli, ale gdy weszli do pokoju, który przygotowała mu babcia, Mandy zawisała na jego mundurze, tak jak kobiety w programie Let's Make a Deal zwykły wisieć na Monty Hallu. Natychmiast zamknęła drzwi na klucz i zaciągnęła zasłony.

- W końcu możemy to zrobić - szepnęła.

Chciał powiedzieć, że jest zmęczony. Pewnie następnego dnia lub może troszkę później będzie w lepszym nastroju. Ona jednak już rozpięła mu kurtkę. Po chwili położyła się na podłodze i rozwiązywała mu buty. Potem rozpięła swą bluzkę i biustonosz, który miał zapięcie z przodu. Jej piersi wyskoczyły radośnie. Były większe niż zapamiętał, z dużymi, brązowymi sutkami.

- Założę się, że ci tego brakowało, kochanie - powiedziała. - A może miałeś tylko same żółte dziewczyny i zapomniałeś, jak to jest z amerykańską cipką?

Bał się, że nie będzie miał siły, ale jakoś dał radę. Pomogła mu.

- Po prostu leż na plecach i baw się dobrze - powiedziała. - Ja zajmę się resztą.

Po pięciu minutach, może szybciej, było już po wszystkim. Zeskoczyła z łóżka i poprawiła makijaż.

- Najgorszy moment na to, by mieć pryszczka - powiedziała.

Okazało się, że przyniosła tu swoje ubrania. A także bieliznę, dezodorant, szampon, lakier do paznokci i inne kosmetyki. Wieczorem, gdy znów znaleźli się w pokoju, zapytała, czy chce to zrobić jeszcze raz, ale gdy odparł, że jest

jeszcze trochę zmęczony długą podróżą samolotem, nie naciskała.

- Muszę cię ostrzec - powiedziała. - Po południu byłeś tak podniecony, że zapomniałam ci powiedzieć, żebyś założył prezerwatywę. Mam nadzieję, że to nie te dni. Moja siostra zaszła w ciążę, gdy po raz pierwszy kochała się z Jayem - wyjaśniła. Rzecz jasna było to błogosławieństwo. Dziecko było jej siostrzenicą, Jaynelle.

Kilka tygodni później powiedziała mu, że nie dostała okresu, a po kilku następnym dniach test ciążowy wyszedł pozytywnie.

- Wygląda na to, że będziesz tatusiem - powiedziała. Można było odnieść wrażenie, że trenowała wcześniej to zdanie. Może w samochodzie, w drodze powrotnej z miasta. Może kupiła już podręcznik dla kobiet w ciąży. Dziecko w drodze.

- Myślę, że przechowywałeś to wszystko tak długo, że twoje spermy stały się trzy razy mocniejsze niż normalnie - powiedziała.

Tak właśnie powiedziała. Spermy.

Nagle, zupełnie jakby cały ten kram czekał gdzieś za sceną, pojawił się sprzęt związany z ciążą i niemowlętami: kołyska, kojec, stół do przewijania, fotelik dla dziecka, sporo ciążowych bluzek i spodni, krem na rozstępy, który miał jej wcierać w brzuch, by poczuł się bardziej zaangażowany.

Kupiła też łóżeczko, które znalazła w katalogu wysyłkowym Montgomery Ward, wózek i nosidełko. Sporządziła listę dziewczęcych imion, które się jej podobały. Gdyby urodził się chłopiec, rzecz jasna, nazwałaby go po ojcu Frank. Niemal wszystko, co posiadała, przeniosła już do jego pokoju w domu babci - jej ubrania zajmowały szafę i wszystkie szuflady, poza jedną. Na ścianie zawisł plakat Ryana O'Neala, najprzystojniejszego człowieka na świecie,

naturalnie nie licząc Franka. Mówiła też, że być może mogliby zająć jeszcze część domu, tym bardziej że jego babcia była starszą i samotną kobietą. Na przykład pokój, w którym miała warsztat tkacki, byłby idealny dla dziecka. Powinni też kupić większy telewizor.

Wszystko dotarło do niego dużo później. Zanim się zorientował, wzięli ślub. Mandy była już wtedy w siódmym miesiącu ciąży - dziecko miało przyjść na świat około dnia świętego Walentego, ale ostatecznie ich syn urodził się w grudniu. Frank stał w łazience przy lustrze i golił się, a jej kosmetyki zajmowały całą umywalkę i półkę nad ubikacją. Zastanawiał się nad tym, jak wielu rzeczy potrzebują kobiety - nie jego babcia, ale na pewno Mandy - by mogły pokazać się światu. Cały ekwipunek Mandy przyniosła ze sobą już pierwszego dnia po jego powrocie - przybory do mycia, makijażu i układania włosów, kremy i spraye, tusz do rzęs, kredkę do ust, krem depilujący, wkładki higieniczne i dezodorant do higieny intymnej.

Jednej rzeczy nie przyniosła. Ale zdał sobie z tego sprawę wtedy, gdy odwiedziła ich jej siostra. W pewnej chwili zapytała: - Mandy, ciotka do mnie przyjechała. Masz może podpaszkę?

Wśród wszystkich rzeczy, jakie Mandy miała ze sobą jeszcze przed zrobieniem testu ciążowego, nie było żadnych podpasek ani tamponów. Tak jakby wiedziała, że przez dłuższy czas nie będzie ich potrzebować.

Gdy Frank opowiadał historię swego małżeństwa, on i matka siedzieli przy kuchennym stole. Ja także przy nim siedziałem i rozwiązywałem łamigłówki z mojej książki. W jednym momencie - wtedy, gdy Frank wspomniał o amerykańskiej cipce - matka spojrzała na mnie, jakby nagle przypomniała sobie, że ma syna. Ja jednak nachylałem się nad książką i gryzłem ołówek, tak jakby wszystko, co dla mnie

ważne, znajdowało się na otwartej stronie. Albo doszła do wniosku, że w ogóle ich nie słuchałem, albo wydawało jej się, że nie rozumiałem, a może wiedziała, że rozumiem, ale uznała, że nic mnie to nie obchodzi. I to była prawda. Na długo przed przywiezieniem Franka z Pricemartu matka mówiła mi o rzeczach, o których inne matki nigdy nie rozmawiają z dziećmi. Wiedziałem o pismach z firmy telekomunikacyjnej, o groźbie odcięcia połączenia i o zespole napięcia przedmiesiączkowego. Słyszałem też historię o mężczyźnie, który chciał ją zgwałcić. Odchodziła wówczas z posady kelnerki w restauracji w Bostonie, gdzie pracowała, zanim poznała mojego ojca. Na szczęście w porę pojawił się kucharz i przeszkodził napastnikowi, ale później ten sam kucharz uważał, że moja matka jest mu coś winna.

Właśnie takie historie słyszałem. Opowieść Franka nie różniła się więc od nich zbyt wiele. Tyle tylko, że była opowiadana z perspektywy mężczyzny. Dlatego nigdy wcześniej nie słyszałem tego zwrotu „amerykańska cipka”.

- Przepraszam za mój język - powiedział Frank, gdy dotarł do tej części opowieści. Był to najwyraźniej ukłon w stronę mojej matki, ale także i mnie.

Gdy Mandy trafiła do szpitala, Frank wraz z babcią siedział w poczekalni.

- Tak to wyglądało w tamtych czasach - wyjaśnił.

- Mam wrażenie, że cię zawiodłam, Frankie - powiedziała mu wtedy babcia. - Po twoim powrocie sprawy potoczyły się tak szybko. Zawsze chciałam, żebyś poszedł na studia. Miałam zbyt mało czasu, by zorientować się, czego ci potrzeba, zanim to wszystko się zaczęło.

- W porządku, babciu - odparł. Właśnie skończył dwadzieścia jeden lat. Ożenił się z kobietą, która całe popołudnia spędzała na oglądaniu telewizji i rozmowach przez telefon z siostrą na temat serialu All My Children. Po tym

pierwszym przyływie namiętności, zaraz po jego powrocie z Wietnamu, zupełnie straciła zainteresowanie seksem, a on miał nadzieję, że po urodzeniu dziecka coś się zmieni. Ostatnio wspomniała, że gdyby jego babcia podzieliła nieruchomość i dała im trochę ziemi, mogliby zrobić przybudówkę i sprzedać część posiadłości, by kupić samochód kempingowy. Jaką przyszłość miały choinki? Czy wyobrażał sobie, że ona chce spędzić resztę życia z mężczyzną, który co wieczór wraca do domu z żywicą na rękach?

- Pogódźmy się z tym - mówiła. - Większość ludzi i tak kupi sobie sztuczną choinkę. Płacą tylko raz, nie mają bałaganu spowodowanego opadającymi igłami i nie trzeba ciągle odkurzać.

Siedział teraz w poczekalni, a jego żona rodziła ich pierwsze dziecko. Nagle zdał sobie sprawę, że przez te wszystkie miesiące po jego powrocie po raz pierwszy jest sam z babcią. Przez cały ten czas był tak bardzo zajęty Mandy i dzieckiem - ślubem, zakupami.

- Nigdy mi nie mówiłeś, jak tam było - powiedziała babcia, mając na myśli dżunglę i jego pluton. - Widziałam tylko zdjęcia w wiadomościach i czasopiśmie „Life”.

- Było mniej więcej tak, jak można się spodziewać - odparł. - Wiesz, tak jak zwykle bywa na wojnie.

- Twój dziadek był taki sam. Za każdym razem, gdy chciałam go zapytać o Pacyfik, od razu zmieniał temat i mówił, że trzeba kupić nowe ostrza do kosiarki lub wspominał coś o kurczakach.

Na początku porodu zaproponowano Mandy znieczulenie zewnątrzoponowe, z czego bardzo się ucieszyła. W pewnej chwili, już w nocy pielęgniarka wyszła na korytarz, trzymając na rękach ich nowo narodzonego syna.

Przez cały czas byli tak zajęci rozmowami o kołysce, wózku, foteliku samochodowym i ubrankach, że niemal

zapomniał o tym, że przede wszystkim musi urodzić się dziecko. Teraz w jego dłonie wkładano kocyk z ciepłym, wiercącym się Francisem Juniorem. Z miękkiego materiału wystawała rączka z długimi, różowymi paluszkami i paznokciami, które wyglądały tak, jakby już w tej chwili potrzebowały przycięcia. To właśnie ją Frank zobaczył najpierw, małą dłoń, która zdawała się machać do niego.

Na głowie miał gęste włosy - rude, co było zaskakujące. Był długi, a plastikowy spinacz wciąż zaciskał kikut pępowiny. Miał mały penis, jeszcze nieobrzezany, i zaskakująco duże, kształtne jądra. Jego uszy wyglądały jak małe muszelki. Oczy miał otwarte i choć pielęgniarka powiedziała, że widzi jeszcze niewyraźnie, patrzył prosto na Franka.

Na razie nic złego mu się nie działo. Dotychczas życie ich syna było idealne, ale teraz wszystko mogło się zmienić.

Z jakiegoś powodu widok dziecka - jego nagiego, bladego i bezbronnego ciała - przywołał wspomnienia z ostatnich dwóch lat, obrazy wiosek, które mijał ze swoim plutonem w drodze do dżungli. Widok innych dzieci, o których wcale nie chciał myśleć. Dłonie wyciągnięte w jego stronę w zupełnie innych okolicznościach.

Nagle usłyszał przeraźliwy ryk i pisk. Maszyna do polerowania podłogi. Odruchowo przykrył dłonią uszy Francisowi Juniorowi.

- Za głośno - powiedział i zaraz zorientował się, że krzyczy, jakby wokół rozlegały się wystrzały karabinów, a nie zwykły hałas woskowania podłogi.

- Na pewno chce pan zobaczyć żonę - powiedziała pielęgniarka. Jego żonę. Prawie o niej zapomniał.

Zaprowadzono go do sali porodowej. Pielęgniarka wzięła dziecko, więc miał teraz wolne ręce. Wiedział, że powinien coś zrobić - objąć ją? Dotknąć jej policzka? Położyć chłodną



chusteczkę na jej czoło? Stał z opuszczonymi rękami i nie był w stanie wykonać żadnego ruchu.

- Świetnie się spisałaś - powiedział. - Wspaniałe dziecko.

- Teraz w końcu mogę wrócić do dawnej figury - odparła.

- Karmienie zrujnuje moje piersi - powiedziała. Wiedziała to od siostry, która przez siedem miesięcy karmiła Jaynelle. Poza tym, jeśli będą karmić dziecko butelką, Frank będzie mógł się w to włączyć, co też zrobił. Nocami, gdy mały płakał, to właśnie on wstawał i starał się go usypiać. Siedział w ciemności na kanapie w kuchni babci, trzymając go na rękach i patrząc, jak ssie smoczek, później chodził z nim po pokoju, gładził po plecach i czekał, aż mu się odbije. Czasem nawet zostawał z nim dłużej. Lubił, gdy byli sami.

Czasem mówił do niego. Gdyby Mandy to słyszała, pewnie uznałaby, że zwariował, ale w nocy w samotności mógł opowiadać mu o łowieniu ryb, przycinaniu drzew i czasach, gdy miał czternaście czy piętnaście lat i dziadek zabierał go w pole, gdzie dojrzewały dynie. Dziadek mówił, że w jednej z nich może wyciąć, co tylko chce. Nożykiem wyciął więc inicjały dziewczyny, która mu się podobała - Pameli Wood, a obok własne. Miał zamiar wręczyć jej tę dynię przed świętem Halloween, ale już w październiku chodziła z jakimś chłopcem z drużyny koszykarskiej.

Nocami mówił też Frankowi Juniorowi o jego przyszłym pierwszym samochodzie. Tłumaczył, że będzie musiał pamiętać o sprawdzaniu poziomu oleju, o czym sam kiedyś zapomniał i zatarł silnik, ale na szczęście dziadek mu wybaczył.

Pewnej nocy opowiedział mu o wypadku. O tym, jak siedział na tylnym siedzeniu auta, słyszał, że matka jęczy, i nie był w stanie nic zrobić. Opowiedział mu także o wiosce, w której był z resztką swego plutonu, kiedy zwariował jego kolega z Tennessee, gdy tuż obok głowy eksplodował mu

granat. O kobiecie w chatce. O małej dziewczynce leżącej na macie tuż obok niej. Nie mówił o tym wcześniej nikomu, a teraz zwierzał się synowi.

Mandy lubiła ubierać dziecko elegancko i zabierać je na spacer do centrum handlowego. W sklepie Sears zrobili sobie nawet zdjęcie na tle górskiego krajobrazu. Frank stał obok Mandy i obejmował ją ramieniem, a ona trzymała na rękach Franka Juniora z mnóstwem rudych loków na głowie. Frank martwił się, że lampa błyskowa może popsuć mu wzrok, ale Mandy wyśmiała go.

- Chyba nie chcesz wychować go na lalusia! Chłopiec musi być twardy.

Tuż po powrocie ze szpitala chciała wyjść z domu.

- Oszaleję - powiedziała. - Nie chcę siedzieć tu cały czas z twoją babcią i słuchać opowieści o dawnych czasach.

Frank zabrał ją więc na kolację do włoskiej restauracji, z winem i świecami, które paliły się kolorami tęczy, pokrywając woskiem butelki, w które były wetknięte. Spaghetti jednak okazało się niezbyt smaczne, a gdy zobaczył rachunek, pomyślał, że za te pieniądze mógłby kupić coś ładnego do domu. W dodatku lazania babci była dużo lepsza.

Martwił się także tym, że Frank Junior został z babcią. Rok temu miała wylew. Co prawda, niewielki i niegroźny, ale lekarz powiedział, że w każdej chwili może się to stać kolejny raz. Obawiał się, że akurat wtedy, gdy będzie zajmowała się dzieckiem.

Z tego powodu wieczorami zostawał w domu z Frankiem Juniorem, a Mandy wychodziła gdzieś z siostrą lub przyjaciółkami. Znalazła też pracę - w restauracji, która powstała w sąsiedztwie autostrady.

Pewnego razu, gdy byli w centrum handlowym, minęła ich jakaś para. Kobieta była w ciąży, do rozwiązania pozostało jej jeszcze kilka miesięcy, a mężczyzna obejmował ją ramieniem.

Oboje byli młodzi, mniej więcej w wieku Franka i Mandy. Mężczyzna miał specyficzne spojrzenie, jakie czasem mają rudowłosi. Był podobny do Ryana O'Neala, choć miał już całkiem pokaźny brzuch.

Gdy para znalazła się w ich polu widzenia, Frank zauważył, że Mandy wyprostowała się jak struna, a jej oczy powędrowały za mężczyzną.

- Znasz go?

- Przychodzi czasem do restauracji.

Potem zaczęła chodzić na kręgle. Później grała w bingo. Wychodziła też na drinka z siostrą. I coraz częściej rozmawiała przez telefon. Pewnego razu, gdy wrócił do domu wcześniej niż zwykle, usłyszał, jak śmieje się do telefonu. Z nim nigdy nie rozmawiała takim tonem.

Pewnego wieczoru, gdy miała grać w kręgle, zostawiła dziecko z babcią i pojechała samochodem do Moonlight Lanes.

- Kobieca liga nie rozgrywa meczów we wtorki - powiedział mu jakiś mężczyzna. - Musiał się pan pomylić.

Pojechał więc do Wagon Wheel przy autostradzie, a gdy nie znalazł tam jej auta, ruszył do Harlow's. Siedziała w narożnym boksie, a jakiś facet w koszulce baseballowej drużyny Phillies trzymał rękę na jej kolanie.

- Nie będziemy tutaj o tym rozmawiać - powiedział. - Zrobimy to w domu.

Wrócił i czekał na nią, ale nie pojawiła się ani tej, ani następnej nocy. Francis Junior wcale za nią nie tęsknił i Frank uznał, że jeśli Mandy zostawi go z dzieckiem, wszystko będzie dobrze. Pojawiła się wreszcie trzeciego dnia w czasie kolacji. Babcia, gdy ją zobaczyła, wzięła Juniora na górę. Słyszał, że nalewa wodę do wanny i mruczy do wnuka.

Mandy chciała odejść. Spotkała prawdziwego mężczyznę, jak powiedziała. Kogoś, kto wyciągnie ją z tej dziury. Bo jaką przyszłość mógł jej zapewnić Frank i jego choinki?

- Nie powiedziałam ci tego wcześniej, bo nie chciałam cię zranić. Ale za każdym razem, gdy mówiłam, że świetnie mi z tobą w łóżku, kłamałam.

Miała do powiedzenia coś jeszcze. Przede wszystkim nigdy go nie kochała. Jedyne mu współczuła, że musiał jechać na wojnę. Chciała też, żeby nie było mu przykro, gdy po powrocie będzie czekała na niego tylko starsza kobieta uprawiająca dynie.

Sam nie wie, dlaczego o to spytał. Nie było to coś, co musiał koniecznie wiedzieć, lub coś, co miałoby zmienić jego stosunek do syna. A jednak spytał, czy dziecko naprawdę jest jego.

Roześmiała się. Gdyby nie była pijana, być może nie zareagowałaby w taki sposób, ale odrzuciła głowę do tyłu i długo zanosila się śmiechem.

Wtedy ją popchnął. Nie ma wątpliwości, że chciał jej zrobić krzywdę, ale nie spodziewał się, że upadnie. Spadając, uderzyła głową w granitowe schody. Z ucha wypływała jej strużka krwi, tylko tyle. Skręciła kark.

Nie od razu - najpierw klęczał przy niej i trzymał jej głowę w dłoniach - ale po kilku minutach zdał sobie sprawę, że woda na piętrze wciąż się leje. Wanna musiała być przepelniona, ponieważ na suficie pojawiły się już zacieki. Jakby pękła jakaś gruba rura. Lało się tak jak czasem w dżungli, tyle że teraz był we własnym domu.

Pokonywał po dwa schody naraz. Z hukiem otworzył drzwi do łazienki. Na podłodze leżała babcia. Jej serce przestało bić.

A w wodzie, z rudymi włosami przylepionymi do ciała, z rozrzuconymi rączkami i nóżkami i wyrazem zdziwienia

zastygłym na twarzy - jakby oświetlała ją zorza polarna - leżało ciało Franka Juniora.

Gdy go zatrzymano, prokurator zakwalifikował sprawę jako zabójstwo.

Twierdził, że Frank jest odpowiedzialny za śmierć Mandy. Nie miał zamiaru jej zabić, ale to zrobił. Takie były fakty i powinien ponieść karę.

Później doszedł jednak nowy element, którego nikt się nie spodziewał. Siostra Mandy zeznała, że Frank nie jest biologicznym ojcem dziecka i gdy się o tym dowiedział, zamordował je.

- A co z moją babcią? - zapytał wtedy Frank. Doktor orzekł, że był to atak serca. Wypadek.

- Zgoda, miała atak serca - powiedział prokurator. - Ale która starsza kobieta o słabym sercu nie dostałaby zawału, widząc, że syn morduje jej wnuka?

I oskarżył go o morderstwo. obrońca Franka, czując, że sprawy przybierają zły obrót, powołał biegłego w dziedzinie zespołu stresu pourazowego. Chciał przyjąć nową linię obrony i wykazać chwilową niepoczytalność Franka. W tamtym czasie on jednak nie dbał o to. Jaka to różnica?

Ostatecznie sąd skazał go na dwadzieścia lat więzienia bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie. Pierwsze osiem lat odsiedział w szpitalu. Gdy uznano go za zdrowego, został przeniesiony do więzienia stanowego. Gdy wyskakiwał przez okno, do odsiadki zostały mu jeszcze dwa lata.

- Wiedziałem, że muszę stamtąd uciec - powiedział. - Wiedziałem, że jest jakiś powód, dla którego muszę wyskoczyć. Nie myliłem się.

Powodem była ona. Moja matka. Wtedy jeszcze tego nie wiedział, ale wyskoczył przez szpitalne okno po to, by ją ocalić.

## Rozdział trzynasty

Matka poprosiła, bym wybrał się do biblioteki. Chcieli z Frankiem przejrzeć książki o nadmorskich prowincjach Kanady. Uznała, że najbezpieczniej będzie, jeśli pojedę tam sam, na rowerze.

- Rozumiesz, Henry - powiedział Frank. - Mam tutaj twoją matkę. Pamiętasz, jak ją wcześniej związałem. To właśnie jest sytuacja, w jakiej znajdują się zakładnicy

Powiedział to w taki sposób, że przypomniałem sobie pewne zdarzenie, rok czy dwa po rozwodzie. Ojciec wypełnił jakieś dokumenty i później odwiedziła nas kobieta przysłana przez sąd, by zapytać matkę o jej stosunek do rodzicielstwa.

- Czy czuje pani gorycz i żal do byłego męża? - pytała. - Czy wyładowuje pani swą złość na synu?

- Nie czuję złości ani żalu do ojca mojego syna - odparła matka spokojnym tonem. (Jej usta układały się w coś w rodzaju uśmiechu). - Myślę, że robi kawał dobrej roboty.

- Jak opisałaby pani swoje nastawienie do żony swego byłego męża? Czy kiedykolwiek wyrażała się pani negatywnie o ich związku?

- Marjorie to bardzo miła osoba. Jestem przekonana, że wszyscy razem będziemy świetnie współpracować.

Kobieta przysłana przez sąd nie widziała, rzecz jasna, tego, co stało się później. Gdy wyszła, matka wyjęła z lodówki dużą butelkę mleka. (Prawdziwego mleka. Wtedy jeszcze chodziła do sklepu). Otworzyła ją i stojąc na środku kuchni, powoli wylała zawartość na podłogę, tak jakby podlewała grządkę kwiatów.

Teraz też, choć w nieco inny sposób, nie miałem wątpliwości, że słowa Franka - „sytuacja, w jakiej znajdują się zakładnicy” - były tym, co po prostu musiał powiedzieć w tej chwili. Niezależnie od tego, co myślałem o stosunkach łączących jego i moją matkę - że zamierzali wyjechać razem

do jakiejś rybackiej wioski w Kanadzie, a mnie zostawić z ojcem i Marjorie - jednego byłem pewien, że Frank nie skrzywdzi mojej matki. Chciał tylko, byśmy upewnili się, że nic nam nie grozi, gdyby ktoś odkrył, że przebywa w naszym domu.

- Nikomu nic nie powiem - odparłem, grając rolę przestraszonego syna równie dobrze, jak Frank swoją - bezwzględnego uciekiniera z więzienia.

Biblioteka w Holton Mills nie była zbyt obleganym miejscem w niedzielne popołudnie Święta Pracy Była w tym dniu w ogóle czynna tylko dlatego, że zorganizowano wyprzedaż książek, z której dochód miał być przeznaczony na zakup nowych zasłon czy czegoś podobnego. Na trawniku przed budynkiem grupa kobiet sprzedawała lemoniadę i ciasteczka owsiane, a klaun robił dziwne figurki z balonów. Stały też pudełka z książkami przeznaczonymi na sprzedaż, takimi jak zbiory przepisów kulinarnych czy autobiografia Donny'ego Osmonda. Panował przyjemny nastrój. Ludzie spacerowali, rozmawiając o tym, jak mija im weekend i jak radzą sobie z falą nieznośnych upałów Rzecz jasna, że mną nikt nie rozmawiał. Tak jakbym wysyłał nieuchwytnie dla ludzkiego ucha fale dźwiękowe, które niosły ze sobą wyraźną wiadomość: „Trzymajcie się ode mnie z daleka”. Wszyscy ci szczęśliwi ludzie jedzący ciasteczka i przeglądający stosy starych książek, m.in. Jane Fonda Workout (widziałem ze trzy różne wydania), oczywiście nie mogli wiedzieć, co dzieje się w moim domu, ale chyba sprawiałem wrażenie osoby niezbyt zainteresowanej balonami i pudłami pełnymi książek, co zresztą było zgodne z prawdą.

Wchodząc po schodach do biblioteki, pomyślałem, że muszę być jedyną osobą w mieście, która nie przebywa w tej chwili na żadnym pikniku, nie gra we frisbee, nie kroi ziemniaków na sałatkę ani nie siedzi w basenie. Co innego być

tutaj z powodu lemoniady i Agaty Christie, ale kto w ostatni weekend letnich wakacji miałby ochotę siedzieć w bibliotece i szukać książek na temat Wyspy Księcia Edwarda?

W środku poza mną była tylko jedna osoba. Poszedłem do czytelnicy, by zapisać w notesie informacje z encyklopedii; to były jeszcze czasy, gdy wiedzę czerpaliśmy właśnie stamtąd. Wtedy ją zobaczyłem: siedziała w jednym ze skórzanych foteli, w których ja także często siadywałem. Przyjęła jednak pozycję lotosu, tak jakby medytowała, chociaż leżała przed nią książka. Nosła okulary, a włosy miała splecione w warkocz. Ubrana była w krótkie spodenki odsłaniające sporą część nóg i było widać, jak bardzo jest szczupła.

Była mniej więcej w moim wieku, ale nie znałem jej. Normalnie byłbym zbyt nieśmiały, by się odezwać, ale może dzięki Frankowi - który wyskoczył z okna i zrobił całą masę innych rzeczy, udowadniając, że świat jest tak zwariowanym miejscem, iż można zaryzykować - zapytałem, czy chodzi do szkoły gdzieś w okolicy.

- Dopiero się tu przeprowadziłam - powiedziała. - Przez ten rok mam mieszkać razem z ojcem. Oficjalny powód jest taki, że mam problemy z jedzeniem i wszyscy mają nadzieję, że pomoże mi zmiana otoczenia. Naprawdę jednak myślę, że mama chce się mnie pozbyć i rozpocząć beze mnie nowe życie ze swoim facetem.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziałem. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym z kimkolwiek dyskutować na temat tego, co łączy moją matkę i Franka, ale dziewczyna wyglądała na taką, która mnie zrozumie. W dodatku nie znała nikogo stąd i podobała mi się. Nie można jej było nazwać piękną, ale wyglądała na zainteresowaną rzeczami, o których nie myślą inne dziewczyny, koncentrujące się jedynie na ciuchach i zdobyciu chłopaka.

Spytałem, co czyta.



- Szukam czegoś na temat mojej sytuacji prawnej - odparła. - Czytam też trochę o psychologii dziecka.

Studiowała opisy różnych urazów psychicznych, chcąc wykorzystać swój przypadek przeciwko rodzicom z powodu sytuacji, w jakiej się znalazła.

Na imię miała Eleanor. Mieszkała w Chicago. Do tej pory przyjeżdżała tu tylko czasem na wakacje. Miała zacząć ósmą klasę. Chciała pójść do renomowanej szkoły prywatnej, gdzie kładziono nacisk głównie na sztukę, lekcje WF nie były obowiązkowe, można było nosić dowolne ciuchy lub nawet kolczyk w nosie, a nauczyciele nie robili z tego żadnych problemów. Jednak w ostatniej chwili musiała zrezygnować.

- Moi głupi rodzice powiedzieli, że nie mają pieniędzy - wyjaśniła. - Witaj więc szkoło Holton Mills Junior High.

- Ja idę teraz do siódmej klasy. Na imię mam Henry - przedstawiłem się.

Przyniosłem stos książek o nadmorskich prowincjach, czyli Maritimes, bo tak też je nazywano. Położyłem je na podłodze, tuż obok skórzanego fotela stojącego naprzeciwko Eleanor.

- Pisziesz jakąś pracę czy co? - zapytała.

- Mniej więcej. To dla mojej matki. Chce wiedzieć, czy Kanada jest dobrym miejscem na przeprowadzkę.

W Eleanor było coś, co sprawiało, że nie chciałem jej okłamywać.

- Moja matka i jej facet - wyjaśniłem. Użyłem słowa, którego nie wypowiedziałem nigdy wcześniej. Na pewno nie w związku z matką. Nie było w tym chyba nic złego. Fakt, że czyjaś matka ma faceta, nie oznacza od razu, że jest on zbiegiem z więzienia.

- Jak się z tym czujesz? - zapytała. - Opuszczasz wszystkich przyjaciół. Pytam, bo w związku z przeprowadzką spotyka mnie to samo, i szczerze mówiąc, uznaję to za

ograniczenie praw dziecka. Nie czuję się dzieckiem, ale z prawnego punktu widzenia nim jestem. Nie wspominając już o oddziaływaniu na psychikę. Każdy ekspert potwierdzi, że szczególnie w okresie dojrzewania niewskazane jest zmuszanie młodego człowieka do tworzenia więzi z nowymi ludźmi, którzy mogą, ale nie muszą mieć z nim wspólne tematy. Szczególnie jeśli, bez obrazy, ten miody człowiek jest przyzwyczajony do życia w wielkim mieście, wśród klubów jazzowych i galerii, a teraz jego głównymi atrakcjami będą kręgle i rzucanie podkowami. Gdy opowiem o tym znajomym w mieście, nikt mi nie uwierzy. Nie mówię, że chodzi tu o ciebie, ale takie jest moje ogólne wrażenie.

Uznałem, że mówienie jej o tym, iż nie mam przyjaciół, mija się z celem. Że nie mam nikogo, za kim miałbym tęsknić - jedynie kilku wyrzutków w szkole, z którymi dzieliłem stolik w stołówce, ten, przy którym siedzieli wszyscy odrzuceni. Nikt nie chciał z nimi siedzieć. Syberia.

- W moim przypadku - powiedziałem - problem polega na czymś innym. Na odrzuceniu. Może to jakiś ogólny trend panujący teraz wśród matek. Wygląda na to, że moja matka także chce się mnie pozbyć. Ona i jej facet prawdopodobnie chcą, bym zamieszkał z ojcem i jego żoną, Marjorie, z jej synem, który jest w moim wieku i chyba jest ulubieńcem mego ojca, oraz z ich małym dzieckiem, które pluje na mnie za każdym razem, gdy trzymam je na rękach. Nigdy bym nie pomyślał, że matka może zrobić mi coś takiego - dodałem.

- To seks - powiedziała Eleanor. - Gdy ludzie uprawiają ze sobą seks, to działa na ich mózgi. Mają wówczas zniekształcony obraz świata.

Mogłem powiedzieć, że sposób, w jaki moja matka postrzegała świat, zanim jeszcze zaczęła uprawiać seks z Frankiem, przez wielu ludzi również mógłby zostać uznany za nienormalny. Zastanawiałem się, czy Eleanor zna skutki

uprawiania seksu z doświadczenia, czy może przeczytała o tym w jakiejś książce. Nie wyglądała na kogoś, kto miałby na swoim koncie takie doświadczenia, ale z pewnością wiedziała więcej niż ja. Jeśli mówiła z doświadczenia, to nie chciałem zdradzić, że ja nie miałem żadnych, poza tym, co sam robiłem nocami w łóżku. Choć, gdy zastanowiłem się nad wpływem tego na mój mózg, mógł to być dowód na potwierdzenie jej teorii. Niemal przez cały czas myślałem wyłącznie o seksie, z wyjątkiem chwil, w których myślałem o tym, co działo się z moją matką i Frankiem, ale to także było związane z seksem.

- To tak jakby byli naćpani - powiedziała. Przypomniałem sobie wówczas jedną z reklam telewizyjnych. Zaczynała się od obrazu patelni stojącej na kuchence. Potem były dłonie trzymające jajko.

„To jest twój mózg”, mówił głos.

Dłonie zginały jajko. Jajko lądowało na patelni. Potem widać było białko i żółtko, skwierczące i zmieniające kolor.

„To jest twój mózg po zażyciu narkotyków”.

Okazało się, że Eleanor szukała odpowiedzi na pytanie, czy jako nieletnia (miała czternaście lat) może pozwać swych rodziców. Myślała o tym, by skontaktować się z prawnikiem, ale najpierw chciała poczytać o podstawowych zagadnieniach.

- Napisałam list do dyrekcji szkoły do której miałam chodzić - powiedziała. - Zapytałam, czy mimo wszystko mogę się tam uczyć, a chesne odpracować, sprzątając łazienki lub robiąc cokolwiek innego. Nie dostałam jednak odpowiedzi.

Wtedy ja powiedziałem, że w środę, gdy tylko otworzą bank, a ja będę w szkole, matka i jej facet prawdopodobnie podejmą wszystkie oszczędności i pojedą na północ. Prawdopodobnie teraz się pakowali. Może to był prawdziwy powód, dla którego wysłali mnie do biblioteki. To lub seks.

- Czy twoja matka wcześniej umawiała się z tysiącami facetów? Biegała po barach i odpowiadała na ogłoszenia towarzyskie? - zapytała Eleanor.

- Nie, nie - odparłem. - Moja mama jest osobą... - urwałem w połowie. Niełatwo było ją opisać. Na świecie nie było nikogo podobnego do niej. - Moja mama jest... - zacząłem jeszcze raz. Nie spodziewałem się tego, ale głos zaczął mi się łamać w połowie zdania. Próbowałem to ukryć, udając, że muszę odchrząknąć, ale Eleanor domyśliła się, że jestem zdenerwowany.

- Nie możesz jej za to winić - powiedziała. - To tak jakby on rzucił na nią jakiś urok. Można powiedzieć, że ją zahipnotyzował. Tacy mężczyźni używają swoich penisów zamiast starych zegarków na łańcuszkach.

Starłem się wyglądać zwyczajnie, gdy wymawiała słowo „penis”. Nie znałem dotąd dziewczyny, która powiedziałaby coś takiego na głos. Nie licząc mojej matki. Kiedy kilka lat temu poparzyłem się pokrzywą i całe nogi i uda miałem w bąblach, zapytała mnie, czy mój penis też ucierpiał. A rok temu, gdy chciałem udawać superbohatera i przeskoczyć nad granitowym słupkiem - jednak źle oceniłem jego wysokość - matka, klęcząc nade mną zwijającym się z bólu i trzymającym za krocze, poprosiła, bym pokazał jej penis.

- Muszę zobaczyć, czy trzeba cię zawieźć na pogotowie - wyjaśniła. - Uraz może zaburzyć funkcjonowanie penisa lub jąder.

Do matki jednak byłem przyzwyczajony, ale słuchanie Eleanor mówiącej o takich rzeczach - o części mojego ciała, o której nie potrafiłem rozmawiać - sprawiało, że czułem się dziwnie. Jednak od chwili, gdy to powiedziała, miałem wrażenie, że teraz mogliśmy już rozmawiać o wszystkim. Przekroczyliśmy zakazany obszar.

- Jej pokój jest tuż obok mojego - wyznałem. - Słyszę ich w nocy Gdy to robią. Ona i... Fred.

Postanowiłem, że zmienię mu imię, by chronić jego tożsamość.

- No to jest uzależniony od seksu. Albo jest żigolakiem. Albo jedno i drugie.

Wiedziałem, że nie o to chodzi. Lubiłem Franka. To był prawdziwy problem, choć nie miałem zamiaru o tym rozmawiać. Lubiłem go tak bardzo, że chciałem jechać z nimi. Lubiłem go do tego stopnia, że wyobrażałem sobie, iż jest członkiem naszej rodziny. Przez tych kilka szczęśliwych dni, kiedy przebywał w naszym domu, razem z matką i ze mną, nie docierało do mnie, że przecież zajmie moje miejsce.

- Nie masz chyba kompleksu Edypa, prawda? - zapytała. - Nie chcesz poślubić swojej matki? To się czasem zdarza chłopakom, ale zwykle wyrastają z tego w twoim wieku.

- Lubię normalne dziewczyny - odparłem. - W moim wieku, a jeśli starsze, to niewiele.

Jeśli myślała, że mówię o niej, to bardzo dobrze.

- Matkę lubię tak, jak powinno się lubić matkę - dodałem.

- W takim razie może będziesz musiał pomyśleć o wizycie u specjalisty - powiedziała Eleanor. - To właśnie zrobiła ze mną moja matka, choć uważam, że postąpiła niewłaściwie. Jeśli ktoś potrzebował specjalistycznej porady to ona i jej szurnięty facet. Ale z psychologicznego punktu widzenia to bardzo skuteczna metoda. Jeśli sytuacja wygląda tak, że ten ktoś rzucił czar na twoją matkę, to musisz ją odczarować. Stosowano to w przypadku ludzi, którzy trafiali do sekt w czasach, gdy było to bardzo popularne. Była kiedyś taka dziewczyna, Patty Hearst. Pochodziła z bogatej rodziny, takiej jak w serialu Dallas. Została porwana i wkrótce rabusie, którzy byli politycznie zaangażowanymi ekstremistami, zaprogramowali ją tak, że napadała dla nich na banki. Działo

się to w czasach, gdy nie było nas jeszcze na świecie. Matka opowiadała mi o tym. Człowiek, który ją porwał, miał coś, co nazywa się charyzmą. Przez to Patty zmieniła się do tego stopnia, że zaczęła nosić wojskowe ciuchy i karabin maszynowy. Gdy w końcu wróciła do domu, jej rodzice musieli wysłać ją na leczenie do wielu psychiatrów, zanim odzyskała swą dawną osobowość. Rozpoznawanie, kto jest dobrym człowiekiem, a kto złym, może być dla wielu ludzi bardzo trudne. A może tak naprawdę nikt nie jest dobry, dlatego Patty Hearst dała się wmanewrować w napady na banki. Sama miała wówczas tak wiele problemów, że bardzo łatwo ulegała różnym wpływom.

Tak mogło być z moją matką.

Frank mocą seksu zrobił jej pranie mózgu.

- Jeśli rzeczywiście o to chodzi, to w jaki sposób ktoś przywróci ją do dawnej postaci? - zapytałem. (Celowo nie powiedziałem „normalnej postaci”. Po prostu żeby była taka jak wcześniej).

- Seks jest zbyt potężnym narzędziem - powiedziała Eleanor. - Nie jesteś w stanie nic zrobić, by mu przeciwdziałać.

Innymi słowy sytuacja była beznadziejna. Moja matka przepadła. Spojrzałem na stos książek leżących u moich stóp. Jedna z nich była otwarta na zdjęciu wzgórz na Wyspie Księcia Edwarda, z polami uprawnymi i oceanem w tle. Gdy Eleanor zobaczyła książkę, powiedziała, że na tej wyspie mieszkała Ania z Zielonego Wzgórza, ale to zupełnie inna historia. Gdy Frank zabierze moją matkę, nigdy już z nią nie wróci.

- Jeśli rozwód rodziców nie skrzywił twojej osobowości - powiedziała Eleanor - to postępowanie faceta twojej matki prawdopodobnie doprowadzi cię do silnej nerwicy. Dla

własnego dobra miej nadzieję, że w przyszłości zarobisz wystarczająco dużo pieniędzy, by opłacić swoją terapię.

Mówiąc to, trzymała w zębach końcówkę warkocza. Pomyślałem, że być może jest to dla niej substytut jedzenia. Wstała z fotela i stanęła nade mną. Mogłem się teraz przekonać, że jest znacznie chudsza, niż myślałem. Zdjęła również okulary, a wtedy dostrzegłem cienie pod oczami. Z jednej strony wyglądała staro, a z drugiej jak mała dziewczynka.

- Widzę dla ciebie tylko jedną szansę - powiedziała. - Nie mam na myśli tego, że masz go zabić, czy coś podobnego. Musisz jednak znaleźć sposób na wyrzucenie go ze swego świata.

- Nie wiem, czy to możliwe - odparłem.

- Popatrz na to w ten sposób, Hank - tłumaczyła. (Hank? Nie wiem, skąd jej się to wzięło). - Albo ty pozbędziesz się jego, albo on pozbędzie się ciebie. Co wybierasz?

Gdy wróciłem do domu, Frank i matka przygotowywali się do malowania okiennic. Nigdy bym nie pomyślał, że może to być zajęcie dwojga ludzi, którzy wkrótce mieli stąd wyjechać, ale uznałem, że matka pewnie będzie chciała sprzedać nasz dom, by zdobyć pieniądze na zakup farmy na Wyspie Księcia Edwarda. Gdyby pieniądze z banku nie wystarczyły. Wtedy na pewno chciałaby, żeby nasz dom wyglądał ładnie.

- Hej, kolego! Wracasz w samą porę - powiedział Frank. - Pomożesz mi zdrapać te okiennice?

Matka stała tuż obok niego. Miała na dłoniach ochraniacze, których zawsze używała podczas prac w ogrodzie, w czasach, gdy go jeszcze mieliśmy, a włosy związała z tyłu bandaną. Zdjęli już wszystkie okiennice i przygotowali drapaczkę oraz trochę papieru ściernego.

- Co o tym sądzisz? - zapytała. - Mamy tę farbę już od kilku ładnych lat. Frank stwierdził, że jeśli wszyscy troje weźmiemy się do roboty, to poradzimy sobie w mgnieniu oka.

Chciałem malować z nimi. Sprawiali wrażenie, jakby świetnie się przy tym bawili. Matka wyniosła radio i ustawiła stację, która nadawała świąteczną listę przebojów. Właśnie rozbrzmiewała piosenka Olivii Newton - Tohn z musicalu Grease, pod tytułem Summer Love. Matka trzymała drapaczkę jakby to był mikrofon i wcielała się w postać wykonawczynie.

- Jestem zajęty - powiedziałem.

Na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

- Myślałam, że będziemy mogli zająć się tym wszyscy razem. Przy okazji mógłbyś nam powiedzieć, czego dowiedziałeś się w bibliotece.

Dowiedziałem się, że moja matka została poddana praniu mózgu. Jej mózg, gdybyśmy mogli go teraz zobaczyć, pod wpływem seksu stał się niczym smażone jajko. Jej jedyną nadzieją było to, że w jakiś sposób pozbędę się Franka. Nie powiedziałem tego, ale tak właśnie pomyślałem.

Frank położył mi dłoń na ramieniu. Pamiętałem, kiedy pierwszy raz zrobił coś takiego. Było to w dniu, kiedy się spotkaliśmy. Powiedział mi wtedy, że potrzebuje pomocy. Patrząc mu w oczy, czułem, że mogę mu zaufać.

- Myślę, że powinienes pomóc swojej matce, synu - powiedział.

Bez złości, ale dużo bardziej stanowczo, niż mówił do mnie wcześniej. Właśnie przed tym ostrzegła mnie Eleanor. Miał przejąć inicjatywę. Jechałem teraz na tylnym siedzeniu. A wkrótce miałem znaleźć się w ogóle poza samochodem.

- Nie jesteś moim szefem - odparłem. - Moim ojcem też nie jesteś.

Cofnął dłoń, tak jakby właśnie dotknął gorącego metalu. Lub zimnego lodu.



- W porządku, Frank - wtrąciła się matka. - Poradzimy sobie z tym sami.

Wszedłem do domu i nastawiłem głośno telewizor. Akurat pokazywano rozgrywkę tenisa podczas US Open. Nie obchodziło mnie jednak, kto wygra. Kolejny kanał. Baseball.

Później jakaś reklama dla kobiet, które chciały wyszczuplić uda. Nie obchodziło mnie to, że matka i Frank będą słyszeli, że oglądam ten program - tak jak ja słyszałem ich przez ścianę - ani to, że gdy zjem kanapkę, zostawię talerz i pustą szklankę po mleku na stole, a nie wstawię do zlewu, tak jak zawsze to robiłem.

Poszedłem sprawdzić, co u Joego. Chomik wciąż leżał na podłodze klatki, zmęczony panującym upałem. Wziąłem spryskiwacz i prysnąłem trochę wody na jego futerko, by go schłodzić. Później spryskałem także siebie.

Leżałem na kanapie, oglądałem reklamy i przeglądałem książkę, którą przyniosłem z biblioteki: Tajemnicze Maritimes. Kraina Marzeń. Potem wziąłem gazetę i spojrzałem na pierwszą stronę. Nagroda za pomoc w ujęciu uciekiniera. Dziesięć tysięcy dolarów.

„Usuń go, słyszałem głos Eleanor. Wywal go ze swojego świata”.

Pomyślałem o motorze terenowym. O kamerze wideo. O pistolecie do paintballa.

Przypomniałem sobie katalog, który oglądałem kiedyś na pokładzie samolotu, gdy wraz z ojcem i Marjorie wracałem z parku Disneya. Były tam rzeczy, o których istnieniu wcześniej w ogóle nie wiedziałem: deskorolka z napędem, maszyna do popcornu, którą można było postawić w domu, zegar pokazujący czas w miastach na całym świecie, maszyna zmieniająca wannę w jacuzzi, lampki na baterie słoneczne i głośniki wyglądające jak para kamieni, zrobione z włókien szklanych, idealne na przyjęcia na świeżym powietrzu. Za

dziesięć tysięcy dolarów można by kupić wszystkie rzeczy z tego katalogu, nie licząc nawet tych, które tak naprawdę nie były interesujące.

Gdy zatrzymają Franka, matka będzie smutna, ale kiedyś w końcu jej przejdzie. I zrozumie, że zrobiłem to wyłącznie dla jej dobra.

## Rozdział czternasty

- Pewnie zastanawiasz się czasem, dlaczego nie masz brata lub siostry - stwierdziła pewnego razu matka. Było to podczas jednego z naszych wspólnych posiłków; lubiła poruszać takie tematy w trakcie jedzenia odgrzewanych potraw. Miałem wówczas jakieś dziewięć lat i nigdy nie zastanawiałem się, dlaczego nie mam brata ani siostry, ale skinąłem twierdząco, zdając sobie sprawę z tego, że matka i tak ma zamiar zgłębić ten temat.

- Zawsze chciałam mieć co najmniej dwójkę dzieci, a może i więcej - powiedziała. - Gdy zostałam matką, po raz pierwszy, nie licząc tańca, poczułam, że naprawdę wiem, co robię. Sześć miesięcy po twoich narodzinach - kontynuowała - nie dostałam okresu.

Niektóre dzieci w tym wieku nie wiedziałyby, o czym mówi, ale ja mieszkałem z nią wystarczająco długo, by wiedzieć wszystko na ten temat. I wiele innych rzeczy.

- Nigdy się nie spóźniał, więc od razu wiedziałam, co to oznacza. Nie potrzebowałam żadnego potwierdzenia od lekarza.

Twój ojciec jednak nie chciał tak szybko drugiego dziecka. Mówił, że nie mamy tyle pieniędzy, poza tym denerwowało go, że tak wiele czasu poświęcam tobie, zamiast zajmować się nim. Przekonał mnie, bym usunęła ciążę - tłumaczyła. - Nigdy nie chciałam tego zrobić. Dla mnie dziecko, nawet najmniej spodziewane, było darem. Mówiłam mu, że zabawa w Pana Boga może być niebezpieczna. Nie można czekać, aż sprawy ułożą się idealnie, bo nigdy tak nie jest.

Twój ojciec zawiózł mnie jednak do kliniki. Weszłam sama do małego pokoiku, a on czekał na zewnątrz. Założyłam papierowy fartuch, wspięłam się na stół i włożyłam stopy w

strzemiona. Nie takie, jak podczas jazdy konnej, Henry - wyjaśniła.

Włączyli maszynę i rozległ się hałas podobny do tego, jaki wydaje generator lub wielka niszczarka. Matka leżała i słuchała tego dziwnego urządzenia. Pielęgniarka coś do niej mówiła, ale jej słowa zagłuszał szum maszyny. Gdy było już po wszystkim, pozwolono jej poleżeć kilka godzin w innym pokoju, z kilkoma kobietami, które także miały aborcję tego ranka. Gdy wyszła, ojciec czekał na nią, choć zdążył w tym czasie zrobić drobne zakupy. W drodze do domu nie płakała, tylko wpatrywała się w okno. Gdy w końcu ojciec zapytał ją, jak było, nie potrafiła wydobyć słowa.

- Odkąd poddałam się aborcji, jedyną rzeczą, o jakiej marzyłam, było ponowne zajście w ciążę i urodzenie dziecka - powiedziała. - Wiesz, co mam na myśli?

Nie wiedziałem, ale skinąłem głową twierdząco. Dla mnie nie miało to żadnego sensu, że najpierw przeszła przez to wszystko, by nie mieć dziecka, a zaraz potem pragnęła mieć kolejne. Może o to chodziło ojcu, gdy pytał, czy nie wydaje mi się, że matka oszalała.

W końcu jednak pogodził się z tym. By mieć święty spokój, jak mawiał. Przez pewien czas matka była bardzo szczęśliwa. Ja miałem wtedy dwa lata, więc wciąż jeszcze była mną bardzo zajęta, i choć jej znajome w ciąży ciągle narzekały na nudności, bolesne piersi lub zmęczenie, ona kochała wszystko, co wiązało się z byciem w tym stanie.

Mniej więcej pod koniec pierwszego trymestru, gdy płód był wielkości ziarna fasoli (wiedziała o tym z codziennej lektury książki Pierwsze dziewięć miesięcy życia), obudził ją nieznany wcześniej ból i skurcze brzucha, a prześcieradło było zakrwawione. Do południa zużyła trzy podpaski, a krew wciąż płynęła.

- Trzy podpaski to bardzo dużo, Henry - powiedziała. Nie wiedziałem, co to jest podpaska, ale kolejny raz skinąłem twierdząco.

Lekarz, który ja badał, powiedział, że poronienie nie jest czymś niezwykłym i nie przypuszcza, by kolejnym razem miały wystąpić jakieś problemy. Wciąż była młoda i zdrowa. Wkrótce mogli z ojcem spróbować ponownie.

Po kilku miesiącach znów zaszła w ciążę, choć tym razem postanowiła wstrzymać się z noszeniem ubrań ciążowych do czasu, gdy jej stan będzie bardziej zaawansowany. Mimo to powiedziała o tym kilku przyjaciółkom. (Wtedy jeszcze miała przyjaciół). Mnie też powiedziała, choć tego nie pamiętałem. Wówczas nie miałem nawet trzech lat.

Pod koniec pierwszego trymestru znowu zaczęła krwawić. Siedziała na toalecie i nagle poczuła, że coś z niej wypada. Zajrzała do muszli i zobaczyła coś, co wyglądało jak krwawy skrzep. Od razu wiedziała, że już nie jest w ciąży. Co miała zrobić w takiej sytuacji? Spuścić wodę?

Uklękła na ziemi, wyciągnęła z muszli krwawy skrzep i zaniosiła do ogródka. Chciała wygrzebać dołek, ale z powodu braku warstwy uprawnej było to niemal niemożliwe.

- To miał być twój braciszek lub siostrzyczka - powiedziała.

Pogrzebany w ogródku domu, w którym obecnie mieszka ojciec i Marjorie, jak się domyśliłem.

Gdy po raz trzeci zaszła w ciążę, już nie spodziewała się, że wszystko będzie dobrze. I nie było. Tym razem poronienie nastąpiło jeszcze wcześniej - przed upływem drugiego miesiąca - i w ogóle nie czuła porannych nudności, co wcześniej było pierwszym niepokojącym sygnałem.

- Wiedziałam, że to Bóg mnie karze - powiedziała. - Dostaliśmy wspaniały dar w postaci ciebie, a sześć miesięcy po twoich narodzinach otrzymaliśmy kolejny dar, ale w naszej

głupocie przypuszczaliśmy, że możemy wybrać moment, w którym chcemy zostać rodzicami, tak jakbyśmy wybierali odpowiedni moment do tańca - wtedy wiedziałam, że kolejnej szansy możemy już nie dostać.

Jednak czwarta próba napawała nadzieją.

- Czułam się tak, jak powinnam się czuć w czasie ciąży - powiedziała. - Piersi zaczęły mi się powiększać mniej więcej w szóstym tygodniu, wtedy, kiedy powinny. Byłam wniebowzięta. Pamiętasz, jak zabierałam cię wtedy ze sobą do doktora? Pokazywał ci ultrasonograf, a ja mówiłam: „Patrz, to twój mały braciszek”. Był bardzo malutki, ale wydawało nam się, że widzimy jego penis.

- Nie - odparłem. Nie pamiętałem. Było tak wiele rzeczy, które powinienem pamiętać, że najlepszą rzeczą było zapomnieć.

Gdy po raz pierwszy spojrzeli na ultrasonograf i doktor powiedział, że wszystko jest w porządku, matka poprosiła go, by dla pewności spojrzął jeszcze raz. Kilka tygodni później poczuła coś dziwnego w brzuchu i bała się, że znów zaczyna się smutna historia. Tym razem jednak było to coś innego. Położyła dłoń na brzuchu i poczuła delikatne drgania, jakby ryba przepływała głęboko pod wodą. Wzięła moją dłoń i również położyła ją na swym brzuchu, bym mógł poczuć to samo. Mój mały braciszek pływał.

Była wtedy taka szczęśliwa.

- Przez pewien czas działo się źle - wyjaśniała mi, gdy leżeliśmy na łóżku, a ona czytała mi książkę Ciekawski George. - Teraz jest już po wszystkim. Tym razem wszystko się uda. Wcześniej możliwość urodzenia dziecka przyjmowałam za rzecz oczywistą. Teraz będę wdzięczna za wszystko, co otrzymam.

W końcu nadszedł czas porodu. Włożyli do samochodu walizkę, którą pakowali od dawna - na długo przed pierwszym

poronieniem. Poród był długi, ale aparatura wskazywała normalne bicie serca płodu. Aż do ostatnich, okropnych minut, kiedy lekarze postanowili natychmiast przewieźć matkę na salę operacyjną i odesłali mojego ojca. Chcieli zrobić cesarskie cięcie.

Słuchając tej historii jako dziewięciolatek, spytałem matkę, gdzie wówczas byłem.

- Zajął się tobą moja przyjaciółka - powiedziała. Nie była to jednak Evelyn. Jeszcze się wtedy nie znały. W tamtych czasach znajomymi mojej matki byli normalni ludzie.

Gdy było już po wszystkim, nie pamiętała zbyt wiele z tego, co działo się w sali operacyjnej. Pamiętała jednak, że padło słowo: „dziewczynka”. Czyli jednak nie był to chłopiec. Dziewczynka. Ale w tych głosach było coś niepokojącego. Powinny brzmieć radośnie. Przez chwilę myślała, że problem może być błahy. Pielęgniarka być może bała się, że matka będzie rozczarowana, gdyż spodziewała się chłopca. Potem jednak zobaczyła twarz pielęgniarki i od razu wiedziała. To było coś innego.

- Dajcie mi moje dziecko! - wołała, ale nikt jej nie odpowiedział. Widziała czepek lekarski poruszający się w milczeniu po drugiej stronie parawanu. Lekarz ją zszywał. Potem prawdopodobnie podali jej jakieś lekarstwo, bo zasnęła na długi czas. Obudziła się, kiedy do jej pokoju wszedł ojciec.

- Na szczęście z tobą wszystko w porządku - powiedział, choć nie to było najważniejsze.

Po przebudzeniu, nie od razu, ale krótko po tym, zawieziono ją do pokoju, w którym leżało ich dziecko - Fern. Po jej matce, która zmarła dawno temu. Fern leżała w łóżeczku jak normalne dziecko, owinięta różowym, flanelowym kocykiem. Pielęgniarka założyła jej pieluszkę. Jedyną, jaką miała mieć na sobie.

Jedna z pielęgniarek podała moją siostrzyczkę matce. Ojciec również był przy tym, siedział tuż obok. Przez kilka minut byli sami - wystarczająco długo, by odwinąć kocyk i przyjrzeć się malutkiemu, sinemu ciałku. Matka dotknęła palcami każdego żeberka, świeżo zawiązanej pępowiny, którą karmiła płód przez dziewięć miesięcy - i która ostatecznie ją zdradziła, kiedy to po jednym przekręceniu ciała opłotła dziecko, odcinając dopływ powietrza. Matka ujęła rączki Fern, przyjrzała się paluszkom, zastanawiając się, po kim je odziedziczyła. (Najwyraźniej po moim ojcu. Później być może wykupiliby dla niej lekcje gry na fortepianie).

Odwinęła nóżki Fern - nie było kopania, które tak uwielbiała w ostatnich miesiącach ciąży; czasem było tak silne, że widziała zarys stópki przyciskającej się od środka do brzucha. („Popatrz, Henry!” - wołała do mnie wtedy. Czy tego nie pamiętałem? Jak oglądałem kogoś, kogo uważałem za własnego braciszka, który poruszał się w brzuchu mojej matki niczym kotek baraszkujący pod prześcieradłem?).

Później odwinęła pieluszkę. Wiedziała, że ogląda Fern tylko raz, chciała więc zobaczyć wszystko.

Dostrzegła malutką, niegdyś różową szczelinę waginy i kropelkę krwi; doktor wyjaśnił później, że to coś zupełnie normalnego u nowo narodzonych dziewczynek - efekt działania hormonów przekazywanych przez matkę - choć gdy ją zobaczyli, wstrzymali oddech.

Matka w ciągu tych kilku minut dokładnie zapamiętała jej twarz, wiedząc, że w przyszłości wiele razy będzie wracać myślami do tej chwili i że będzie gotowa oddać wszystko, aby tylko móc znowu trzymać to dziecko w ramionach.

Oczy Fern były zamknięte. Miała długie, zadziwiająco czarne rzęsy (wyglądały na jeszcze ciemniejsze na tle bladoniebieskiej skóry). Jej nos nie przypominał guziczka, jak zwykle u dzieci, a raczej miniaturkę nosa dorosłej osoby, z



silnie wykształconą i prostą przegrodą oraz nozdrzami, które jednak nie wydawały żadnego tchnienia. Jej usta były niczym kwiat. W brodzie malutki dołeczek - kolejna cecha po ojcu - ale linia szczęki bardziej pasowała do matki.

Pod skórą widać było jedną niebieską żyłę. Przecinała miejsce pomiędzy szczęką i szyją. Matka dokładnie prześledziła jej drogę po całym ciele.

- To tak jak rzeka - powiedziała - wskazująca szlak wędrowcom. Żyła wciąż była widoczna, gdy matka przesuwiała palec po klatce piersiowej Fern do miejsca, gdzie pod cienką, niemal przezroczystą skórą znajdowało się serduszko - nosząc dziecko w swym łonie, czuła jego bicie, a teraz było nieruchome jak kamień.

Opisywała mi to wszystko jak historię, którą znała tak dobrze, że niemal recytowała ją z pamięci, choć prawdopodobnie byłam jedyną osobą, której o tym opowiadała.

Wkrótce pielęgniarka wróciła do pokoju i zabrała Fern z rąk matki. Ojciec zaprowadził ją z powrotem do pokoju. W korytarzu minęli parę zmierzającą do windy z dzieckiem na ręku i pękiem balonów oraz kobietę w szlafroku, w pierwszym stadium porodu. Podobnie jak matka osiemnaście godzin temu, przemierzała korytarz, wypełniając czas pomiędzy wczesnymi i nieregularnymi skurczami. - Gdy ją zobaczyłam, naszła mnie szalona myśl - powiedziała matka. „Daj mi jeszcze jedną szansę. Następnym razem zrobię wszystko tak jak trzeba”. To był pierwszy i na pewno nie ostatni raz, gdy widok ciężarnej kobiety doprowadzał matkę do takiej złości i żalu, że z trudem łapała oddech. Od teraz wszędzie miała widzieć ciężarne kobiety. Znacznie więcej niż dotychczas.

Gdy znaleźli się na parkingu, ojciec nachylał się nad wózkiem, na którym siedziała matka, tak jakby chciał chronić ją przed silnym wiatrem.

- Wrócimy do domu, to od razu poczujesz się lepiej - mówił.

Nie poczuła się lepiej, mimo że przed przywiezieniem jej do domu - tego, w którym mieszkał teraz z Marjorie i z ich dzieckiem - posprzątał pokój dziecienny, spakował wszystkie dziecięce ubranka i pieluchy (niektóre kupione przed trzema laty) i zdemontował kołyskę.

Po pierwszym i drugim poronieniu rodzice rozmawiali o tym, by spróbować kolejny raz. Nawet po trzecim - mimo że czuli strach - spotykali się z lekarzem i znaczyli w kalendarzu dni, w których matka miała okres i dni płodne.

Ale po pogrzebie Fern nie było już żadnych dyskusji na temat poczęcia, ciąży ani dziecka.

Przyjaciele złożyli im kondolencje i próbowali włączyć ich w życie społeczne dzielnicy, matka jednak nie chciała już chodzić na sąsiedzkie przyjęcia przy grillu ani szkolne spotkania. Zawsze był na nich ktoś w ciąży. Supermarket również był pod tym względem niebezpieczny. Ciężowe ubrania, jedzenie dla dzieci, jadące w wózkach dzieci w wieku, w którym teraz byłaby Fern, niemowlęta w wieku poprzedniego dziecka oraz czterolatki - tyle lat miałyby dziecko pochowane niegdyś w ogródku. Wszędzie były kobiety w ciąży i małe dzieci, tak jakby była to jakaś epidemia.

Wkrótce matka zrozumiała: żadne miejsce nie było dla niej bezpieczne. Wszędzie czaiły się dzieci lub obietnica dziecka. Wystarczy otworzyć okno, a od razu można usłyszeć płacz jakiegoś malca. Pewnego razu, gdy leżała w łóżku, obudził ją cichy płacz dziecka z sąsiedztwa. Trwało to tylko kilka chwil, widać matka wzięła je na ręce. Lub ojciec. Ale na sen po czymś takim było już za późno. Moja matka przez resztę nocy leżała na łóżku i kolejny raz przechodziła przez to wszystko. Aborcja. Poronienia. Ultrasonograf. Stópka

uciskająca jej brzuch pod koszulką. Skręcona pępowina. Kropla krwi. Mała urna z popiołami, którą jej wydano, nie większa niż paczka papierosów.

Po tym poranku wiedziała, że musi skończyć z wychodzeniem na świat. Nie chciała już więcej kochać się ze swoim mężem. Nie chciała rodzić kolejnych martwych dzieci. Nie zależało jej nawet na tańcu. Jedyne bezpiecznym miejscem był dom.

## Rozdział piętnasty

Było już dobrze po południu, gdy matka i Frank wrócili do domu. Matka brała kąpiel. Choć wciąż byłem na nią wściekły, zapytałem, co będzie na obiad. Jednak do pokoju wszedł Frank, a nie ona.

- Może ja przygotuję coś na ząb? - zaproponował. - Daj matce chwilę spokoju. Ciężko pracowała.

„Jasne, pomyślałem. Słyszałem was w nocy. Przez kogo tak ciężko pracowała?”.

Z góry dochodził szum lejącej się wody. Frank zdjął koszulę, na której były ślady farby. Od pasa w górę był nagi. Spodnie luźno trzymały się na biodrach, odsłaniając górną część opatrunku po operacji wyrostka. Poza tym miał posągową sylwetkę. Mimo że nie był młody, jego klatka piersiowa była umięśniona. Pomyślałem tak jak wtedy, gdy pierwszy raz spotkałem go w sklepie, że wyglądał tak, iż można by go położyć na stole i dokładnie analizować budowę anatomiczną.

Wszystkie części jego ciała były wyraźnie określone kośćmi i mięśniami. Nie miał ani grama tłuszczu. Nie wyglądał jak kulturysta ani jakiś superbohater, lecz jakby był na zdjęciu w podręczniku do biologii, pod tytułem Mężczyzna.

- Pomyślałem, że moglibyśmy teraz potrenować rzuty i uderzenia - powiedział. - Jestem już trochę spocony, więc nic się nie stanie, jeśli spocę się bardziej. A kostka nie daje mi się już we znaki, więc możemy porzucać dłużej. Poza tym chciałbym zobaczyć, jak sobie teraz radzisz.

To było trudne. Chciałem, by wiedział, że jestem zły, że czuję się opuszczony i przejrzałem jego sztuczki z moją matką, jeśli w ogóle takie były. Wciąż jednak żywiłem do niego sympatię. W dodatku byłem już znudzony. W telewizji Jerry Lewis stał przy mikrofonie i naśladując głos małego

chłopca, rozmawiał z małą dziewczynką stojącą obok niego na scenie. Miała klamry na nogach i chodzik.

- Co wy na to, przyjaciele? - mówił Jerry Lewis. - Czy Angela zasługuje na taką szansę jak reszta dzieci? Wyciągnijcie książeczki czekowe.

Lubiłem trenować rzuty z Frankiem. Nie spodziewałem się, że w mgnieniu oka zrobi to że mnie atletem, ale rzucanie piłki tam i z powrotem i czucie, jak wpada w moją rękawicę, było przyjemne. Lubiłem też rytm, w jakim rzucaliśmy Ja do niego, on do mnie, ja do niego, on do mnie.

- Wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób - powiedziała matka, gdy do nas dołączyła - ale rzucanie ma w sobie coś z tańca. Musisz całkowicie zgrać się z drugą osobą i wczuć się w jej ruchy, a potem dostosować do tego. Tak jak wówczas, gdy jesteś z partnerem na parkiecie i oboje jesteście dla siebie całym światem, komunikując się perfekcyjnie, mimo że nikt nic nie mówi.

Gdy rzucał do mnie piłkę, raczej nie wyobrażał sobie przy tym, że kocha się z moją matką lub całuje miejsce na jej szyi, gdzie miała znamię, nie wyobrażał sobie matki leżącej nago w wannie, ani żadnej z rzeczy, które robili nocą w jej łóżku. Gdy rzucaliśmy piłkę, był skupiony wyłącznie na tym.

Albo było właśnie tak, albo mnie także hipnotyzował. Może nawet starał się przygotować mnie na dzień, kiedy zacznę mieszkać z ojcem, i to z nim i z Richardem będę rzucał piłką. Z tą różnicą, że w przeciwieństwie do mnie, Richard potrafił rzucać podkręcane. Przygotowywał mnie do życia, w którym on i moja matka będą nieobecni.

- Chyba nie - odparłem. - Właśnie oglądam telewizję. Frank nie spuszczał ze mnie wzroku. Jerry Lewis nie istniał. W pokoju byliśmy tylko on i ja.

- Słuchaj - odezwał się. - Jeśli martwisz się, że ukradnę ci matkę, to nie masz powodu. Zawsze będziesz dla niej na

pierwszym miejscu, a ja nie mam zamiaru tego zmieniać. Zawsze będzie kochała cię bardziej niż kogokolwiek innego. Ja chcę jedynie się o nią zatroszczyć. Nie będę się też starał być twoim ojcem. Ale mogę być twoim przyjacielem.

To było to. Przed tym ostrzegała mnie Eleanor. Teraz miał zamiar zhipnotyzować i mnie. Czułem nawet, jak to działa, bo część mnie chciała mu wierzyć. Musiałem zrobić wszystko, by jego słowa nie dotarły do mojego umysłu.

Dziewczynka siedziała na kolanach Jerry'ego Lewisa i opowiadała o swoim szczeniaku. Na ekranie wyświetlał się numer telefonu. Z zewnątrz dobiegały głosy rodziny Jerasów odpoczywającej przy basenie. „Ble, ble, ble, powtarzałem sobie w duchu. Ble, ble, ble, ble, ble”.

- Wiem, że do tej pory nie wypadłem zbyt dobrze - powiedział. - Popełniłem kilka poważnych błędów. Ale jeśli dostanę jeszcze jedną szansę, postaram się wszystko naprawić.

Hulala. Bulala. Banan. Ravioli. Stromboli. Miód.

- Wiem, że potrzeba na to czasu - kontynuował. - Spójrz na mnie. Wszystko, co miałem w ciągu ostatnich osiemnastu lat, to czas. Jedyne płynące z tego pożytek jest taki, że człowiek może sobie wszystko dokładnie przemyśleć.

Stał przede mną z drapakami w dłoni. Miał na sobie stare spodnie, które matka znalazła w piwnicy. Były częścią mojego kostiumu na Halloween sprzed kilku lat, gdy byłem przebrany za klauna. Spodnie musiały należeć do bardzo grubej osoby; na mnie były o wiele za duże, ale o to właśnie chodziło, natomiast Frankowi sięgały do połowy łydek, poza tym musiał zawiązać w pasie sznurek. Miał na sobie tę samą koszulę, w której ujrzałem go po raz pierwszy - z wyszytym imieniem Vinnie - i był boso. Wyglądał teraz jak klaun, choć niezbyt śmieszny. I to on co noc całował moją matkę w pokoju obok. Współczułem jej. Jemu także współczułem. Przede wszystkim

jednak współczułem sobie. Zawsze chciałem mieć prawdziwą rodzinę, a teraz wylądowałem w rodzinie wyrzutków.

Frank położył mi dłoń na ramieniu. Wielką, spracowaną dłoń. W nocy słyszałem przez ścianę, jak matka mówiła do niego, że posmaruje mu dłonie kremem. Odpowiedział wówczas, że jej skóra jest tak delikatna, że aż boi się jej dotykać.

Teraz mówił do mnie, choć nieco innym tonem.

- Nie musimy grać w baseball. Po prostu zrobię coś do jedzenia. Posiedzimy na schodach z tyłu domu. Tam powinno być chłodniej.

- Później przyjeżdża po mnie ojciec - odparłem.

„I wiem, co będziesz robił z moją matką, gdy tylko wyjdę z domu”.

Z łazienki na piętrze dobiegł nas głos matki:

- Frank, możesz mi podać ręcznik?

Frank wstał. Miał minę, jak pewnie wtedy, gdy Mandy roześmiała się, słysząc pytanie, czy dziecko jest jego. Teraz jednak nie miał zamiaru nikogo uderzyć ani pchnąć tak mocno, by ten ktoś skręcił kark. Mówił mi, że teraz jest cierpliwym człowiekiem. Wystarczająco cierpliwym, by latami czekać na moment, kiedy w końcu znajdzie się w szpitalu, na łóżku przy oknie bez krat. Jego plan mógł czekać na realizację, ale w końcu wcielił go w życie.

Teraz wziął ręcznik ze stosu leżącego na pralce. Przyłożył go do twarzy, powąchał, by upewnić się, czy jest wystarczająco dobry dla jej skóry. Wchodził po schodach. Usłyszałem, że otwiera drzwi. Teraz pewnie stał przy wannie, w której leżała moja matka. Naga.

W bibliotece Eleanor dała mi numer telefonu do domu jej ojca.

- Będę tam przez weekend - powiedziała. - O ile ojciec nie wpadnie na pomysł, byśmy poszli do lana, czy coś

podobnego. Znając go, pewnie wciąż myśli, że podobają mi się Troskliwe misie.

Wykręciłem numer. Jeśli odbierze jej ojciec, odłożę słuchawkę.

Odebrała ona.

- Miałam nadzieję, że zadzwonisz - powiedziała. Która dziewczyna mogła odezwać się w taki sposób?

- Chcesz porozmawiać? - zapytałem.



## Rozdział szesnasty

Tego popołudnia temperatura przekroczyła trzydzieści pięć stopni Celsjusza. Powietrze było bardzo ciężkie. Tu i ówdzie ludzie podlewali trawniki. Nasza trawa zdążyła już uschnąć.

W porannej gazecie był artykuł na temat ciem, a także wywiad z kobietą, która rozpoczęła kampanię na rzecz wprowadzenia odgórnych wytycznych dotyczących noszenia szkolnych mundurków w szkołach publicznych. Według niej miałyby to wyeliminować niewłaściwy ubiór nastolatków i presję rówieśników. - Młodzi ludzie powinni myśleć o zadaniu domowym z matematyki - mówiła. - Nie o nogach jakiejś dziewczyny, wystających spod minispódniczki.

Miałem ochotę jej powiedzieć, że mundurki nic tu nie zmieniają. Nikt nie myśli o ubraniach, tylko o tym, co jest pod nimi. Rachel McCann mogłaby nosić buty do jazdy konnej i spódnicę do samych kostek, a ja i tak wyobrażałbym sobie jej piersi.

Eleanor była tak chuda, że trudno było wyobrazić sobie jej ciało. Nie miałem pojęcia, jak mogą wyglądać jej piersi, ponieważ w bibliotece była w grubym swetrze. (Sweter. W środku fali upałów).

Myślałem jednak o tym, jak wygląda bez okularów. Wyobrażałem sobie, że ściąga wstążkę z warkocza, a włosy swobodnie opadają jej na ramiona. Jej nagie piersi, gdybyśmy przytulali się do siebie, prawdopodobnie nie różniłyby się znacząco od moich. Przed oczyma ukazał mi się obraz, na którym dotykamy się sutkami, tak jakby ich połączenie miało wytworzyć jakiś elektryczny impuls. Byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu. Nasze ciała mogły być podobne, z wyjątkiem tej jednej części, którą zdecydowanie się różniliśmy.

- Istnieje teoria, że dziewczyny mające problemy z jedzeniem usiłują w ten właśnie sposób zapomnieć o swojej seksualności - powiedziała. - Niektórzy psychologowie uważają, że osoby z zaburzeniami odżywiania próbują w ten sposób powrócić do dzieciństwa, ponieważ boją się tego, co przyniesie im dalsze życie. Na przykład, gdy dziewczyna jest bardzo szczupła, nie ma okresu. Wiem, że większość ludzi nigdy nie powiedziałaaby czegoś takiego chłopcu, ale uważam, że ludzie powinni być szczerzy, gdy ze sobą rozmawiają. Gdy moja matka chciała być sam na sam ze swoim facetem, to przecież mogła mi o tym powiedzieć. Mogłabym wtedy przenocować u przyjaciółki lub coś w tym stylu. Nie musieliby przeprowadzać się na drugi koniec kraju tylko po to, by uprawiać seks.

W pewnym momencie zapytała, jaki rodzaj muzyki lubię. Ona lubiła Sida Viciousa i zespół Beastie Boys. Uważała, że najfajniejszą osobą w historii muzyki był Jim Morrison. Chciała kiedyś pojechać do Paryża i odwiedzić jego grób.

Uznałem, że powinienem wiedzieć, kim był Jim Morrison, dlatego nic nie powiedziałem. W domu mieliśmy tylko radiomagnetofon należący do matki. Znałem głównie muzykę, jakiej ona słuchała: ballady Franka Sinatry, płytę Joni Mitchell zatytułowaną Blue, oraz utwory jakiegoś faceta, którego nazwiska nie pamiętam, o niskim, usypiającym głosie. Matka często puszczała jego jedną piosenkę. Były w niej słowa: I wiesz, że prawie oszalała, ale właśnie dlatego chcesz tu być.

Dotknęła swym umysłem twego idealnego ciała. Trudno było nazwać to śpiewaniem. Bardziej przypominało skandowanie. Pomyślałem, że Eleanor mogłaby lubić tego piosenkarza, ale nie mogłem przypomnieć sobie jego nazwiska.

- Wiesz, taką zwyczajną - odparłem, gdy zapytała o muzykę.

- Nie lubię zwyczajnej muzyki - powiedziała. - Nie lubię niczego zwyczajnego.

Zapytała mnie jeszcze, czy mam rower. Miałem, ale był dla mnie za mały poza tym nie miał powietrza w jednym z kół, a my nie mieliśmy pompki. Ona nie miała roweru, ale mogła pożyczyć od ojca. Wyjechał pograć w golfa, czy coś takiego. Oto był człowiek, który mówił, że nie ma pieniędzy, by posłać córkę do najlepszej szkoły we wszechświecie, a jednocześnie co tydzień wydawał pięćdziesiąt dolarów na to, by uderzać kijem piłkę, próbując trafić nią do dziury.

- Mogłabym przyjść do ciebie do domu - zaproponowała.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - odparłem. - Matka i jej chłopak wolą się nie afiszować. Fred.

- Więc możemy spotkać się na mieście - rzuciła drugą propozycję. - Moglibyśmy pójść na kawę.

Nie przyznałem się, że nie piję kawy. Odparłem za to, że to świetny pomysł. Działo się to w czasach, zanim powstały takie miejsca jak Starbucks, ale w miasteczku była kafejka zwana Noni, z osobnymi boksami; obok każdego zamontowano skrzynkę, która umożliwia odtwarzanie piosenek z szafy grającej. Mieli głównie muzykę country, ale może znajdzie się coś, co się jej spodoba. Jakaś bardzo smutna piosenka, której wykonawca sprawia wrażenie przygnębionego.

Do miasta miałem dwadzieścia minut piechotą. Gdy wychodziłem, matka i Frank wciąż byli na górze w łazience. Pewnie ją wycierał lub wcierał jej krem w skórę. Mówił, że chce się zatroszczyć o moją matkę. Właśnie tak to określił.

Zostawiłem im kartkę, że wrócę przed przyjazdem ojca. Jestem na spotkaniu z przyjaciółką - napisałem. To powinno ucieszyć matkę.

Gdy dotarłem na miejsce, Eleanor siedziała już w boksie. Zmieniła szorty i rozpuściła włosy, choć w rzeczywistości

były proste i poszarpane, a nie lekko pokręcone, jak to sobie wyobrażałem. Na ustach miała purpurową szminkę i ciemną kreskę wokół oczu, przez co wydawały się jeszcze większe. Jej paznokcie były pomalowane czarnym lakierem, a przy tym obgryzione, co dawało w sumie dość dziwną kombinację.

- Powiedziałałam ojcu, że umówiłam się z kolegą - oświadczyła. - Zaczął mnie pouczać, że powinnam być ostrożna, tak jakbym od razu zamierzała iść z tobą do łóżka. To zabawne, że rodzice ciągle dają nam wskazówki dotyczące seksu, tak jakby w naszym życiu nie działało się nic innego. Prawdopodobnie dokonują w ten sposób projekcji własnych obsesji - dodała.

Wsyłała porcję słodziku do kawy. Potem dwie kolejne.

- Mój ojciec nie ma dziewczyny ale chciałby mieć - powiedziała. - Byłby bardziej atrakcyjny, gdyby stracił trochę na wadze. Szkoda, że on i twoja matka nie spotkali się, zanim w jej życiu pojawił się ten Fred. Mógłbyś być moim przyrodnim bratem. Oczywiście, gdybyśmy wzięli ślub, byłoby to swego rodzaju kazirodztwo.

- Moja matka zwykle z nikim się nie umawiała - odparłem. - To, że poznała tego faceta, to czysty przypadek.

Siedzieliśmy w milczeniu przez dobrą minutę. W tym czasie wysyłała do kawy kolejnych pięć lub sześć porcji słodzika. Starąłem się wymyślić jakiś temat do rozmowy.

- Słyszałeś o tym uciekinierze z więzienia? - spytała. - Ojciec rozmawiał o nim z sąsiadem, który jest policjantem. Oni chyba wciąż uważają, że facet jest gdzieś w okolicy, ponieważ zorganizowali blokadę dróg, którymi ludzie wyjeżdżali na weekend, i na pewno by go wypatrzyli, gdyby chciał wyjechać z miasta. Oczywiście mógł ukryć się u kogoś w bagażniku, ale prawdopodobnie zaszył się gdzieś w pobliżu, by wyleczyć rany. Są niemal pewni, że po skoku z okna co najmniej złamał nogę.

- Nawet jeśli jest gdzieś w pobliżu - odparłem - to pewnie nie jest z nim tak źle. Prawdopodobnie zajmuje się swoimi sprawami.

Nawet teraz, gdy gniewałem się na Franka, bo chciał ukraść mi matkę, nie mogłem spokojnie słuchać, jak ktoś mówi o nim źle. Nawet jeśli bardzo chciałem, by zniknął z mojego życia, nie potrafiłem obwiniać go o to, że chce być z matką. Wszystko, co z nią robił, ja chciałem robić z jakąś dziewczyną.

- Nie wiem, dlaczego ludzie tak panikują - powiedziałem.  
- Pewnie wcale nie jest niebezpieczny

- Chyba w ogóle nie czytasz gazet - stwierdziła. - Ostatnio był wywiad z siostrą kobiety, którą zabił. Co więcej, zabił też swoje dziecko.

- Nie zawsze to, co piszą w gazetach, pokrywa się z prawdą - odparłem. Chciałbym móc jej powiedzieć o Mandy śmiejącej się z Franka, o jej sztuczkach, które doprowadziły do ich ślubu i tego, by myślał, że Francis Junior jest ich synem, podczas gdy tak naprawdę nie był, a mimo to on pokochał go jak własnego. Niestety, nie mogłem tego zrobić, dlatego siedziałem w milczeniu i przeglądałem piosenki z szafy grającej w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby oddać mój nastrój.

- Jakaś kasjerka z Pricemartu go widziała. Zadzwoiła na policję, gdy tylko zobaczyła jego zdjęcie w gazecie. Był z jakąś kobietą i dzieckiem. Prawdopodobnie to jego zakładnicy Miała nadzieję, że otrzyma nagrodę, ale samo to, że go widziała, nie wystarczyło. To pierwsza interesująca rzecz, jaka wydarzyła się w tym miasteczku, odkąd porzuciła mnie matka.

- Wiem, gdzie on jest - powiedziałem. - W moim domu.

Po zapłaceniu rachunku - mojego i jej - wyszliśmy z kafejki i udaliśmy się do wypożyczalni filmów wideo. Eleanor powiedziała mi, że jest jeden film, który koniecznie muszę

zobaczyć - Bonnie i Clyde. Opowiada o przestępcy, który porywa piękną kobietę i namawia ją do wspólnych napadów na banki. W przeciwieństwie do Patty Hearst, Bonnie nie była bogata, ale była niespokojnym duchem i czuła się znudzona, tak samo jak pewnie moja matka w chwili, gdy Frank pojawił się w jej życiu. I podobnie jak moja matka, prawdopodobnie od dawna nie uprawiała seksu. Clyde miał przy tym niesłychaną charyzmę, taką jak mężczyzna, który porwał Patty Hearst.

- Warren Beatty - powiedziała. - Teraz jest już starszy, ale gdy kręcili ten film, był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Moja matka mówiła, że w rzeczywistości też miał tak wielką charyzmę, iż bez trudu mógł manipulować ludźmi. Kobiety w Hollywood chodziły z nim do łóżka, choć wiedziały, że nie są jego jedynymi kochankami. Nie potrafiły mu się oprzeć.

W filmie Bonnie i Clyde zakochali się w sobie. Jeździli po kraju, napadali na banki i sklepy i, prawdę mówiąc, żyli w samochodzie. Co dziwne, Clyde nie mógł się kochać z Bonnie. Miał na tym punkcie jakąś fobię, ale i bez tego Bonnie zadurzyła się w nim po uszy. W końcu jednak zginęli. Ktoś, kogo uważali za przyjaciela i kto był członkiem ich gangu, zdradził ich, chcąc w ten sposób uniknąć więzienia.

- Na końcu filmu jest scena, kiedy agenci federalni podążają ich tropem i zastawiają pułapkę - powiedziała Eleanor. - W momencie, w którym ginie Bonnie, na ekranie jest tyle krwi, że matka nie była w stanie na to patrzeć. Ja mogłam. Nie zginęła od jednego strzału. Agenci mieli karabiny maszynowe i jej ciało podskakiwało w dzikich spazmach na fotelu w samochodzie. Kule dziurawiły całe jej ciało, a krew przeciekała przez sukienkę.

Rolę Bonnie odtwarzała Faye Dunaway. Jest bardzo ładna. W filmie nosiła wspaniałe ubrania. Niekoniecznie tę sukienkę, w której zginęła, ale kilka innych kostiumów

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebym wypożyczał ten film - odparłem. - Jeśli matka i Frank zobaczą, że go oglądam, mogą to źle zrozumieć.

Poza tym i tak nie miałem ochoty tego oglądać. Pamiętając o scenie, którą mi opowiedziała, scenie śmierci Bonnie, wiedziałem, że zachowałbym się raczej jak matka Eleanor. Szczególnie jeśli odnieść to do mojej obecnej sytuacji.

- Wyobrażasz sobie, że twoja matka zostaje zastrzelona w zasadzce? - spytała Eleanor. - A ty jesteś tuż obok i widzisz to wszystko? Prawdopodobnie ciebie by nie zastrzelili, bo jesteś dzieckiem, ale widziałbyś wszystko jak na dłoni. To mogłoby być wyjątkowo traumatyczne przeżycie.

Gdy to mówiła, wciąż staliśmy przed wypożyczalnią. Obok nas przeszła jakaś kobieta z wózkiem. Mężczyzna włożył film do odtwarzacza. Upał zdawał się promieniować z chodnika. „Gorąco, że można by usmażyć jajko - słyszałem czyjś głos. Jak cycki panienki z Las Vegas. Twój umysł jest pod działaniem narkotyków”. Raptem kilka minut byliśmy poza zasięgiem klimatyzacji, a koszula już lepiała mi się do ciała.

Eleanor założyła okulary przeciwsłoneczne - okrągłe i bardzo duże, zasłaniające jej pół twarzy. Przez minutę patrzyła na mnie, choć szkła były na tyle ciemne, że nie widziałem jej oczu. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła mojej twarzy. Jej nadgarstek był tak chudy jak kij od szczotki. Prawdopodobnie piórem kulkowym narysowała na nim przerywaną linię i napisała: tutaj przeciąć.

- Mam takie dziwne uczucie - powiedziała. - Jest coś, co chcę zrobić, ale pewnie pomyślisz, że jestem dziwna, choć w sumie nie przejmuję się tym.

- Nie jesteś dziwna - odparłem. Starłem się być szczery, ale tym razem zrobiłem wyjątek.

Zdjęła okulary i schowała je do torebki. Rozejrzała się. Językiem zwilżyła wargi. A potem pochyliła się w moją stronę i pocałowała mnie.

- Pewnie nigdy wcześniej tego nie robiłeś - powiedziała. - Teraz zawsze będziesz pamiętał, że byłem pierwszą dziewczyną, z którą się całowałeś.

Gdy wróciłem do domu, dochodziła siedemnasta. Frank i matka siedzieli na werandzie z tyłu domu i pili lemoniadę. Matka była boso, a w dłoniach trzymała buteleczkę lakieru do paznokci. Stopy ułożyła mu na kolanach, a on malował jej paznokcie na czerwono.

- Dzwonił twój ojciec - odezwała się do mnie. - Przyjedzie po ciebie za pół godziny. Już się martwiłam, że nie wrócisz na czas.

Odparłem, że zdążę, i poszedłem na górę wziąć prysznic. W łazience leżała maszynka do golenia Franka. I pianka do golenia. Kilka czarnych włosów kręciło się w miejscu, gdzie spływała woda. Tak chyba było, gdy miało się mężczyznę w domu.

Zastanawiałem się, czy podczas mojej nieobecności wzięli wspólny prysznic. Na filmach ludzie tak robili. Wyobraziłem sobie, że stał za nią, obejmował jej szyję i całował miejsce, w którym zostawił po sobie znak. Jego język był w jej ustach, tak jak język Eleanor był w moich.

Woda spływała jej na twarz. Kapała na piersi. Położyła na nim swą dłoń. W miejscu, którego ja teraz dotykałem na swoim ciele.



Myślałem o Eleanor, o Rachel, o pannie Evenrud, nauczycielce wiedzy o społeczeństwie, która zawsze miała rozpięte dwa guziki bluzki. Myślałem o Kate Jackson z Aniołków Charliego i o dniu, kiedy byłem na miejskim basenie i jakaś dziewczyna, wychodząc z wody z małym dzieckiem, nie zauważyła, że górna część jej kostiumu kąpielowego nieco się obsunęła, ukazując kawałek sutka.

Odgłosy, jakie Frank i matka wydawali z siebie w nocy Wyobrażałem sobie, że to wszystko dzieje się w moim łóżku. Była w nim Eleanor, ale taka jej mniej szczupła wersja. Miała zaokrąglone piersi, nie bardzo, ale choć trochę. Gdy ich dotykałem, przez ścianę dobiegła mnie piosenka, którą często grała moja matka.

Suzanne zabiera cię do swego miejsca nad rzeką.

Jak inaczej można było słuchać muzyki, skoro praktycznie każdy wykonawca w ten czy inny sposób śpiewał o seksie. Jak inaczej można było patrzeć na świat, skoro wszystko, co się w nim działo, miało jakieś podwójne znaczenie.

Usłyszałem głos Franka, który czyścił pędzle na zewnątrz. Gdy przyjedzie mój ojciec, będzie musiał się ukryć. Na szczęście ojciec nigdy nie zostawał zbyt długo. Gdy przyjeżdżał, starałem się czekać już na schodach, by w ten sposób uchronić ich - ojca i matkę - przed koniecznością rozmowy. Albo jej brakiem, co zdarzało się częściej i było znacznie gorsze.

Normalnie owinąłbym się ręcznikiem i przeszedł korytarzem do swojego pokoju. Teraz jednak, gdy Frank mieszkał z nami, wstydziłem się mojej wątej klatki piersiowej i chudych ramion. Gdyby chciał, bez trudu mógłby mnie złapać i zmiażdżyć.

Ja też mogłem go zmiażdżyć. W inny sposób.

- Kiedy zamierzasz do nich zadzwonić? - zapytała Eleanor. - Mam na myśli policję.

- Chyba później. Muszę to przemyśleć.

Nie chciałem tego, ale nie mogłem wymazać z pamięci sceny, w której matka siedzi przy kuchennym stole, a Frank stawia przed nią filiżankę z kawą. Nic wielkiego. Właśnie posmarował masłem ciasteczko i uważnie podał je matce. Robił to tak, jak nam pokazał - nie kroił ciastka, tylko je rozerwał, by masło mogło wsiąknąć w większą powierzchnię. Gdy ugryzła, malutka kropla dżemu została jej na policzku. Frank zanurzył serwetkę w wodzie i otarł to miejsce. Gdy ją dotykał, patrzyła na niego tak jakoś inaczej. Było to spojrzenie osoby, która po długiej wędrówce przez pustynię w końcu dociera do oazy.

- Śniadanie - powiedział. - Komu potrzeba czegoś więcej?

- Zapamiętaj ten moment - powiedziała.

## Rozdział siedemnasty

Ojciec i Marjorie kupili minivana, którego tylne drzwi rozsuwały się, a nie otwierały na boki jak w poprzednim samochodzie. Auto tego typu całkiem niedawno pojawiło się na rynku, co oznaczało, że od kilku miesięcy musieli być na liście chętnych. Gdy trafiło do sprzedaży, u dealera dodge'a pojawił się model w kolorze brązowym, który wyjątkowo nie podobał się Marjorie. Chciała biały, ponieważ w jakimś artykule wyczytała, że białe auta najrzadziej biorą udział w wypadkach drogowych.

- Richard i Chloe są moim bardzo cennym ładunkiem - powiedziała. - I oczywiście Henry też - dodała po długiej pauzie.

Ostatecznie jednak kupili brązowe auto.

- Twój ojciec jest znakomitym kierowcą - wyjaśniła Marjorie, tak jakby ktoś z nas martwił się, że zginie w wypadku. Jednak moje zmartwienia dotyczyły czegoś wręcz przeciwnego. Chodziło o nieustanne przesiadywanie w domu. Choć oczywiście wspólny wypad z ojcem i Marjorie do Friendly's nie należał do moich ulubionych zajęć.

Za każdym razem pojawiali się przed naszym domem punktualnie o siedemnastej trzydzieści, a ja czekałem na nich na schodach. Tym razem bardziej niż zwykle nie chciałem, by ojciec podszedł do drzwi i zajrzał do środka.

Richard siedział na tylnym siedzeniu ze słuchawkami na uszach, a obok, w foteliku siedziała Chloe. W przeciwieństwie do niej, nawet na mnie nie spojrzał, gdy wsiadałem do auta. Chloe potrafiła już powiedzieć kilka słów. W dłoni trzymała kawałek banana, który raczej rozmazywała po twarzy, niż jadła.

- Przywitajcie się z braciszkiem, dzieciątka - powiedziała Marjorie.

- Co powiesz na ten upał, synu? - odezwał się ojciec. - Dobrze, że wzięliśmy auto z klimatyzacją. W taki weekend chciałoby się cały czas siedzieć w samochodzie.

- Sprytnie - przyznałem.

- Co u twojej matki, Henry? - spytała Marjorie. Zawsze, gdy o nią pytała, ton jej głosu był taki, jakby chodziło o kogoś chorego na raka.

- Wspaniale - odpowiedziałem.

Jeśli na świecie był ktoś, z kim nie miałem ochoty rozmawiać o mojej matce, to z pewnością była to Marjorie.

- Teraz, gdy zaczyna się rok szkolny, dla twojej matki byłoby dobrze, gdyby znalazła sobie jakąś pracę - powiedziała Marjorie. - Studenci wrócą na uczelnie. Może mogłaby kilka dni w tygodniu popracować jako kelnerka. Byle tylko wyrwać się z domu. I zarobić trochę pieniędzy.

- Już ma pracę - wyjaśniłem.

- Wiem. Witaminy. Myślałam o czymś bardziej pewnym.

- No, synu - wtrącił się ojciec. - Idziesz już do siódmej klasy. Jak się z tym czujesz?

Niewiele było do powiedzenia na ten temat, więc po prostu milczałem.

- Richard zastanawia się nad tym, by w tym sezonie pograć w lacrosse, prawda, Rich? - powiedział ojciec.

Siedzący obok mnie Richard kiwał głową w rytm piosenki, której nikt inny nie słyszał. Jeśli nawet wiedział, że ojciec zadał mu pytanie, nie dał tego po sobie poznać.

- A ty, mój stary przyjacielu? Lacrosse może być całkiem fajną grą. A potem piłka nożna. Football nie, dopóki nie nabierzesz trochę masy mięśniowej.

- Football na pewno nie, i to w ciągu najbliższego stulecia - odparłem. - Lacrosse też raczej nie. Myślałem o tym, by zapisać się do grupy tańca nowoczesnego - wyjaśniłem.

Chciałem tylko zobaczyć jego reakcję.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedział. - Wiem, jaki stosunek do tańca ma twoja matka, ale ludzie mogą cię źle odbierać.

- Źle odbierać?

- Twojemu ojcu chodzi o to, że mogą traktować cię jak geja - rzuciła Marjorie.

- Albo mogą pomyśleć, że chcę przebywać z dziewczynami w strojach gimnastycznych - powiedziałem.

Richard podniósł wzrok, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że wszystko słyszał. Wolał jednak udawać, że nie słyszy, co było zrozumiałe.

Dotarliśmy do Friendly's. Richard wyskoczył z auta.

- Możesz podać mi swoją siostrę? - zapytała Marjorie.

Jakiś czas temu domyśliłem się, że była to część jej planu, który miał doprowadzić do zacieśnienia więzi pomiędzy mną i Chloe.

- Może lepiej ty ją weź - odpowiedziałem. - Chyba ma coś w pieluszce.

Zawsze zamawiałem to samo: hamburgera i frytki. Richard zamówił cheeseburgera. Ojciec wziął stek, natomiast Marjorie - w trosce o swoją wagę - wybrała specjalność zakładu w postaci ryby i sałatki.

- I co, moje psiaczki? Cieszycie się, że wracacie do szkoły? - spytała Marjorie.

- Niezupełnie.

- Ale gdy już wszystko się zacznie, to jakoś wdrożycie się w codzienny rytm. Znów spotkacie swoich przyjaciół.

- Pewnie.

- Zanim się zorientujecie, na pewno zaczniecie umawiać się na randki - powiedziała. - Będziecie łamać dziewczynom serca. Gdybym była teraz w siódmej klasie, na pewno uważałabym was za najśłodszych chłopców w szkole.

- Nie przesadzaj, mamó - odezwał się Richard. - Poza tym, gdybyś była w siódmej klasie, to ja bym się nie urodził. A gdybym się urodził, a ty uważałabyś mnie za przystojnego, to byłoby kazirodztwo.

- Gdzie oni uczą się takich słów? - zdziwiła się Marjorie.

Rozmawiając z moim ojcem, mówiła zupełnie innym głosem niż wtedy, gdy zwracała się do mnie, Richarda i Chloe. Jeszcze innym tonem poruszała tematy związane z moją matką.

- Marjorie ma rację - przyznał ojciec. - Obaj wkraczacie w ten etap życia. Dziki i cudowny świat dojrzewania płciowego, jak mówią. Najwyższy czas, byśmy poważnie porozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną.

- Przerabiałem to z moim prawdziwym ojcem - powiedział Richard.

- W takim razie zostałeś tylko ty, synu - zwrócił się do mnie ojciec.

- W porządku - odparłem. - Jestem gotów.

- Matka na pewno wyjaśniła ci podstawowe sprawy, ale niektórych rzeczy musisz dowiedzieć się od mężczyzny. Bez mężczyzny w domu może być ci dość ciężko.

„W domu jest jeden!”, krzyknąłem w duchu. Z mężczyzną w domu także może być ciężko, szczególnie wtedy, gdy co noc uderza łóżkiem twojej matki w ścianę twojego pokoju. Gdy jest z nią pod prysznicem. Teraz pewnie byli w domu i znów to robili.

Do stolika podeszła kelnerka z kartą deserów i uprzątnęła puste talerze.

- Czyż to nie wspaniałe? - odezwała się Marjorie. - Zebrać się całą rodziną przy jednym stoliku w restauracji. Chłopcy mogą spędzić ze sobą trochę czasu.

Richard znowu założył słuchawki. Chloe trzymała rękę na moim uchu. Ciągnęła je.

- Kto ma jeszcze miejsce na lody? - spytał ojciec.

Gdy wróciłem do domu, Frank zmywał naczynia, a matka siedziała przy stole z nogami na krześle.

- Twoja matka to urodzona tancerka - powiedział. - Nie mogłem dotrzymać jej kroku. Większość ludzi nie próbowałaby nawet tańczyć w taką pogodę. Ale twoja matka nie należy do większości.

Jej buty - buty do tańca - leżały na podłodze pod stołem. Jej włosy były wilgotne. Może od tańca, może tak po prostu. Właśnie piła wino, ale gdy wszedłem do kuchni, odstawiła kieliszek.

- Podejź tu. Chcę z tobą porozmawiać. Zastanawiałem się, czy potrafi czytać w moich myślach.

W końcu tak długo byliśmy tu tylko my dwoje. Może domyśliła się, o czym myślałem, jaki miałem plan. Może wiedziała, o czym rozmawiałem z Eleanor. Wszystkiego się wyprę, ale matka i tak będzie znała prawdę.

Przez chwilę wyobraziłem sobie, co się wtedy stanie. Frank mnie zwiąże. Nie szalikami. Sznurkiem lub taśmą klejącą. A może jednym i drugim. Trudno mi było uwierzyć w to, że matka mogłaby pozwolić Frankowi na coś takiego, chyba że zgodnie ze słowami Eleanor seks miał teraz nad nią władzę i wszystko uległo zmianie. Tak jak w przypadku Patty Hearst, która rabowała banki, choć jej rodzice byli bogaci, czy hipisek sypiających z Charlesem Mansonem, które zmieniały się w morderczynie zwierząt i ludzi. To właśnie seks sprawiał, że ludzie robili takie rzeczy.

- Frank mi się oświadczył - powiedziała. - Wiem, że to niecodzienna sytuacja. Są pewne problemy Ale fakt, że życie jest skomplikowane, nie jest przecież żadną niespodzianką - dodała.

- Zdaję sobie sprawę, że nie znasz mnie zbyt długo, Henry - odezwał się Frank. - Może odniosłeś złe wrażenie. Jeśli tak, nie mogę cię za to winić.

- Odkąd oszedł twój ojciec - ciągnęła matka - myślałam, że już zawsze będę sama. Nie podejrzewałam, że kiedykolwiek będzie mi na kimś zależało. Na kimś oprócz ciebie. Nie spodziewałam się, że znów będę mogła mieć nadzieję na cokolwiek.

- Nigdy nie stanę między tobą a twoją matką - powiedział Frank. - Uważam jednak, że możemy być rodziną.

Chciałem zapytać, jak to miało być możliwe z nimi gdzieś na Wyspie Księcia Edwarda i ze mną na codziennych obiadach z ojcem i Marjorie oraz jej cennym ładunkiem, który mógł być przewożony wyłącznie w białych samochodach? Chciałem zapytać, czy zastanowiła się nad tym, co się stało, gdy ten mężczyzna miał własną rodzinę? Raczej nie spisał się najlepiej w kwestii życia rodzinnego.

Ale nawet wtedy, mimo że byłem wściekły i jednocześnie przerażony, wiedziałem, że byłoby to nie fair. Frank nie był mordercą. Po prostu nie chciałem, by zabrał moją matkę i wyjechał z nią beze mnie.

- Musimy wyjechać - powiedziała matka. - Musimy zmienić nazwisko. Musimy zmienić tożsamość.

On i ona. Ich dwoje. Musieli zniknąć.

Prawda była taka, że marzyłem o czymś podobnym. Czasami, siedząc w szkole przy stole wyrzutków, wyobrażałem sobie, co by było, gdyby NASA szukała ochotników do założenia kolonii na innej planecie. W myślach dołączałem do Korpusu Pokoju, pomagałem Matce Teresie w Indiach, byliśmy obejmowani Programem Ochrony Świadców, przechodziliśmy operacje plastyczne i otrzymywaliśmy dokumenty z nowym nazwiskiem. Ojcu powiedzieliby, że zginęliśmy w tragicznym pożarze. Byłby



smutny, ale poradziłby sobie z tym. Marjorie byłaby szczęśliwa. Nie musiałyby się ze mną spotykać.

- Naszym zdaniem Kanada to dobry pomysł - powiedziała matka. - Mówią tam po angielsku, poza tym nie potrzebujemy paszportu, by przekroczyć granicę. Mam trochę pieniędzy. Frank także, ale w domu swej babci; nie możemy ich ruszyć, bo jeśli tam pojedziemy, od razu go namierzą.

Przez cały czas milczałem. Patrzyłem na jej dłonie. Przypomniałem sobie, jak głaskała mnie po głowie, gdy siedzieliśmy razem na kanapie. Teraz też wyciągnęła do mnie rękę, ale odsunąłem się.

- To wspaniale - powiedziałem. - Bawcie się dobrze. Na pewno się kiedyś spotkamy. W dalekiej przyszłości, co?

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się. - Wyjeżdżamy wszyscy, głuptasie. Jak mogłabym żyć bez ciebie?

A zatem myliłem się. Nie zostawiali mnie. Słyszałem wyraźnie, że mieliśmy wyjechać we trójkę. Eleanor nawbijała mi do głowy trochę głupot. Powinienem się domyślić.

Chyba że była to jakaś sztuczka. Może nawet matka sama jeszcze o tym nie wiedziała. Może był to sposób Franka, by odciągnąć ją ode mnie - powiedział, że dołączę później, a w rzeczywistości miałem nigdy nie dołączyć. Nagle sam już nie wiedziałem, w co mam wierzyć. Nie wiedziałem, co jest prawdą, a co nie. Choć jedno było pewne: matce nie trzęsły się dłonie jak zwykle.

- Będziesz musiał opuścić szkołę - powiedziała tak, jakby miało to być dla mnie czymś trudnym. - Nikomu nie możesz powiedzieć, dokąd jedziesz. Po prostu spakujemy się i wyruszymy w drogę.

- A co z blokadą dróg? Z patrolami na autostradzie? Zdjęciami w gazetach i wiadomościach w telewizji?

- Szukają mężczyzny podróżującego samotnie. Nie spodziewają się całej rodziny.

Znów padło to słowo. Uważnie przyjrzałem się jej twarzy, by wykryć jakąś oznakę kłamstwa. Potem spojrzałem na Franka, który wciąż zmywał naczynia.

Do tej chwili tego nie zauważyłem, ale wyglądał nieco inaczej. Rzecz jasna, miał tę samą twarz, to samo szczupłe i muskularne ciało. Jednak jego włosy, wcześniej szpakowate, teraz były czarne. Przefarbowane. Nawet brwi. Przypominał nieco Johnny'ego Casha; znałem jego płyty z okresu, gdy odwiedzali nas Evelyn i Barry Z jakiegoś powodu Barry lubił płytę Live from Folsom Prison, dlatego w kółko ją puszczaaliśmy.

Nagle wyobraziłem sobie nas troje na jakiejś wyspie - na myśl przyszła mi Wyspa Księcia Edwarda. Matka będzie uprawiała ogródek i grała na wiolonczeli, a Frank będzie malował domy i naprawiał różne rzeczy u ludzi. Wieczorami będzie gotował nam obiady, a później będziemy siedzieć na werandzie i grać w karty. Nie będzie nic złego w tym, że Frank i moja matka będą ze sobą sypiać. Ja będę starszy. Będę miał dziewczynę, z którą będę spacerował po lesie lub po plaży nad oceanem kierowanym przez Golfsztrom. Gdy wyjdzie z wody naga, owinę ją ręcznikiem i wytrę do sucha.

- Muszę uzyskać twoją zgodę - powiedział Frank. - Dla twojej matki jesteś całą rodziną. Potrzebujemy twojej akceptacji.

Gdy to mówił, matka trzymała jego dłoń. Trzymała także moją dłoń i przez chwilę wydawało mi się, że jedna osoba może kochać jednocześnie swego syna i swego kochanka tak, by żaden z nich nie czuł się pokrzywdzony. Wszyscy byliśmy szczęśliwi. Jej szczęście było dla mnie czymś wspaniałym. Nasze wspólne odnalezienie - nie tylko to, że Frank znalazł moją matkę - było pierwszym prawdziwym szczęściem w naszym życiu od długiego czasu.

- Tak - powiedziałem. - Zgadza się. Kanada.

## Rozdział osiemnasty

Trudno było sobie wyobrazić, że upał może być jeszcze większy, ale noc była tak gorąca, że nawet nie przykrywałem się kołdrą. Leżałem na łóżku w bokserkach, z mokrą szmatką na brzuchu i szklanką zimnej wody na szafce nocnej. Spodziewałem się, że wysoka temperatura sprawi, iż matka i Frank zaprzestaną nocnych harców, ale najwyraźniej upał działał na nich pobudzająco.

W poprzednie noce chyba czekali, aż zasnę, ale teraz, być może z powodu rozmowy o ich ślubie i naszym wspólnym wyjeździe do Kanady - w końcu dałem im swoje błogosławieństwo - zaczęli, zanim zdążyłem zgasić światło.

Adele. Adele. Adele.

Frank.

Jego niski głos przypominający Johnny'ego Casha. Jej delikatny, jakby pozbawiony oddechu. Najpierw cicho, później głośniej. Uderzenie wezgiłowia o ścianę. Jej krzyk. On mruczący niczym pies, który marzy o dorodnej kości i wyobraża sobie, że wysysa z niej szpik.

Leżąc w wilgotnym upale - powietrze było tak spokojne, że firanki się nie poruszały - rozmyślałem o Eleanor. Byle tylko zająć czymś umysł. Pomijając to, że była bardzo chuda, była bardzo ładna. Roztaczała wokół swego rodzaju magnetyzm. Można było sobie wyobrazić, że po jej dotknięciu porazi nas prąd, choć niekoniecznie w złym tego słowa znaczeniu. Gdy mnie pocałowała, smakowała jak cukierki Vicks. Eukaliptus. Włożyła mi język do ucha.

Była też trochę zwariowana, ale to akurat mogła być dobra wiadomość. Gdyby była normalną dziewczyną, wiedziałaby - a jeśli nie, to pewnie szybko by się o tym przekonała - że przyjaźń ze mną jest fatalną decyzją, jeśli idzie o jej pozycję w szkole. Zwróciłem na to uwagę już w bibliotece, ale tylko spojrzała na mnie bez słowa.

- Być może nie powinnaś ze mną rozmawiać, gdy zacznie się szkoła. Najbardziej lubiane dzieciaki uznają cię za kogoś gorszego - powiedziałem.

- A dlaczego miałabym chcieć się z nimi zaprzyjaźnić? - spytała.

Teraz wyobrażałem sobie, że się całujemy, tym razem bardziej intensywnie i nie na stojąco. Na leżąco. Dłońmi obejmowała moją głowę, wczepiając palce we włosy. Była jak bezdomna kotka: niedożywiona i płochliwa, z niewielką domieszką leśnej dzikości. Mogła uciec. Mogła też podrapać pazurem. Nigdy nie było wiadomo, czy poliże cię po twarzy, czy wbije pazury w skórę i przebije ją aż do krwi.

Wyobraziłem sobie, że zdejmuje koszulkę. Nawet nie nosiła stanika. Nie było takiej potrzeby Jednak jej piersi, które wydawały mi się zupełnie płaskie, wystawały nieco ponad klatkę piersiową, a różowe sutki sterczały znacznie mocniej, niż można było przypuszczać.

- Możesz je pocałować - powiedziała.

W sąsiednim pokoju Frank i matka prawdopodobnie robili to samo, ale ja nie chciałem o tym myśleć, więc przełączyłem się na kanał z Eleanor.

- Gdzie chcesz, żebym cię pocałowała? - zapytała.

Rano znów poczułem zapach kawy Frank znalazł na skraju naszego ogródka trochę borówek, które wykorzystał do naleśników.

- Szkoda, że nie mamy syropu klonowego - powiedział. Na farmie dziadków każdego roku w marcu nacinali drzewa i gotowali soki, by uzyskać syrop klonowy. Z części wytwarzali też krem klonowy, którym smarowali ciasteczka.

- Będę ciężko pracował, gdy już dotrzemy do Kanady - powiedział. - Chcę, żebyś miała wszystko. Piękną kuchnię. Werandę. Wielkie łóżko i okno wychodzące na zielone wzgórza. W następnym roku założę ogródek.

- Ty i ja, przyjacielu - zwrócił się do mnie - będziemy mogli porządnie poćwiczyć grę w baseball. Przyjdzie wiosna, a ty będziesz już tak dobry, że bez trudu złapiesz nawet pocisk.

W filmach zwykle są takie sceny, które mają pokazać moment zakochania się w sobie dwojga ludzi. Butch Cassidy i Sundance Kid mogą być tego przykładem, ale jest także wiele innych filmów. Zamiast pokazywać i opisywać wszystko ze szczegółami, puszczają jakąś romantyczną piosenkę, w tle której dwoje ludzi spędza ze sobą czas: jeżdżą na rowerze, biegają po łące, trzymając się za ręce, jedzą lody lub jeżdżą na karuzeli. Siedzą w restauracji, a on karmi ją spaghetti. Siedzą w łodzi, która się przewraca, ale gdy się wynurzają, ich twarze są roześmiane. Nikt nie tonie. Wszystko jest w najlepszym porządku, a nawet jeśli coś pójdzie nie tak, jak choćby z łodzią, to także w tej sytuacji jest coś idealnego.

Tamtego dnia można by zrobić taki filmik o nas, tyle że zamiast dwojga zakochanych, byłyby trzy osoby, które stają się rodziną. Staromodne, ale prawdziwe, zaczynając od naleśników i od tego momentu rozwijając historię.

Gdy umyliśmy naczynia, Frank i ja porzucaliśmy trochę piłką baseballową. Frank przyznał, że idzie mi coraz lepiej, co w istocie było prawdą. Później pojawiła się matka i wszyscy razem umyliśmy samochód. Gdy już kończyliśmy, matka nagle skierowała strumień wody w naszą stronę i kompletnie nas przemoczyła, ale z powodu upału czuliśmy się z tym bardzo dobrze. Po chwili Frank wziął wąż i oblał matkę. Była tak przemoczona, że musiała iść się przebrać. Powiedziała, byśmy weszli do domu i poczekali na dole, a ona robi dla nas pokaz mody. Tak naprawdę pokaz był dla Franka, ale mnie też bardzo się to podobało - sposób, w jaki poruszała się po pokoju w kolejnych kreacjach, niczym modelka na wybiegu lub dziewczyny podczas konkursu Miss America.

Wiele z ubrań, które miała na sobie podczas tego pokazu, widziałem po raz pierwszy, być może dlatego, że wcześniej nie miała okazji ich założyć. Frank był zachwycony. Ja też, choć pewnie w nieco inny sposób. Była piękna, a ja byłem z niej dumny. Cieszyłem się, że jest przy tym taka szczęśliwa. Nie tylko dlatego, że chciałem, by była szczęśliwa, ale także dlatego, że jej szczęście odciążało mnie trochę. Nie musiałem się martwić, w jaki sposób ją pocieszyć.

Na lunch Frank znów przygotował jedną ze swych zup. Tym razem z ziemniaków i cebuli. Podał ją na zimno, co było doskonałym pomysłem w tak upalny dzień. Później matka postanowiła go ostrzyć. Frank z kolei uznał, że ja też powinienem ściąć włosy, i zajął się moją czupryną. O dziwo, świetnie mu poszło. Powiedział, że w więzieniu to właśnie on wszystkich strzygł. Nie mogli mieć nożyczek w celach, ale jeden z więźniów chował je pod obluzowaną płytą chodnikową na placu apelowym.

Frank nie wspominał, w jaki sposób spędził ostatnich osiemnaście lat, ale powiedział nam, że gdy jeden ze strażników znalazł nożyczki i wszyscy znów musieli chodzić do więziennego fryzjera, więźniowie z utęsknieniem wspominali stare dobre czasy, kiedy to Frank ich strzygł.

Moja matka uczyła go kroków teksańskiego tańca, ale z powodu rany nogi nie szło mu najlepiej.

- Jak tylko się wyleczę, Adele, zabiorę cię do miasta - powiedział.

- To będzie już w Kanadzie.

Było tak gorąco, że w ogóle nie byliśmy głodni, ale matka przygotowała na kolację popcorn z topionym masłem. Ułożyliśmy się na poduszkach na podłodze i oglądaliśmy film. Tootsie.

- Właśnie to powinniśmy zrobić przed przekroczeniem granicy - matka zwróciła się do Franka. - Przebrać cię za kobietę. Możesz założyć jeden z moich kostiumów.

Jej słowa przywróciły nas do rzeczywistości. Przez jeden dzień zachowywaliśmy się jak troje beztroskich ludzi, których największym zmartwieniem jest zapchany śmietnik, ale nagle, gdy wyobraziliśmy sobie, jak przekraczamy granicę i jedziemy do innego kraju samochodem, w którym znajduje się nasz cały dobytek, jak uciekamy od dotychczasowego życia, nie wiedząc tak naprawdę, dokąd się udajemy, zapadła głucha cisza.

By przełamać milczenie, matka powiedziała:

- Dustin Hoffman wygląda na całkiem ładną kobietę.
- Ja jestem bardziej w typie Jessiki Lange - powiedziałem.
- A ja w typie Adele - dodał Frank.

Po filmie powiedziałem, że jestem zmęczony, i poszedłem na górę, ale nie położyłem się spać. Przez chwilę siedziałem przy biurku. Zastanawiałem się, czy powinienem napisać list do ojca. Pomyślałem, że nie będę się z nim widział przez długi czas i nawet jeśli nasze dotychczasowe spotkania rzadko były dla mnie przyjemne, zrobiło mi się smutno.

Drogi Tato! - napisałem. - W tej chwili nie mogę Ci powiedzieć, dokąd jadę, ale nie chcę, żebyś się martwił.

Drogi Tato! - zacząłem jeszcze raz. - Być może przez dłuższy czas nie będziesz miał ode mnie wiadomości.

Chcę, żebyś wiedział, że naprawdę doceniam nasze wspólne wyjścia na kolację.

Chcę, żebyś wiedział, że doceniam Twą pomoc przy referacie naukowym.

Wiem, że bardzo chciałeś, byśmy wszyscy pojechali do Disney World.

Cieszę się, że masz wokół siebie inne dzieci, którym poświęcasz swój czas.

Nie obwiniam cię o nic.

Czasem to dobre dla ludzi, jeśli nie widzą się przez dłuższy czas. Gdy się później spotykają, mają sobie wiele do powiedzenia.

Nie musisz się o mnie martwić - napisałem. - Wszystko będzie dobrze.

Pozdrów ode mnie Richarda i Chloe. Marjorie też.

Długo zastanawiałem się, jak zakończyć list, i ostatecznie zdecydowałem się na Serdecznie pozdrawiam. Potem tylko na Pozdrawiam. Potem i to przekreśliłem. Po chwili pomyślałem, że głupio będą wyglądały te przekreślenia, tym bardziej że po bliższym przyjrzeniu się ojciec i tak zobaczy, co napisałem w pierwszej wersji. Napisałem więc po prostu: Twój syn, co było bezpieczniejsze niż: Twój kochający syn.



## Rozdział dziewiętnasty

Wtorek rano. Szkoła miała się rozpocząć następnego dnia. Matka sprzątała lodówkę. Zaczęła już pakować rzeczy do pudeł, ale było tego zadziwiająco niewiele. Talerze dostaliśmy od organizacji charytatywnej. Kilka garnków i patelni, też nic wyjątkowego. Dzbanek do kawy.

Mieliśmy zabrać magnetofon, ale nie telewizor. Gdy zszedłem na dół, włączyłem go, by towarzyszył mi przy śniadaniu. Właśnie skończył się program z Jerrym Lewisem, a zaczynał ten z Regisem i Kathie Lee.

- W ogóle nie będzie mi go brakowało - powiedziała matka, wskazując na telewizor. - Na Wyspie Księcia Edwarda będziemy słuchać ptaków. I wiesz, co zrobimy, Henry? - zapytała. - Kupimy ci skrzypce. Znajdziemy jakiegoś starego kanadyjskiego skrzypka, który nauczy cię na nich grać.

Nie zabierała wiolonczeli, ponieważ tak naprawdę nie należała do niej, ale zważywszy na to, że mieliśmy złamać prawo, przekraczając granicę razem z Frankiem, kradzież wypożyczonej wiolonczeli nie byłaby naszym największym zmartwieniem.

- Nieważne - powiedziała. - Kupię sobie drugą na miejscu. Tym razem normalnych rozmiarów. Będziemy mogli grać razem, gdy opanujesz już grę na skrzypcach.

Jedyne, co ją tak naprawdę martwiło, to porzucenie wszystkich zapasów - rocznego zapasu papierowych ręczników i papieru toaletowego oraz całego naszego magazynu zupek Campbella. Frank stwierdził, że w samochodzie nie ma na to miejsca, poza tym, jeśli na granicy będą nas sprawdzać, mogłoby im się to wydać podejrzane. Mogła też zabrać ze sobą część ubrań, ale na pewno nie wszystkie. Jej wspaniałe stroje do tańca - błyszczące spódnice i szale, kapelusze z jedwabnymi kwiatami, buty do stepowania, baletki z miękkiej skóry i buty na wysokim

obcasie, w których tańczyła tango... Musiała wybrać tylko kilka ulubionych rzeczy. Na więcej nie było miejsca.

Ale zabierała nasze albumy ze zdjęciami. Nie było w nich prawie wcale fotografii z jej dzieciństwa, ale za to pół tuzina skórzanych woluminów dokumentowało moje życie. Tyle że z każdego zdjęcia, na którym był mój ojciec, matka wycięła brzytwą jego twarz. Na kilku fotografiach, na których byłem też ja - w wieku dwóch, trzech i czterech lat - matka była ubrana w szeroką bluzkę wskazującą na ciążę, ale po przewróceniu strony nie było zdjęcia żadnego dziecka. Na końcu jednego z albumów był jednak odcisk stopki, nie większy niż znaczek pocztowy Fern.

Jeśli chodzi o mnie, to nie miałem zbyt wielu rzeczy do spakowania. Kroniki Narnii, Wielki Skarbiec Magicznych Sztuczek, a z młodszych lat Mały piesek Pokey i Ciekawski George. No i plakat, na którym Albert Einstein pokazuje język.

Przede wszystkim jednak martwiłem się o mojego chomika Joego. Nie licząc dnia, w którym przywieźliśmy go ze sklepu zoologicznego, jeszcze nigdy nie jechał samochodem. Doszedłem do wniosku, że jeśli będzie się bał, wyjmę go klatki i schowam pod koszulką, gdzie będzie słyszał bicie mojego serca. Robiłem to czasem, nawet jeśli nigdzie nie wychodziliśmy. Wtedy pod delikatnym futerkiem czułem bicie jego serca, szybsze od mojego.

Joe bardzo źle znosił upał. Od kilku dni nie wykazywał żadnego zainteresowania swoim kołem. Leżał tylko na dnie klatki, sapał i patrzył szklistymi oczami. Nawet nie tknął jedzenia. Podawałem mu wodę zakraplaczem, bo nawet podejście do pojemnika stanowiło dla niego zbyt wielki wysiłek.

- Martwię się o Joego - powiedziałem do matki tego ranka. - Wolałbym, żebyśmy wyruszyli dopiero wtedy, gdy trochę się ochłodzi.

- Musimy o tym porozmawiać, Henry - odparła. - Nie wydaje mi się, żeby chomiki mogły przekraczać granicę.

- Przemycimy go - powiedziałem. - Włożę go pod koszulę. Już wcześniej planowałem, że tak zrobię, więc nie będzie się bał.

- Ale jeśli znajdą Joego, zaczną nas bardzo dokładnie sprawdzać. Prędzej czy później na pewno odkryją Franka. Jego aresztują, a nas odeślą do domu.

- Jest częścią naszej rodziny. Nie możemy go zostawić.

- Znajdziemy mu dobry dom - powiedziała. - Może Jervisowie wezmą go dla swoich wnuków?

Spojrzałem na Franka. Siedział na podłodze i skrobał linoleum. Matka powiedziała, że musi wszystko zostawić w jak najlepszym porządku. Nie chciała, żeby ludzie ją później obgadywali. Frank trzymał w dłoni nóż i z miejsca, w którym linoleum przylega do ściany, wydłubywał nagromadzony brud. Nie podnosił wzroku, nie patrzył na mnie. Matka z uporem maniaka szorowała jedno i to samo miejsce na płycie piekarnika.

- Jeśli Joe nie pojedzie, ja też nie jadę - powiedziałem. - Bardzo mi na nim zależy.

Wiedziała, że nie ma sensu mówić, iż kupimy kolejnego chomika. Albo psa, mimo że zawsze chciałem mieć psa.

- Nigdy mnie nie pytałaś, czy nie mam nic przeciwko temu, że już nigdy nie zobaczę ojca - powiedziałem. - Inne dzieci mają braci lub siostry, a ja mam tylko Joego.

Wiedziałem, jak na to zareaguje. Jej twarz pozornie się nie zmieniła, ale nagle wyglądała tak, jakby ktoś wstrzyknął jej pod skórę substancję chemiczną o straszliwym toksycznym działaniu. Jakby zamarzła.

- To może wszystko popsuć - powiedziała tak cicho, że ledwo ją słyszałem. - Prosisz mnie, bym dla chomika zaryzykowała bezpieczeństwo mężczyzny, którego kocham.

Nienawidziłem żalosnego brzmienia tych słów. Jakby całe moje życie było jednym wielkim żartem.

- Ważne jest tylko to, na czym tobie zależy - powiedziałem. - Tylko ty i on. Chcesz tylko wskoczyć z nim do łóżka i się pieprzyć.

Nigdy wcześniej nie wypowiedziałem tego słowa. Nigdy nawet nie słyszałem go w naszym domu. Dopóki nie wypowiedziałem go na głos, nie wierzyłem, że pojedyncze słowo może mieć taką moc.

Pamiętałem tamten dzień, gdy wylała mleko na podłogę, a także inny - tak odległy, że wspomnienie było jak wyblakłe zdjęcie z polaroidu - gdy siedziała w garderobie z twarzą skrytą w ubraniach, wydając z siebie odgłos przypominający umierające zwierzę. Dużo później zdałem sobie sprawę, że było to po śmierci dziecka. Ostatniego. Kuciała wtedy na podłodze, nad nią wisiały płaszcze, obok walały się zimowe buty, parasolka i wąż od odkurzacza. Podobnego odgłosu nie słyszałem nigdy wcześniej, dlatego rzuciłem się na nią, myśląc, że będę w stanie to zagłuszyć. Zatkalem jej usta dłonią, a na twarz zarzuciłem swoją bluzkę, ale i tak to słyszałem.

Tym razem milczała. Okazało się to jednak jeszcze gorsze. Właśnie tak w szkolnym wypracowaniu wyobrażałem sobie Hiroszimę w chwili, gdy zrzucono na nią bombę. Każdy człowiek zamierał w bezruchu, z otwartymi oczami, a skóra topiła mu się na twarzy.

Matka stała w miejscu bez ruchu. Rękę wciąż trzymała na płycie piekarnika. Była boso. W drugiej ręce trzymała szmatkę. Nawet nie drgnęła.

W końcu milczenie przerwał Frank. Odłożył nóż, wstał i objął ją swym długim ramieniem.

- W porządku, Adele - powiedział. - Poradzimy sobie z tym. Zabierzemy chomika. Ale, Henry, powinieneś przeprosić matkę.

Poszedłem do swojego pokoju i zacząłem wyjmować rzeczy z szafek: koszulki zespołów sportowych, którym nie kibicowałem, czapkę Red Soksów z meczu, na który ojciec zabrał mnie i Richarda, kiedy to w siódmej rundzie po prostu zająłem się swoją książką z łamigłówkami. Kilka listów od Araka, mojego afrykańskiego kolegi, z którym kontakt urwał się kilka lat temu. Kawalek pirytu, który dawniej uważałem za złoto; kiedyś miałem nawet taki pomysł, że sprzedam ten kamień za spore pieniądze i zabiorę matkę na wspaniałą wycieczkę. Może do Nowego Jorku czy Las Vegas, gdzieś, gdzie można potać. Ale na pewno nie na Wyspę Księcia Edwarda.

Potem wszedłem do pokoju matki, gdzie stał magnetofon. Wyjąłem wtyczkę z kontaktu i przeniósłem go do swego pokoju. Włożyłem jedną ze swoich kaset. Guns N' Roses. Maksymalna głośność. Nie był to zbyt dobry magnetofon, więc przy najwyższym ustawieniu głośności niskie dźwięki nieco trzeszczały, ale może właśnie o to chodziło.

Całe popołudnie spędziłem u siebie. Wszystkie swoje rzeczy włożyłem do worków na śmieci. Kilka razy wahałem się, czy czegoś nie zabrać, ale ostatecznie postanowiłem pozbyć się wszystkiego. Gdybym cokolwiek zachował, nie byłoby już tak samo.

Późnym popołudniem, gdy spakowałem już wszystkie swoje rzeczy do worków na śmieci, zniosłem je na dół i postawiłem przy pojemnikach. Potem wyjąłem numer do Eleanor. Powoli przeszedłem przez pokój, gdzie matka i Frank zdejmowali książki z półek i wkładali do pudełek, by w

bibliotece wystawić je na sprzedaż. Zresztą z takiej samej sprzedaży pochodziły.

A niech się zastanawiają.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Masz ochotę się spotkać?

W innych okolicznościach matka na pewno zapytałaby, dokąd idę. Tym razem jednak nie powiedziała nic, ale i tak jej powiedziałem:

- Idę na spotkanie ze znajomą dziewczyną. To na wypadek, gdybyście się zastanawiali.

Matka odwróciła się i spojrzała na mnie. Miała minę jak wtedy, gdy ojciec przyjechał po mnie pierwszy raz po narodzinach Chloe. Staliśmy w ogródku, okno samochodu było uchylone i było słychać płacz dziecka. Wtedy zrozumiałem, że uderzenie pięścią nie jest jedynym sposobem na to, by kogoś głęboko zranić.

- Nie zrobimy niczego, czego wy byście nie zrobili - powiedziałem, zamykając za sobą drzwi.

Spotkałem się z Eleanor na opustoszałym placu zabaw w parku. Było zbyt gorąco. Miała na sobie sukienkę. Tak krótką, że można było pomyśleć, iż jeszcze nie skończyła się ubierać.

- Nie uwierzysz, co wymyśliła moja matka - powiedziałem. - Że możemy wyjechać bez mojego chomika.

Eleanor bawiła się warkoczem. Teraz wzięła końcówkę i przesunęła nią po swych ustach, tak jakby warkocz był pędzlem, a ona właśnie malowała wargi.

- Może tego nie wiesz, ale psychologowie twierdzą, że wiele można powiedzieć o ludziach, obserwując, jak traktują zwierzęta. Nie chcę przez to powiedzieć, że twoja matka jest złą osobą. Ale jeśli spojrzysz na psychopatycznych morderców, niemal zawsze zaczynają od torturowania

zwierząt. John Wayne Gacy, Charles Manson. Powinieneś wiedzieć, co robili z kotami, zanim wzięli się za ludzi.

- Nienawidzę ich - powiedziałem. - Franka i matki. Ona nie myśli o tym, co ja mogę chcieć. Frank udaje, że się tym interesuje, ale tak naprawdę chce tylko jej dogodzić.

- Seksualny narkotyk. Mówiłam ci - odparła.

- Wydaje im się, że mogą mną rządzić.

- Dopiero teraz na to wpadłeś? Rodzice zawsze są tacy Uwielbiają nas, gdy jesteśmy małymi dziećmi, ale gdy tylko zaczynamy mieć własne pomysły, od razu nas uciszają. Tak jak wczoraj, gdy do mojego ojca zadzwoniła kobieta ze szkoły, do której chciałam chodzić. Powiedziała, że jest możliwość rozłożenia czesnego na raty Wszystko słyszałam. Chcesz wiedzieć, co jej odpowiedział? „W zasadzie to wraz z moją byłą żoną zdecydowaliśmy, że dla Eleanor najlepiej będzie, jeśli zamieszka z jednym z rodziców. Miała problemy, zaburzenia odżywiania, dlatego doszliśmy do wniosku, że powinniśmy kontrolować ją w domu". Tak jakby myślał tylko o mnie. Tak jakby wcale nie chodziło o te dwanaście tysięcy dolarów, których nie chciał wydać - powiedziała.

- Moja matka nigdy nie rozmawiała z moim ojcem o naszym wyjeździe - przyznałem. - Nawet ze mną o tym nie rozmawiała.

Prawdę mówiąc, plan wyjazdu na Wyspę Księcia Edwarda był trochę po mojej myśli. Nie musiałbym już spotykać się co sobotę z ojcem, Marjorie i ich rodziną. Matka nie powinna jednak tego zakładać. Powinna skonsultować to ze mną.

- Rodzice muszą rządzić pod każdym względem - powiedziała Eleanor. - Gdy zgłosisz się na policję i wreszcie zatrzymają tego faceta, twoją matkę bardzo zaboli fakt, że to ty decydujesz o zmianach.

Do tamtej chwili wiedziałem tylko, że jestem bardzo wściekły. Bałem się, że matka i Frank mogą mnie zostawić.

Potem czułem się opuszczony i smutny, że nie jestem już najważniejszą osobą w jej życiu. Obawiałem się też tego, co może się wydarzyć. Jednak niezależnie od tego, jak się czułem - zły i smutny - nie chciałem, by dotknęło to moją matkę. Chciałem tylko, by była szczęśliwa. By była szczęśliwa razem ze mną.

Druga część tego, co powiedziała Eleanor - o aresztowaniu Franka - sprawiła, że zadrzałem. Nie chciałem tego, ale pomyślałem o wspólnej grze w baseball. O tym, jak siedzieliśmy obaj w kuchni, gdy przygotował dla mojej matki borówkowy naleśnik w kształcie serca, o tym, jak wyciągał Barry'ego z wanny, sadzał go na łóżku i obcinał mu paznokcie. Jak gwizdał podczas zmywania naczyń. Jak mówił: „Najbogatszy człowiek w Ameryce nie je czegoś równie dobrego jak my”. Jak mówił: „Widzisz piłkę, Henry?”.

- Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś - zacząłem.  
- Mimo wszystko, mimo tego, co robią, nie chcę, by znowu wylądował w więzieniu. Gdyby go teraz złapali, prawdopodobnie spędziłby tam wiele lat. Ukarzą go solidnie już za samą ucieczkę.

- I o to chodzi, Henry - rzekła. - Usuń go, pamiętasz? Wymaż ze swego życia.

- Ale może nie zasługuje na to, by już zawsze siedzieć w więzieniu - broniłem się. - Nie licząc tego, że chce zabrać moją mamę, to naprawdę jest bardzo miłym facetem. A gdyby go złapali, matka byłaby bardzo smutna. Mogłaby sobie z tym nie poradzić.

- Przez chwilę będzie smutna, ale później ci podziękuje. No i nie zapominaj o pieniądzach.

- Jestem tylko dzieckiem - odparłem. - Nie potrzebuję tylu pieniędzy.

- Chyba żartujesz? - Zdziwiła się. - Wiesz, co mógłbyś zrobić z taką nagrodą? Mógłbyś kupić samochód i trzymać go



do momentu, aż będziesz miał prawo jazdy. Mógłbyś kupić wspaniałą magnetofon. Mógłbyś pojechać do Nowego Jorku i mieszkać w hotelu. Mógłbyś nawet ubiegać się o przyjęcie do szkoły Weathervane. Na pewno by ci się tam spodobało.

- To nie fair. Zachowałbym się jak donosiciel. Nie powinno się nagradzać ludzi za coś takiego.

Eleanor potrząsnęła głową, odrzucając z twarzy kosmyki włosów. Spojrzała na mnie nienaturalnie wielkimi, przenikliwymi oczami. Dotknęła mojego policzka. Przyciągnęła mnie za szyję. Potem przesunęła dłoń na moją koszulę. Być może widziała taką scenę w jakimś filmie. Nie zauważyłem tego wcześniej, ale jej paznokcie były tak obgryzione, że na czubkach palców dostrzegłem krew.

- Jedną z cech, które w tobie uwielbiam, jest twoje dobre serce - powiedziała. - Nawet w stosunku do osób, które być może na to nie zasługują. Jesteś bardziej wrażliwy niż większość osób, które znam.

- Po prostu nie chcę, by komukolwiek stała się krzywda - odparłem. Zeskoczyłem z huśtawki i usiadłem na trawniku. Eleanor zrobiła to samo. Złapała mnie za ramiona i odwróciła, tak że nasze twarze były bardzo blisko siebie. Czulem na sobie jej oddech.

Pocałowała mnie. Tym razem jednak było tak, jak to sobie wyobrażałem. Leżeliśmy, ona na mnie, wpychała mi głęboko język do ust, a jej dłoń wędrowała po moim ciele.

- Zobacz, co się stało - powiedziała. - Sprawiliam, że masz erekcję.

Właśnie takich słów użyła. Mogła powiedzieć dosłownie wszystko.

- Moglibyśmy uprawiać seks - stwierdziła. - W zasadzie nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale istnieje między nami jakaś chemia.

Zdejmowała majtki. Różowe z czerwonymi serduszkami.

Myślałem o tym tyle czasu, a gdy wreszcie nadarzyła się okazja, by to zrobić, nie mogłem. W pobliżu nie było nikogo, ale nie czułem się bezpiecznie.

- Myślę, że najpierw powinniśmy się lepiej poznać - powiedziałem i od razu się zdenerwowałem, bo zamiast nowym, niskim głosem, odezwałem się piskliwym głosem szóstoklasisty.

- Jeśli martwisz się o to, że mogę zajść w ciążę, to nie powinieneś - uspokoiła mnie. - Od wielu miesięcy nie mam okresu. Oznacza to, że obecnie nie ma we mnie żadnych aktywnych jajeczek.

Teraz trzymała dłoń na moim penisie. Trzymała tak, jakby była jakąś gwiazdą, która właśnie odebrała Oscara. Albo lokalnym dziennikarzem, który siedzi w rozbitym samochodzie i trzyma w ręku mikrofon. Coś w tym stylu.

- Wiesz, co się stanie, jeśli nie zawiadomisz policji? - zapytała. - Wywiozą cię i nigdy więcej się nie spotkamy. Utknę w Holton Mills Junior High bez żadnych przyjaciół. Być może całkiem przestanę jeść i odeślą mnie do jakiejś kliniki.

- Nie mogę. Jestem zbyt młody - powiedziałem. Sam nie wierzyłem w swoje słowa. - Myślę, że matka i Frank starają się najlepiej, jak potrafią. To nie ich wina - dodałem.

- Nie do wiary - powiedziała, wstając i zakładając bieliznę. Jej chude nogi przywodziły na myśl kurze skrzydełka.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś palantem - kontynuowała.

- Myślałam jednak, że masz potencjał. Teraz okazuje się, że jesteś po prostu idiotą.

Założyła sukienkę. Stała nade mną, strzepywała kurz z ubrania i poprawiała włosy.

- Nie mogę uwierzyć, że uważałam cię za kogoś fajnego - powiedziała. - Miałeś rację. Jesteś totalnym frajerem.

Tego wieczoru matka uraczyła nas odgrzewaną potrawą Cap'n Andy. Zostało tak dużo mrożonych ryb, że wykorzystanie kilku wydawało się dobrym pomysłem.

Siedzieliśmy przy stole w milczeniu. Matka nalała sobie lampkę wina, potem kolejną. Frank nic nie pił. W trakcie posiłku przeniosłem się do salonu. W telewizji grupa aktorów przebranych za rodzinyki tańczyła wokół gigantycznej miski z płatkami kukurydzianymi.

Matka i Frank prawie skończyli już pakować rzeczy do samochodu. Zgodnie z planem mieliśmy wyjechać z samego rana, tuż po wizycie w banku. Jedynym pytaniem pozostawało, ile pieniędzy może podjąć matka bez zwracania na siebie nadmiernej uwagi. Mogła podjąć wszystko, choć byłoby to ryzykowne. Z drugiej strony, po wyjeździe może się to stać niemożliwe, a gdyby chciała to zrobić w Kanadzie, policja mogłaby wpaść na nasz trop.

Nie byłem zmęczony, ale wcześniej poszedłem do siebie. Mój pokój był teraz niemal kompletnie ogołocony. Na ścianach nie wisiało nic poza starym plakatem z Gwiezdných wojen i dyplomem sprzed dwóch lat, potwierdzającym mój udział w Małej Lidze. Nie zabieraliśmy nawet moich ubrań, które leżały teraz w workach obok pojemników należących do organizacji charytatywnej. Matka stwierdziła, że nie chce, by obcy ludzie grzebali w naszych rzeczach, gdy już wyjedziemy. Lepiej oddać to tak, by nikt nie wiedział, czyje to ubrania.

Próbowałem czytać, ale nie mogłem się skupić. Wciąż miałem w pamięci Eleanor, jej chude, opalone nogi, gdy klęczała nade mną, wyraźnie zarysowane zebra i kościste łokcie przylegające do mojej klatki piersiowej. Starłem się myśleć o kimś innym - o Olivii Newton - John, dziewczynach z The Dukes of Hazzard, Jill z Aniołków Charliego, a nawet siostrach ze Szczęśliwych dni. To były bardziej przyjazne typy

dziewczyn, ale nie potrafiłem zapomnieć twarzy Eleanor i jej słów:

Sprawiłam, że masz erekcję.

Palant. Idiota. Frajer.

Jakiś czas później usłyszałem, że matka i Frank wchodzi na górę. Poprzedniego wieczoru i wcześniej słyszałem ich szepty i stłumione śmiechy. Matka rozczesywała włosy lub on jej rozczesywał. Potem prysznic. Woda. Nie słyszałem tego, ale wyobrażałem sobie. Raz usłyszałem odgłos klepnięcia, po którym nastąpił wybuch tłumionego śmiechu.

Przestań.

Przecież to lubisz.

Tak.

Tej nocy z sypialni matki nie dochodziły jednak żadne dźwięki. Słyszałem, jak kładą się na łóżku, skrzypienie sprężyn, a potem już nic. Wezglowie nie uderzało o ścianę. Żadnych jęków. Żadnych krzyków.

Leżałem i czekałem na miłosne pomrukiwania, ale cały czas było cicho. Wstrzymałem oddech, ale jedyną rzeczą, którą słyszałem, było bicie mojego serca. Brakowało mi ich głosów.

Adele. Adele. Adele.

Frank. Frank.

Adele.

Okno było otwarte. Ostatnie z weekendowych przyjęć na świeżym powietrzu dobiegły już końca. Nie było też meczu; Red Sox pewnie już odpadli. Światła we wszystkich domach były zgaszone. Tylko urządzenie odstraszające owady, które działało u Edwardsów, świeciło fluorescencyjnym blaskiem i rozlegał się krótki syk, gdy jakiś komar wpadał na podłączoną do prądu siatkę.

## Rozdział dwudziesty

Środa. Tego ranka nie poczułem zapachu kawy. Matka spakowała już czajnik. Smażonych jajek też nie było.

- Zatrzymamy się gdzieś po drodze - powiedziała. - Gdy już wyjedziemy na autostradę.

Znów był to jeden z tych momentów, kiedy po otwarciu oczu zupełnie nie wiesz, co się dzieje. Po przebudzeniu się w ogołoconym pokoju potrzebowałem kilku sekund, by zorientować się, gdzie jestem i o co chodzi. Po chwili już wiedziałem.

- Wyjeżdżamy - powiedziałem. Nie mówiłem tego do nikogo konkretnego. Po prostu chciałem usłyszeć te słowa. W pustym pokoju pozbawionym moich rzeczy i zasłon mój głos brzmiał inaczej. Na biurku leżała koperta z listem do ojca, którą włożyłem do kieszeni. Poza tym nie było nic.

Padło, a niebo było zasłane szarymi chmurami. Pomyślałem o pudełkach z książkami i ubraniami, które zostawiliśmy przy pojemniku organizacji charytatywnej. Teraz do niczego się nie przydadzą. Ulżyło mi jednak, że upał w końcu odpuścił.

Ktoś był pod prysznicem. Domyśliłem się, że Frank, bo gwizdał jak zwykle. Zszedłem na dół. Było jeszcze bardzo wcześnie, może około szóstej, ale słyszałem, że matka krząta się już po domu.

Stała w drzwiach przedpokoju. Miała na sobie kraciaste spodnie, które nosiła, odkąd pamiętałem. Zauważyłem, jak bardzo schudła w ostatnim czasie.

- Mam złą wiadomość - powiedziała.

Spojrzałem na nią. Próbowałem zrozumieć, co może być dla niej złą wiadomością. Na pewno nie to samo, co dla zwykłych ludzi.

- Chodzi o Joego - wyjaśniła. - Gdy weszłam, by zabrać jego klatkę do samochodu, okazało się, że się nie rusza. Tylko leżał.

Wbiegłem do przedpokoju.

- Po prostu jest zmęczony - powiedziałem. - Gdy jest tak gorąco, nie lubi dużo biegać. Wczoraj, gdy go wziąłem, by powiedzieć dobranoc, poskubywał moją rękę.

Joe leżał na gazecie. Miał otwarte oczy, chociaż wcale nie mrugał, wyprostowane łapki niczym superbohater, który właśnie leci w powietrzu, i podwinięty ogon. I otwartą mordkę, jakby chciał coś powiedzieć.

- Zabiłaś go - powiedziałem. - Oboje go zabiliście. Nie chcieliście, żeby jechał z nami, dlatego postanowiliście się go pozbyć.

- Chyba tak nie myślisz - odparła. - Wiesz, że nie zrobiłabym czegoś takiego. Frank też nie.

- Naprawdę? Jeśli dobrze pamiętam, to kiedyś dopuścił do śmierci własnego dziecka.

Na zewnątrz było jeszcze dość ciemno. Deszcz sprawił, że ciężko mi było wbić łopatę w ziemię, bo grunt był rozmoczony i błotnisty.

Gdy kopałem grób dla Joego, ponownie zastanawiałem się nad tym, czy zawiadomić policję. Nie chciałem żadnych rzeczy z katalogu wysyłkowego. Chciałem jedynie ukarać tych dwoje. Doniesienie na niego doskonale by to załatwiło.

- Przysięgam - powiedziała matka. Wyszła za mną do ogródka. - Nigdy nie skrzywdziłabym niczego, co kochasz.

Zacząłem kopać. Rozmyślałem o historii, którą opowiedziała mi, kiedy byłem mały. I dlaczego jestem jedynakiem. Wyobraziłem sobie, że jest w ogrodzie naszego starego domu, obecnego domu mojego ojca, kopie dziurę małą łopatką, wkłada do niej zakrwawiony skrzep owinięty w

chusteczkę, który miał być moim bratem lub siostrą. I jeszcze coś: pudełko po cygarach z prochami Fern w środku.

Frank również pojawił się w ogródku, ale gdy zbliżył się do mnie, matka go zawróciła.

- Henry chce być teraz sam - powiedziała.

Gdy wyszedłem na ulicę, nie miałem pojęcia, dokąd idę. Dopiero potem zdałem sobie sprawę, że kieruję się w stronę domu ojca.

Stałem za ogrodzeniem i widziałem, że w jednym z pokoi na piętrze świeci się światło. Ojciec pewnie już nie śpi. Siedzi w kuchni i czyta wiadomości sportowe w gazecie. Marjorie niedługo zejdzie na dół i podgrzeje wodę do butelki dla Chloe, która wciąż lubiła ją pić zaraz po przebudzeniu.

Ojciec pocałuje swą żonę w policzek. Podniesie wzrok znad gazety i powie coś na temat deszczu. Nic wyjątkowego, ale w kuchni zrobi się przyjemnie. Sprawy nie układały się najlepiej tylko wtedy, gdy jechaliśmy razem do Friendly's lub gdy ojciec chciał skłonić Richarda i mnie do rozmowy na temat naszego ulubionego zawodnika Red Soksów. Nie licząc mnie, byli normalną rodziną.

Po drodze zastanawiałem się, czy nie powinienem podejść do drzwi. Wyobraziłem sobie, że mówię ojcu: „Pamiętasz, jak zawsze mówiłeś, że matka jest szalona? No to posłuchaj tego”.

Zdażyłbym się wprowadzić jeszcze przed obiadem. Moja torba była już nawet spakowana. Dzieliłbym pokój z Richardem, który by mnie znienawidził. Prawdopodobnie kupiliby nam piętrowe łóżko.

Zastanawiałem się, czy Richard czasem robi w nocy to co ja. Prawdopodobnie jednak jedyną osobą, która doprowadziłaby go do erekcji, był Jose Canseco. Nie potrafiłem sobie wyobrazić nas dwóch rozmawiających na takie tematy. A Marjorie przy okazji prania pościeli

powiedziałyby mojemu ojcu, że powinien ze mną porozmawiać.

W przeszłości cały czas byłem zły na ojca, ale teraz, gdy stałem w deszczu, widząc jego cień przemykający w oknie, słysząc z tyłu domu otwieranie drzwi, którymi wypuszczał kota, i słysząc głos Chloe - nigdy nie nazwałem jej siostrą ani nawet przyrodnią siostrą, wiedziałem bowiem, jak czułaby się z tym moja matka - by ktoś wyjął ją z łóżeczka, czułem jedynie smutek.

W ich skrzynce pocztowej zostawiłem list do ojca. Znałem jego zwyczaje. Wyjmował pocztę, gdy wracał z pracy. Pewnie przeczyta go wieczorem, przy kolacji. W tym czasie ja będę już gdzieś przy granicy z Kanadą.

Gdy wracałem do domu, podjechał do mnie samochód policyjny. Wciąż było dość wcześnie, a ja byłem kompletnie przemoczony. Moje spodnie były tak mokre, że wlokły się w kałużach, a koszula przykleiła mi się do ciała. Woda spływała mi po twarzy, ograniczając widzenie.

- Potrzebujesz pomocy, chłopcze? - zapytał policjant przez opuszczone okno.

- Wszystko w porządku.

- Powiedz mi, dokąd idziesz? Jest dość wcześnie na to, by ktoś w twoim wieku biegał po ulicy bez kurtki. Czy dzisiaj przypadkiem nie jest pierwszy dzień roku szkolnego?

- Ja tylko wyszedłem na spacer - odparłem. - Już wracam do domu.

- Wskakuj. Podwieziemy cię. Rodzice pewnie się o ciebie martwią - powiedział policjant.

- Tylko matka - wyjaśniłem. - Ale na pewno się nie martwi.

- Dla pewności jednak zamienię z nią kilka słów. Mam chłopaka mniej więcej w twoim wieku.



Kolejno mijaliśmy Pricemart, bibliotekę i szkołę, gdzie na parkingu stało kilka samochodów. Pedantyczni nauczyciele robili ostatnie porządki w swoich klasach, ale ja miałem już tego nie zobaczyć.

Minęliśmy bank. Na wzgórzu skręciliśmy w prawo, a później w lewo, w moją ulicę. Minęliśmy domy Edwardsów i Jer - visów i jechaliśmy do samego końca. Byłem zły na matkę, ale starałem się wysyłać jej jakieś fale, byle tylko nie była na podjeździe i nie pakowała nic do samochodu. Przede wszystkim jednak nie chciałem, żeby Frank był na zewnątrz. Telepatycznie wysyłałem mu wiadomość - tak jak robił to Silver Surfer - by wrócił do domu, wszedł na piętro i całkowicie zniknął z pola widzenia.

Matka, ubrana w kraciaste spodnie i przeciwdeszczowe poncho, stała na zewnątrz. Nie miała żadnych pudeł, co było dobrym sygnałem. Gdy zobaczyła, że pod dom podjeżdża policyjny samochód, przystawiła dłoń do oczu, być może tylko dlatego, by osłonić je przed deszczem, który padał teraz bardzo mocno.

- Pani Johnson - zaczął policjant. - Znalazłem pani chłopaka na drodze. Pomyślałem, że przywiozę go do domu. Przede wszystkim dlatego, że za czterdzieści pięć minut powinien być w szkole. Poza tym jest cały przemoczony.

Matka stała bez ruchu. Widziałem, co działo się z jej dłońmi podczas zwykłego stania w kolejce do kasy, dlatego wyobrażałem sobie, że w tej chwili muszą się bardzo trząść. Trzymała je w kieszeniach.

- Tak w ogóle to do której klasy teraz idziesz? - zapytał mnie. - Zdaje się, do szóstej. Może znasz mojego syna?

- Do siódmej - odparłem.

- No widzisz. Teraz pewnie będziesz się dużo bardziej interesował dziewczynami niż jakiś małolat z szóstej klasy, prawda, Henry?

- Dziękuję za podwiezienie go do domu - odezwała się matka. Spoglądała za siebie, w stronę domu. Wiem, o czym myślała.

- Nie ma sprawy - odparł. - Wygląda na porządnego dzieciaka. Proszę dalej wychowywać go w ten sposób - dodał i na pożegnanie wyciągnął do niej rękę. Wiem, dlaczego nie wyjęła dłoni z kieszeni. Więc uściśnięciem jego dłoń, by nie musiał się nad tym zastanawiać.

Poprzedniej nocy, gdy trzeci raz nieśliśmy nasze rzeczy do kontenera organizacji charytatywnej, zatrzymaliśmy się przy domu, w którym mieszkała Evelyn z Barrym. Matka chciała dać Barry'emu kilka moich starych zabawek. Była wśród nich kostka Rubika oraz szkicownik, które moim zdaniem niezbyt mogły się przydać Barry'emu. Była też Magiczna Ósemka, po podniesieniu której na dnie zostawała wiadomość widoczna w szklanym okienku - coś, co miało powiedzieć człowiekowi, co powinien zrobić ze swoim życiem. Nie wiedziałem, jaki pożytek z tego może mieć Barry, ale matka uznała, że dzięki kilku takim rzeczom jego pokój będzie bardziej przypominał pokój zwykłego dziecka. Dawałem mu też moją lampę, choć wcale tego nie chciałem. Matka powiedziała jednak, że przy przekraczaniu granicy ta rzecz może nam przysporzyć kłopotów. Mogliby pomyśleć, że przewozimy narkotyki.

Otworzyła nam Evelyn ubrana w sportowy strój. Pewnie ćwiczyła przy jednej z kaset Richarda Simmonsa. Zawsze mówiła „my”, opowiadając o tym, co robiła wraz z Barrym, ale tak naprawdę on tylko siedział w swym wózku, wymachiwał rękami i wydawał różne dźwięki. Jego ulubieńcem był Johnny Cash, ale Richarda Simmonsa także lubił.

Na nasz widok Barry zaczął wydawać dźwięki, jakby był podekscytowany. Siedział przodem do telewizora, w którym grupa kobiet w opaskach i sportowych kostiumach

wykonywała podskoki, a on podrygiwał wraz z nimi. Gdy mnie zobaczył, zaczął krzyczeć i wskazywać na ekran i na mnie. Tym razem rozumiałem, co chce powiedzieć, nawet jeśli nikt inny go nie rozumiał. Mówił Frank. Chciał wiedzieć, gdzie jest Frank.

- Frank jest w domu - powiedziałem mu. Nic nie mogło się stać. Wiedziałem, że jego matka nie zrozumie. A Barry był jedyną osobą, która na pewno nie podniesie słuchawki i nie wykręci numeru na policję, by zgarnąć dziesięć tysięcy dolarów nagrody

Matka nie powiedziała Evelyn, że wyjeżdżamy. Wyjaśniła tylko, że sprzątałyśmy mój pokój. Początek szkoły i tak dalej.

- Chciałabym móc się z nią pożegnać - powiedziała potem, w drodze do domu. - Może nie była najlepszą przyjaciółką, ale jedyną, jaką miałam. Chyba już nigdy jej nie zobaczę.

A jednak ją zobaczyliśmy Krótko po tym, gdy policjanci odwieźli mnie do domu, zapukała do naszych drzwi.

Tym razem Frank był w salonie. Stał odwrócony, tak jakby wkręcał żarówkę czy coś podobnego, ale było oczywiste, że wyjeżdżamy. Ujawnienie tego, że w naszym domu jest mężczyzna, również nie było dobre.

- O, kurczę - powiedziała Evelyn. - Chyba przyszedłam nie w porę. Chciałam tylko podziękować za to, co kiedyś zrobiłaś dla Barry'ego. Uratowałaś mi życie.

Upiekła cynamonowe roladki - choć po jej poprzednich doświadczeniach z wypiekami nie robiłem sobie wielkich nadziei. Matka mawiała, że Evelyn jest jedyną osobą, jaką zna, która potrafi zepsuć nawet najprostsze ciasto. Oczywiście Evelyn była w ogóle jedyną osobą, którą znała moja matka. I koniec.

- Wydaje mi się, że w czymś przeszkodziłam - powiedziała Evelyn. - Nie wiedziałam, że masz towarzystwo.

Za jej plecami Barry wydawał dźwięki niczym jakiś ptak z tropikalnego lasu. Wiedziałem, że wymawiał imię Franka. On jednak stał tyłem do niego.

- Przepraszam, ale nie mam czasu, by was sobie przedstawić - powiedziała moja matka. - Ten dżentelmen jedynie dokonuje drobnej naprawy. Henry i ja wyjeżdżamy na wycieczkę.

Evelyn zajrzała do salonu. Nie było dywanu. Nie było też książek, obrazu przedstawiającego matkę z dzieckiem siedzącym jej na kolanach, ani plakatu, pod którym zawsze stało akwarium ze złotą rybką i para baletek. Przez drzwi do kuchni można było zobaczyć, że półki zostały ogołoczone z naczyń.

- Właśnie widzę - powiedziała Evelyn. Nie pytała nawet, dokąd wybieramy się na wycieczkę, gdyż i tak nie spodziewała się usłyszeć prawdy.

- Jeszcze raz dziękuję za roladki - odezwała się matka. - Wyglądają cudownie.

- Może od razu powinnam zabrać talerz - stwierdziła Evelyn. - Na wypadek, gdybyście wyjechali na dłużej.

Nie mieliśmy już żadnych talerzy, dlatego matka zawiązała ciastka w poranną gazetę. Pierwsza strona była wyraźnie widoczna. W związku z niedawną ucieczką więźnia gubernator zapowiadał zaostrenie środków bezpieczeństwa w więzieniach stanowych. Na wypadek, gdyby ktoś zapomniał, czego dotyczyły wcześniejsze wiadomości, ponownie zamieszczono zdjęcie Franka z numerami telefonów na klatce piersiowej.

- Uważajcie na siebie, Evelyn - powiedziała moja matka.

- Wy też - odparła Evelyn.

W banku byliśmy dokładnie o dziewiątej rano, gdy otwierano oddział. Tylko matka i ja. Frank został w domu.

Zgodnie z planem po podjęciu pieniędzy mieliśmy wrócić do domu, zabrać go i ruszyć w stronę północnej granicy

W przeszłości, gdy potrzebowaliśmy pieniędzy, to ja chodziłem do banku, a matka czekała w samochodzie. Kwoty, jakie wybierałem, nie były zbyt wielkie, poza tym kasjerzy mnie znali. Tym razem matka uznała, że powinna pójść osobiście, ponieważ podejmowała wszystkie oszczędności. Tak postanowiła.

Zabrała ze sobą książeczkę oszczędnościową i ubrała się tak, jak według niej powinna ubrać się osoba podejmująca z rachunku bankowego jedenaście tysięcy trzysta dolarów. Stałem obok niej. W kolejce przed nami były dwie osoby. Starsza kobieta, która chciała wpłacić sporą ilość monet, oraz mężczyzna deponujący kilka czeków.

Potem przyszła kolej na nas. Matce drżały ręce, gdy kładła na ladzie książeczkę oszczędnościową i polecenie wypłaty.

- Myślałam, że będziesz dzisiaj w szkole, chłopcze - powiedziała kasjerka. Z plakietki dowiedziałem się, że ma na imię Muriel.

- Mój syn idzie dziś do dentysty - powiedziała matka. Zabrzmiało to żałośnie. Nawet osoba taka jak moja matka nie ustalałaby wizyty u dentysty na pierwszy dzień szkoły

- Dlatego potrzebujemy pieniędzy - dodała. - Na aparat ortodontyczny.

- Boże, to musi być naprawdę droga sprawa - powiedziała Muriel. - Jeśli nie macie jeszcze stałego dentysty, może wybierzecie się do ortodonta mojej córki. Można płacić w ratach.

- To sprawy dentystyczne, a także inne rzeczy - wyjaśniła matka. - Wycięcie ślepej kieszki.

Popatrzyłem na nią. Była to pewnie jedyna operacja, która w tej chwili przyszła jej do głowy, ale ze wszystkich możliwych była właśnie najgłupsza.

- Zaraz wracam - powiedziała Muriel. - Wypłacając tak dużą kwotę, potrzebuję zatwierdzenia przez kierownika. Oczywiście nie będzie z tym żadnego problemu. Znamy panią. Znamy pani syna.

Do banku weszła kobieta z małym dzieckiem. Spojrzałem na matkę. Zazwyczaj były to dla niej trudne chwile, ale tym razem chyba nawet jej nie zauważyła.

- Nie powinnam wybierać takiej kwoty - szepnęła. - Powinnam wziąć tylko połowę.

- Wszystko będzie dobrze - odparłem. - To pewnie standardowa procedura.

Po chwili Muriel wróciła z jakimś mężczyzną, który powiedział:

- Wszystko w porządku. Chcę się tylko upewnić, czy nie mają państwo żadnych kłopotów. To niezwykła sytuacja, gdy ktoś wycofuje tak dużo pieniędzy. Przy takich sumach nasi klienci zwykle wolą otrzymać czek.

- Tak jest mi wygodniej - wyjaśniła matka. Dłonie trzymała w kieszeniach kurtki. - Wie pan, teraz wszędzie trzeba okazywać tyle dokumentów. W ten sposób oszczędzę na czasie.

- W takim razie - zwrócił się do Muriel - nie pozwólmy państwu czekać zbyt długo.

I napisał coś na kawałku papieru. Muriel otworzyła szafkę i zaczęła liczyć banknoty. Setki układała po dziesięć sztuk i spinała ze sobą. Stosiki także były przeliczane, a matka z uwagą przyglądała się rosnącej kupce pieniędzy.

Gdy Muriel policzyła już wszystkie banknoty, zapytała, czy matka ma gdzie schować pieniądze. Nie pomyśleliśmy o tym.

- W samochodzie - powiedziała matka. Wróciła z torbą jedzenia dla chomika, którą spakowałem dzień wcześniej. Przed włożeniem pieniędzy wysypała suchą karmę do kosza

na śmieci stojącego obok stolika, na którym ludzie wypełniali przelewy i polecenia wypłaty

Muriel patrzyła zaskoczona.

- Mogę dać pani kilka naszych zamkniętych torebek - powiedziała. - Chce pani kilka zamiast tej torby?

- W zasadzie wystarczy nam ona - odparła matka. - Jeśli ktoś będzie trzymał nas na muszce, to nigdy się nie domyśli, że trzymamy pieniądze w torbie po zwierzęcej karmie.

- Na szczęście nie mamy tu zbyt wielu przestępców, prawda, Adele? - powiedziała Muriel; imię jej matki widniało na poleceniu wypłaty, które wcześniej wypełniła. Prawdopodobnie uczyli ich w banku tego, by podczas realizowania transakcji zwracać się do ludzi po imieniu.

- Nie licząc tego człowieka, który uciekł w zeszłym tygodniu - odparła matka. - Może pani uwierzyć, że jeszcze go nie złapali? Ale pewnie teraz jest już daleko stąd.

Gdy wróciliśmy do domu, na automatycznej sekretarce paliła się lampka oznajmiająca, że ktoś nagrał wiadomość. Frank stał tuż za drzwiami.

- Nie odebrałem telefonu, ale słyszałem wiadomość - powiedział. - Dzwonił ojciec Henry'ego. Dowiedział się, że wyjeżdżamy, i ma zamiar tu przyjechać. Musimy się pospieszyć.

Pobiegłem na górę. Chciałem jeszcze raz powoli przejść przez wszystkie pokoje, ale teraz musiałem zrobić to szybko. Ojciec prawdopodobnie był już w drodze.

- Henry! - zawołała matka. - Zejdź na dół. Musimy już jechać.

Jeszcze raz wyjrzałem przez okno na ulicę. Zegnaj, drzewo. Zegnaj, ogrodzie.

- Henry, natychmiast.

- Słuchaj swojej matki, chłopcze. Musimy jechać. Nagle usłyszeliśmy wycie syreny. Potem kolejnej. Odgłos kół piszczących na zakręcie. Na naszej ulicy.

Zszedłem na dół. Powoli. Nikt się nigdzie nie wybierał. Teraz już wiedziałem. Nad głową usłyszałem warkot helikoptera.

Do tego czasu całe moje życie - z wyjątkiem tego, co zaszło między mną i Eleanor - toczyło się zdecydowanie za wolno, ale teraz czułem się jak bohater filmu, który ktoś włączył na przewijanie, więc bardzo trudno było nadażyć za akcją. Tylko matka nawet nie próbowała. Nie była w stanie się ruszyć.

Stała na środku niemal pustego salonu i trzymała w dłoniach torbę po karmie dla chomika. Tuż obok niej Frank. Wyglądał jak człowiek, który za chwilę ma stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Trzymał ją za rękę.

- Wszystko w porządku, Adele. Nie bój się.

- Nie rozumiem. Jak się o nas dowiedzieli? Serce waliło mi jak oszalałe.

- Napisałem list do ojca, że wyjeżdżamy - powiedziałem.

- Ale w ogóle nie wspomniałem o Franku. Nie spodziewałem się, że przeczyta go tak wcześnie. Zwykle nie wyjmuje poczty przed obiadem.

Usłyszeliśmy samochody hamujące z piskiem opon. Jeden z nich wjechał na nasz trawnik, gdzie matka chciała kiedyś zasadzić dzikie kwiaty ale żaden nie urósł. Kilku sąsiadów, którzy nie pracowali - pani Jervis, pan Tempie - przyszli pod nasz dom zobaczyć, co się dzieje.

W tej chwili rozległ się głos z megafonu: „Frank Chambers. Wiemy, że tam jesteś. Wyjdź na zewnątrz z podniesionymi rękami, a nikomu nic się nie stanie”.

Stał wyprostowany, twarzą do drzwi. Gdyby nie napięte mięśnie, które już pierwszego dnia zauważyłem na jego szyi,



mógł być jednym z tych ludzi, którzy przebierają się i stoją w parkach, udając pomniki, a ludzie wrzucają im pieniądze do pudełka. Stał nieruchomo. Poruszał tylko oczyma.

Matka objęła go. Dotknęła jego szyi, klatki piersiowej, włosów. Przesuwała palce po jego twarzy, jakby był z gliny a ona była rzeźbiarką. Jej palce na jego ustach, na powiekach.

- Nie mogę pozwolić, by cię zabrali - szeptała.

- Posłuchaj, Adele - powiedział. - Chcę, żebyście zrobili to, co powiem. Bez dyskusji. Nie ma na to czasu.

Na kuchennym stole leżał kawałek sznurka. Związywali nim pudła z rzeczami, z którymi mieliśmy zacząć nowe życie w Kanadzie. W szufladzie został nóż, którym przecinali sznurek.

- Siądź na krześle - powiedział do matki. Jego głos był teraz inny. Niemal nierozpoznawalny. - Złącz ręce za plecami. Stopy przed sobą. Ty też, Henry.

Pierwszy kawałek sznurka owinął wokół jej prawego nadgarstka. Gdy wiązał, widziałem, jak drżą jej ręce. Płakała, ale Frank nie patrzył na jej twarz. Koncentrował się wyłącznie na węźle. Zacisnął mocno, by więzy przylegały do skóry. Gdyby innym razem zawiązał tak mocno, na pewno poluzowałby sznur, ale teraz tego nie zauważył albo nie przejmował się tym.

Potem zajął się drugą ręką. Potem jej stopami. By zawiązać odpowiednio, musiał zdjąć jej buty. Na paznokciach jej stóp był czerwony lakier. Widziałem kiedyś, jak całował miejsce nad jej kostką, to, w którym teraz zawiązywał sznur.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy policyjnego radia, komunikaty wydawane przez krótkofalówki i szum helikoptera. „Trzy minuty - powiedział ktoś przez megafon. - Wyjdź z uniesionymi rękami”.

- Siadaj, Henry - powiedział Frank tonem, z którego wcale nie wynikało, że tylko udajemy. Nikt by się nie

domyślił, że jest on tą samą osobą, z którą kiedyś siedziałem na schodach i która uczyła mnie sztuczek karcianych. Obwiązywał mi sznur wokół ciała. Nie było czasu na pojedyncze węzły. Tylko jedna pętla, zaciśnięta wystarczająco mocno, by zaparło mi dech w piersiach. Zrobił tylko jeden węzeł. Tylko na tyle miał czas. To wypłynęło później, gdy jakiś reporter zadał pytanie, którego się spodziewaliśmy - czy moja matka współpracowała z Frankiem. Ktoś powiedział, że należałoby wziąć pod uwagę to, jak małe ograniczenia dotyczyły mnie. I jak to się stało, że gdy oboje poszliśmy do banku - jako ofiary? a może przestępcy? - Franka nie było w pobliżu.

Wyjęła pieniądze z własnej woli, mówili ludzie. Czy to nie dowodzi, że była w to zamieszana?

Ale teraz związał i ją, i mnie. I o to chodziło.

Przed nasz dom podjeżdżało coraz więcej wozów. Ponownie usłyszeliśmy głos mówiący przez megafon: „Nie chcemy użyć gazu łzawiącego”. Teraz już nie mieliśmy czasu. „To twoja ostatnia szansa, by spokojnie opuścić budynek, Chambers”. Wtedy Frank szedł już w stronę drzwi. Równym krokiem. Nie oglądając się za siebie.

Zgodnie z rozkazem dłonie trzymał nad głową. Wciąż jeszcze utykał, ale pewnym krokiem zszedł po schodach na trawnik, gdzie policjanci czekali na niego z kajdankami.

Nie widzieliśmy, co stało się później, ale wkrótce do domu weszli policjanci i rozwiązali nas. Policjantka podała matce szklankę wody i powiedziała, że na zewnątrz czeka karetka. Powiedziała jej też, że prawdopodobnie jest w szoku.

- Nie bój się, synku - zwrócił się do mnie jeden z policjantów. - Twoja matka jest cała i zdrowa. Zatrzymaliśmy tego faceta. Już nic wam nie grozi.

Matka spokojnie siedziała na krześle. Wciąż była bosa. Pocierała nadgarstki, tak jakby brakowało jej więzów. Jak widać, do takich właśnie rzeczy może doprowadzić wolność.

Deszcz wciąż padał, choć teraz już trochę słabiej. Krople były bardzo drobne. Zobaczyłem, że stojąca po drugiej stronie ulicy pani Jervis robi zdjęcia, a pan Tempie udziela wywiadu. Na polu za naszym domem, gdzie wraz z Frankiem trenowaliśmy baseball, gdzie opowiadał mi o Rhode Island Reds i gdzie pochowałem chomika Joego, wylądował helikopter.

- Wiedziałem, że coś jest nie tak - mówił pan Jervis. - Gdy pewnego dnia przyniosłem jej brzoskwinie, miałem wrażenie, że chce mi coś przekazać gestami. Facet jednak przez cały czas musiał mieć ją na oku.

I wtedy podjechał brązowy minivan. Mój ojciec. Gdy mnie zobaczył, podbiegł szybko.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - krzyknął do jednego z policjantów. - Myślałem, że moja była żona straciła rozum. Nie spodziewałem się was wszystkich w tym miejscu.

- Ktoś dał nam cynk - odpowiedział oficer.

W tej chwili wsadzali Franka na tylne siedzenie jednego z radiowozów. Ręce miał skute za plecami. Pochylał głowę, prawdopodobnie chcąc ukryć się przed kamerami. Zanim zapakowali go do samochodu, zdołał jeszcze raz spojrzeć na moją matkę.

Chyba nikt poza mną tego nie widział, gdy bezgłośnie wypowiadał jedno słowo. Adele.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Oskarżyli go o porwanie matki i mnie. Tym razem zamknęli go na dobre, w dodatku wyrzucili klucz, jak nam powiedział.

Gdy matka się o tym dowiedziała, natychmiast pojechała do stolicy - a prawie wcale już nie korzystała z samochodu - by spotkać się z prokuratorem. Mnie wzięła za świadka. Chciała mu wytłumaczyć, że przetrzymywanie nas wbrew naszej woli nie miało miejsca. Sama, z własnej inicjatywy zaprosiła Franka do domu. Był dobry dla mnie. Zaopiekował się nią. Zamierzali pobrać się gdzieś w Kanadzie. Byli w sobie zakochani.

Prokurator był jednak konserwatystą i zwolennikiem twardej polityki. Niedawno wybrano go na to stanowisko, by wspomógł gubernatora w walce z przestępczością.

- W tej sytuacji trzeba będzie rozważyć, dlaczego pani syn nie zgłosił tego na policję - powiedział.

Oczywiście wzięliby pod uwagę mój wiek, ale było możliwe - co prawda w teorii, ale jednak - że potraktują mnie jako współwinnego. Nie byłby to pierwszy raz, gdy trzynastolatek miałby zostać skazany na pobyt w zakładzie karnym dla nieletnich. Prawdopodobnie na rok. Najwyżej dwa.

Matka natomiast mogłaby się spodziewać dużo surowszego wyroku: za ukrywanie zbiega i namawianie nieletniego do popełnienia przestępstwa. Rzecz jasna, straciłaby też prawo do opieki nade mną. Zresztą już nawet rozmawiali na ten temat z moim ojcem. Najwyraźniej przed tym zdarzeniem miały miejsce inne, które podważały zdolność matki do zajmowania się mną.

W drodze powrotnej do domu matka nie odezwała się ani słowem. Wieczorem w milczeniu zjedliśmy zupę z misek wyjętych z bagażnika samochodu. Przez kilka następnych dni,

za każdym razem, gdy potrzebna nam była filiżanka, talerz, łyżka lub ręcznik, tak właśnie robiliśmy. Szliśmy po to do samochodu.

Rok szkolny już trwał. Siódmą klasę rozpocząłem, ciesząc się nową i niespodziewaną sławą. Stałem się popularny. - Czy to prawda - zapytał mnie jakiś chłopak w sali gimnastycznej, obaj akurat wychodziliśmy spod prysznic - że on cię torturował? Czy twoja matka była jego seksualną niewolnicą?

Jeśli chodzi o dziewczyny, to nie ulega wątpliwości, że moje ostatnie doświadczenia uczyniły mnie atrakcyjnym seksualnie. Rachel McCann - przez lata główny obiekt moich fantazji - podeszła do mnie pewnego dnia, gdy stałem przy swojej szafce i zbierałem książki, chcąc jak najszybciej wrócić do domu.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że jesteś niesamowicie odważny - powiedziała. - Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał o tym porozmawiać, jestem do twojej dyspozycji.

Był to jeden z dziwniejszych aspektów tego niespodziewanego świątecznego weekendu. Ale akurat wtedy, gdy zdobyłem wreszcie uznanie dziewczyny, o której śniłem od drugiej klasy, tak naprawdę pragnąłem tylko jednego - odrobiny samotności. Po raz pierwszy zrozumiałem decyzję mojej matki, która przed laty postanowiła nie wychodzić z domu. Niestety, ja nie miałem takiej możliwości.

Mniej więcej w tym czasie matka zrezygnowała z prenumeraty codziennej gazety, ja jednak chodziłem do biblioteki i śledziłem sprawę. Jeśli domyśliła się, dlaczego nie postawiono jej żadnych zarzutów i nie postawiono przed sądem, nigdy o tym nie mówiła, a ja też nie naciskałem. Gdyby prokurator zajął się tą sprawą, nie miałby żadnych problemów z uzyskaniem zeznań choćby Evelyn (co do Barry'ego, to nikt nie brał go pod uwagę), z których jasno wynikałoby, że w trakcie tych sześciu dni moja matka nie

wyglądała na osobę pozostającą pod czyjąś presją lub robiącą coś - może z wyjątkiem opieki nad synem Evelyn - na co nie miała ochoty.

Ja jednak rozumiałem więcej, niż można się tego spodziewać po trzynastolatku. Frank zawarł umowę. Pełne przyznanie się do winy. Rezygnacja z procesu. W zamian za to mieli zagwarantować spokój mojej matce i mnie. Tak też się stało.

Frank usłyszał wyrok: dziesięć lat za ucieczkę z więzienia i piętnaście za próbę porwania.

- To zakrawa na żart - podkreślił prokurator - że skazany już za osiemnaście miesięcy miał wyjść na wolność. Mówimy jednak o niebezpiecznym przestępcy. O człowieku, który nie potrafi kontrolować swego szalonego umysłu.

- Niczego nie żałuję - napisał Frank w jedynym liście do mojej matki, już po ogłoszeniu wyroku. - Gdybym nie wyskoczył przez okno, nigdy byśmy się nie spotkali.

Po ucieczce został uznany za szczególnie niebezpiecznego więźnia i osadzony w zakładzie karnym o specjalnym rygorze w Nowym Jorku, ponieważ w naszym stanie ani w najbliższej okolicy nie było odpowiedniej placówki. Pewnego razu matka chciała go odwiedzić, ale gdy dotarła na miejsce, okazało się, że Frank siedzi akurat w izolatce i ma zakaz widzeń. Krótco potem przeniesiono go gdzieś do Idaho.

Wkrótce po tych wydarzeniach matce znowu zaczęły się trząść ręce tak mocno, że nie była w stanie otworzyć puszki z zupą. Dobrowolnie zrzekła się więc praw do opieki nade mną na rzecz mojego ojca. Nim jednak ojciec zabrał mnie do swojego domu, powiedziałem matce, że nigdy jej nie wybaczę. A jednak to zrobiłem. Ona również mogła wytknąć mi o wiele gorsze rzeczy, a jednak wszystko mi wybaczyła.

Przeprowadziłem się więc do domu ojca, który dzielił z Marjorie. Zgodnie z moimi przewidywaniami do pokoju

Richarda wstawili piętrowe łóżko, by łatwiej nam było pomieścić się tam we dwóch. On zajął dolne.

Leżąc nocą na górze, już nie dotykałem się tak, jak robiłem to w domu. Choć uwielbiałem to nowe, tajemnicze uczucie, łączyłem je ze wszystkim tym, co łamało ludzkie serca: z szeptami i pocałunkami w ciemności, z powolnymi, głębokimi oddechami i zwierzęcym krzykiem, który przez krótką chwilę kojarzyłem z bólem. Z dzikim i radosnym pojękiwaniem Franka, tak jakby otworzyła się ziemia i powódź jasności zalała świat.

Wszystko zaczęło się od ciał dotykających inne ciała, dłoni dotykających skóry. Trzymałem więc swoje dłonie wzdłuż ciała, uspokajałem oddech i wpatrywałem się w sufit nad moim wąskim legowiskiem oraz na Alberta Einsteina wystawiającego język. Być może był najmądrzejszym człowiekiem na świecie. Pewnie wiedziałby, że cała ta sprawa to jeden wielki żart.

Około piątej trzydzieści rano usłyszałem za ścianą stukanie. Była to moja młodsza siostra Chloe (tym właśnie dla mnie była, teraz to wiedziałem - moją siostrą), która ogłaszała światu, że rozpoczął się nowy dzień. „Chodź tu i weź mnie na ręce!” - przekazywała swym płaczem, choć oczywiście nie w tak wielu słowach. Po chwili wstałem i poszedłem do niej.

Marjorie starała się, jak potrafiła. To nie jej wina, że nie byłem jej synem. Byłem uosobieniem wszystkiego, co nie było normalne w jej życiu, które wiodła z moim ojcem, Chloe i Richardem. Nie przepadała za mną, ja też jej jakoś specjalnie nie lubiłem. To był sprawiedliwy układ.

Z Richardem ułożyło się lepiej, niż mógłbym przypuszczać. Niezależnie od tego, jakie były między nami różnice - ja chciałem mieszkać w Narnii, on wolał grać dla Red Soksów - jedno nas łączyło. Każdy z nas miał jednego z rodziców, który żył z dala od tego domu - osobę, której krew

płynęła w jego żyłach. Nie znam prawdziwej historii jego ojca, ale wiem, że trzynaste lat to z pewnością nie za mało, by zrozumieć, że smutek i żal mogą przybierać różne formy.

Ojciec Richarda, podobnie jak moja matka, trzymał kiedyś swe dziecko w ramionach, patrzył jego matce w oczy i wierzył, że wspólnie stworzą przyszłość pełną miłości. Fakt, że im się nie udało, był dla nas ciężarem, jaki prawdopodobnie spoczywa na każdym dziecku, którego rodzice nie mieszkają już ze sobą. Gdziekolwiek będziesz mieszkać, zawsze będzie inne miejsce, inna osoba dzwoniąca do ciebie i mówiąca: „Przyjedź do mnie. Wróć do mnie”.

Jeśli chodzi o mojego ojca, to przez kilka pierwszych tygodni po wprowadzeniu się miałem wrażenie, że nie bardzo wie, jak ze mną rozmawiać, dlatego prawie wcale się nie odzywał. Wiem, że wypełniał jakieś dokumenty, oświadczenia dla sądu o niezdolności mojej matki do wychowywania dziecka, o czym miały świadczyć ostatnie wydarzenia, ale muszę przyznać, że oszczędził mi rozmowy na ten temat. Inna sprawa, że wszystkiego mogłem dowiedzieć się z gazet.

Kilka tygodni po przeprowadzce do ojca i Marjorie - mniej więcej wtedy, gdy zdecydowałem, że nie będę grał ani w lacrosse, ani w baseball - ojciec zaproponował mi wspólną przejażdżkę rowerową. W niektórych domach - nie mogę powiedzieć rodzinach, bo nie uważałem nas za rodzinę - mogłoby to wyglądać na coś zupełnie normalnego, ale dawniej ojciec nie uznawał tych dziedzin sportu, w których nie było ustanawiania wyników, przydzielania nagród i jasno określonego zwycięzcy i przegranego.

Gdy przypomniałem mu, że mój rower od ponad dwóch lat jest zepsuty, ojciec uznał, że najwyższy czas kupić mi nowy - górski, wyposażony w dwadzieścia jeden przerzutek. I drugi dla niego. W weekend pojechaliśmy razem do Vermont - była akurat pora roku, kiedy spadało najwięcej liści -



zatrzymując się na nocleg w motelu nieopodal Saxons River. Jedną rzeczą w jeździe na rowerze na pewno była dobra: podczas jazdy nikt nie miał wielkiej ochoty na rozmowę. Szczególnie na trasach wiodących poprzez wzgórza stanu Vermont.

Wieczorem poszliśmy do knajpki, której specjalnością były żeberka. Podczas posiłku prawie się nie odzywaliśmy, jednak gdy kelnerka przyniosła ojcu kawę, najwyraźniej się przełamał. Do pewnego stopnia przypominał Franka, wtedy, w domu matki, gdy byliśmy otoczeni przez radiowozy, nad domem latał helikopter, a syreny wyły niemiłosiernie. Wyglądał, jakby zdawał sobie sprawę, że ma niewiele czasu i jeśli chce coś zrobić, to teraz albo nigdy. Mój ojciec, trochę tak jak Frank, w tym momencie poddał się.

Zaczął mówić na temat, którego do tej pory raczej unikaliśmy - na temat mojej matki. Tym razem jednak nie o tym, że powinna znaleźć sobie normalną pracę, i nie o tym, że nie była w stanie się mną opiekować, co zresztą po ostatnich wydarzeniach zdawało się oczywiste. Opowiedział mi o ich wspólnej przeszłości.

- Była wyjątkową kobietą - powiedział. - Zabawna. Piękna. Na północ od Broadwayu nie znalazłbyś nikogo, kto tańczyłby lepiej od niej.

W spokoju zjadłem pudding ryżowy wydłubując rodzynki. Nie patrzyłem na ojca, ale słuchałem uważnie.

- Nasz wspólny wyjazd do Kalifornii to jedno z najpiękniejszych chwil w moim życiu - powiedział. - Mieliśmy bardzo mało pieniędzy, spaliśmy głównie w samochodzie. Pewnego dnia dotarliśmy do małego miasteczka w Nebrasce, gdzie zatrzymaliśmy się w motelu. Mieliśmy pokój z małą kuchenką i przygotowaliśmy sobie spaghetti. Prawda była taka, że nie mieliśmy zielonego pojęcia o Hollywood. Byliśmy ludźmi z małego miasteczka. Jednak w

czasach, gdy twoja matka była kelnerką, obsługiwała jedną z tancerek zespołu June Taylor, występującego w programie lackie Gleasona. Owa tancerka dała jej numer telefonu i powiedziała, żeby zadzwoniła, jeśli kiedyś będzie w Los Angeles. I to właśnie chcieliśmy zrobić: zadzwonić do tancerki z zespołu June Taylor. Gdy wykręciliśmy numer, telefon odebrał syn tancerki. Ona mieszkała już wtedy w domu opieki. Była zniedołężniałą staruszką. I wiesz, co wymyśliła twoja matka? Poszliśmy ją odwiedzić. Wzięła też ze sobą ciasteczka.

Podniosłem wzrok znad deseru. Jego twarz wyglądała jakoś inaczej. Nigdy nie myślałem, że choćby w najmniejszym stopniu jestem do niego podobny - raz nawet zastanawiałem się (za namową Eleanor), czy ten mężczyzna naprawdę jest moim ojcem, gdyż tak bardzo się różniliśmy. W dodatku nigdy nie pomyślałbym, że ktoś taki może ożenić się z moją matką. Teraz jednak, patrząc na tego bladego mężczyznę z lekką nadwagą i rzednącymi włosami, ubranego w nową koszulkę kolarską, której pewnie nie założy nigdy więcej, ku swemu zdziwieniu dostrzegłem coś znajomego. Mogłem sobie wyobrazić, jak wyglądał w młodości. I wyobraziłem go sobie jako młodego mężczyznę, który dobrze wiedział, jak trzymać kobietę podczas tańca i któremu ona ufała podczas wykonywania obrotów ukazujących jej czerwoną bieliznę. W zasadzie to w jego twarzy zobaczyłem swoją własną twarz. Nie płakał, ale jego oczy były dziwnie wilgotne.

- Do takiego stanu doprowadziła ją utrata kolejnych dzieci - powiedział. - Szczególnie ostatniego. Nigdy się po tym nie pozbierała.

W moim pucharku wciąż jeszcze było trochę deseru, ale przestałem już jeść. Ojciec nawet nie tknął swej kawy.

- Ktoś lepszy zostałby z nią i pomógł jej w tych trudnych chwilach - kontynuował. - Ja jednak po pewnym czasie nie

potrafiłem już wytrzymać tego smutku. Pragnąłem normalnego życia. Odciałem się, po prostu.

Potem Marjorie urodziła Chloe. Nie wymazało to tego wszystkiego, co działo się wcześniej, ale łatwiej było mi o tym nie myśleć. Twoja matka z kolei nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Tyle mi powiedział. Później już nigdy do tego tematu nie wracaliśmy. Zapłacił i poszliśmy do naszego pokoju w motelu. Następnego ranka jeździliśmy więcej niż zwykle, a ja zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że dla mojego ojca poruszanie się po wzgórzach Vermont inaczej niż samochodem jest czymś wręcz nienaturalnym. Po kilku godzinach jazdy, gdy zasugerowałem, że powinniśmy się zatrzymać, nie protestował. W drodze powrotnej do domu prawie przez cały czas spałem.

W domu mojego ojca mieszkałem przez większą część siódmej klasy. Miało to jedną dobrą stronę - nie musieliśmy już w każdą sobotę jeździć razem do Friendly's. Posiłki w domu były rzeczą zdecydowanie łatwiejszą. Przynajmniej telewizor był włączony.

Można by się spodziewać, że matka będzie bardzo zabiegała o możliwość spotkań ze mną, ale przynajmniej na razie było odwrotnie. Starła się wręcz zniechęcać mnie do wizyt, a gdy przyjeżdżałem do niej na nowym rowerze (przywożąc sprawunki, książki z biblioteki i siebie), sprawiała wrażenie zajętej i niezainteresowanej.

- Muszę wykonać kilka telefonów - mówiła. Nabywcy witamin. Miała tyle spraw na głowie. Nigdy jednak nie zdradziła, co może być tak czasochłonne w domu pozbawionym mebli do wycierania, dywanów do odkurzania, potraw do ugotowania i gości do zabawienia.

Mówiła, że dużo czyta, i naprawdę tak było. Książki piętrzyły się w stosach, tak jak kiedyś zupy Campbella.

Książki na najdziwniejsze tematy: leśnictwo i hodowla zwierząt, kurczaki, dzikie kwiaty i ogrodnictwo, mimo że nasz ogródek pozostawał nagi jak zawsze. Jej ulubioną, którą za każdym razem widziałem na kuchennym stole, była wydana w latach pięćdziesiątych książka pod tytułem Żyjąc dobrym życiem, autorstwa Helen i Scotta Nearingów - o ich życiowych doświadczeniach, porzuceniu pracy i domu w Connecticut i przeprowadzce na wiejskie tereny stanu Maine, gdzie uprawiali ziemię i żyli bez prądu i telefonów. Na zdjęciach ilustrujących książkę Scott Nearing, zawsze w ubraniu roboczym lub znoszonych dżinsach, stał schylony z motyką, a towarzyszyła mu żona w kraciastej spódnicy.

Matka czytała tę książkę tak często, że chyba już znała ją na pamięć.

- Wszystko, co ci dwoje mieli, to siebie - mówiła. - I to im wystarczało.

Może było w tym jakieś poczucie winy - świadomość, że matka mnie potrzebuje, a ojciec wcale nie - i to ono skłoniło mnie do podjęcia decyzji, ale prawda była taka, że potrzebowałem matki. Brakowało mi naszych rozmów przy obiedzie i tego, że traktowała mnie wtedy jak kogoś dorosłego - w przeciwieństwie do Marjorie, która zupełnie inaczej rozmawiała z osobami poniżej dwudziestego pierwszego roku życia. Choć, oczywiście, nie licząc kilku wyjątków - przygodnego sprzedawcy, klientów MegaMite i dostawcy oleju - byłem jedyną osobą, z którą w ogóle rozmawiała.

Gdy wiosną powiedziałem ojcu, że chcę wrócić do matki, nie protestował. Następnego dnia przeprowadziłem się więc do poprzedniego mieszkania.

Spróbowałem też swych sił w drużynie baseballowej. Zostałem ustawiony na prawej stronie w roli łapacza. Pewnego razu, gdy graliśmy z drużyną, w której był Richard, złapałem mocno uderzoną piłkę, choć wszyscy spodziewali się

punktu dla rywali. Ilekroć stawałem z kijem i przygotowywałem się do uderzenia, miałem swój rytuał: „Patrz na piłkę”, powtarzałem sobie cicho, by nikt nie mógł usłyszeć. I trafiałem częściej, niż moglibyście przypuszczać.

Przez lata nauki w szkole matka i ja mieszkaliśmy w domu niemal pozbawionym wyposażenia. Mieliśmy trochę rzeczy, które planowaliśmy zostawić w dniu wyjazdu, oraz te spakowane już wtedy do samochodu, ale wszystkie inne rozdaliśmy. W dodatku z rzeczy, które chcieliśmy zabrać do Kanady rozpakowaliśmy jedynie czajnik i trochę ubrań. Nie wyjęliśmy tanecznych strojów matki, jej szali i wspaniałych butów, wachlarzy, obrazów, które wcześniej wisiały na ścianach, jej cymbałów, a nawet radiomagnetofonu. W końcu jednak, gdy zacząłem zarabiać, kupiłem sobie walkmana więc mogłem słuchać muzyki.

Głosy Franka Sinatry, Joni Mitchell i Leonarda Cohena (teraz już znałem jego nazwisko) nie rozbrzmiewały już w naszym mieszkaniu. Nie rozbrzmiewała też muzyka z musicalu Guys and Dolls. Ani żadna inna. Jakakolwiek. Żadnej muzyki, żadnego tańca.

Pewnego dnia pojechaliśmy z matką do organizacji charytatywnej i kupiliśmy wystarczającą ilość talerzy, sztućców i kubków, byśmy mogli spożywać posiłki. Choć, biorąc pod uwagę fakt, że jedliśmy głównie mrożonki i zupy, nasze potrzeby w kwestii zastawy stołowej nie były zbyt wielkie. W dziesiątej klasie zapisałem się na zajęcia z ekonomiki gospodarstwa domowego - wtedy właśnie zaczęto wprowadzać takie zajęcia także dla chłopców. Odkryłem, że lubię gotować i z jakiegoś powodu, mimo że moja matka o gotowaniu nie wiedziała praktycznie nic, byłem w tym dobry. Jedną z moich specjalności, choć nie nauczyłem się tego na zajęciach, było ciasto.

Przez większość szkoły ojciec i ja kontynuowaliśmy tradycję wspólnych wyjść na sobotnie obiady, ale - gdy wreszcie zacząłem się udzielać towarzysko - przestawiliśmy się na środek tygodnia, ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Marjorie przestała brać w nich udział. Stosunki z Richardem były całkiem przyzwoite. Bardzo też lubiłem przebywać w towarzystwie mojej siostry Chloe, ale wieczory w restauracji spędzałem głównie z ojcem. Zgodnie z moją sugestią przestaliśmy spotykać się w Friendly's i przenieśliśmy się poza miasto, do restauracji Akropol, w której serwowano całkiem niezłe greckie jedzenie. Raz nawet, gdy Marjorie wyjechała do przyjaciółki, odwiedziłem ich w domu i przygotowałem danie, które widziałem w jednym z czasopism - kurczak w winie marsala.

Pewnego wieczoru, zając się spanakopitę w Akropolu i po kilku lampkach wina, ojciec poruszył temat seksu, pierwszy raz od czasu, kiedy próbował zapoznać mnie z tym zagadnieniem.

- Wszyscy mówią o szalonej i dzikiej namiętności - powiedział. - Przynajmniej tak to jest przedstawiane w piosenkach. Twoja matka taka była. Zakochana w miłości. Nie potrafiła niczego robić na pół gwizdka. Wszystko przeżywała tak głęboko, że życie było dla niej chyba bardzo ciężkie. Za każdym razem, gdy słyszała o jakimś dziecku chorym na raka lub starym człowieku, któremu zmarła żona czy choćby pies, odbierała to tak, jakby nieszczęście dotknęło właśnie ją. Sprawiała wrażenie, jakby była pozbawiona tej ochronnej warstwy, która pozwala ludziom przeżyć dzień bez nieustannego bólu. Życie stało się dla niej zbyt trudne do udźwignięcia.

- Ja jestem zupełnie inny - dodał. - Jeśli za czymś tęsknię, potrafię sobie z tym poradzić.

Pewnego dnia wracałem z biblioteki - gdy mieszkałem z ojcem i Marjorie, spędzałem tam bardzo dużo czasu. Był świąteczny weekend - Dzień Kolumba, a może Dzień Weterana. Pamiętam, że liście opadły już z drzew i bardzo wcześnie robiło się ciemno, więc gdy szedłem do domu na kolację, w sąsiednich domach świeciły się już światła. Wracając do domu na rowerze lub piechotą, mogłem widzieć ludzi, którzy mieszkają w tych domach i wykonują codzienne czynności. Było to jak spacer po muzeum, w którym wystawiono podświetlone eksponaty z opisami: Jak żyją ludzie lub Rodziny w Ameryce. Kobieta siekająca warzywa. Mężczyzna czytający gazetę. Dzieci w pokoju na piętrze, grające w twistera. Dziewczyna leżąca na łóżku i rozmawiająca przez telefon.

Na tej ulicy znajdował się także stary apartamentowiec. Zawsze mu się przyglądałem. Szczególnie intrygowało mnie jedno okno. Mieszkająca tam rodzina zasiadała do kolacji codziennie o tej samej porze, akurat wtedy, gdy tamtędy przechodziłem. Można powiedzieć, że była to dla mnie swego rodzaju wróżba - gdy widziałem ich troje siedzących przy stole, ojca, matkę i małego chłopca, wiedziałem, że tej nocy nie może wydarzyć się nic złego. Osobą, o którą się w tym czasie martwiłem, była moja matka. Zresztą kto chciałby wieczorami siedzieć samotnie przy kuchennym stole. Z lampką wina, nad książką *Żyjąc dobrym życiem*.

Tamta rodzina zawsze wyglądała na szczęśliwą, a do domu pasowało słowo „przytulny”. Ze wszystkich rodzinnych obrazków na mojej wystawie pod tytułem *Jak żyją ludzie*, właśnie do takiego domu najbardziej chciałbym wracać. Rzecz jasna, nie było słyhać, co ci ludzie mówią, ale nie potrzebowałem tego, by wiedzieć, że sprawy w tej rodzinie układają się nad wyraz dobrze. Rozmowa pewnie nie dotyczyła istotnych tematów („Jak minął dzień, kochanie?”).

„Dobrze, a tobie?“.), ale atmosfera - delikatne żółte światło, przytakujące twarze, sposób, w jaki kobieta dotykała ramienia mężczyzny, ich śmiech, gdy mały chłopiec zamachał łyżką - sprawiała wrażenie, że żadne z nich nie chciałoby być teraz w innym miejscu ani z nielom innym.

Chyba w ogóle zapomniałem, gdzie jestem, tylko stałem i patrzyłem. Wieczór był zimny - para leciała mi z ust. Nagle zobaczyłem, że ktoś schodzi po schodach apartamentowca z psem tak malutkim, że równie dobrze mógł być pierzastą zmiotką kurzu. Mniejszym niż najmniejszy pudel.

Zanim zdążyłem rozpoznać twarz osoby, zdałem sobie sprawę, że ją znam. Nie wiedziałem jednak, skąd. Widziałem tylko chude nogi wystające spod zbyt dużego, czarnego płaszcza i buty na wysokim obcasie, w jakich ludzie zwykle nie chodzą w mieście. W zasadzie nigdy.

Było jasne, że do tej pory nie miała wielu okazji, by wyprowadzać tego psa, a jeśli tak, to był to wyjątkowo głupi zwierzak. Nieustannie się plątał, owijał smycz wokół nóg i skakał z jednej strony na drugą - to naciągając smycz, to znów ją rozluźniając - by po chwili usiąść spokojnie.

- Kurczę, Jim - usłyszałem jej głos.

Te słowa wywołały taki sam efekt jak wówczas, gdy powiedziałem matce: „Powinnaś częściej wychodzić z domu. Powinnaś mieć znajomych, wyjechać na wycieczkę“. Pies rozszalał się jeszcze bardziej. Może ugryzł ją w nogę lub zrobił coś podobnego, ponieważ wypuściła smycz i zupełnie straciła nad nim kontrolę. Pies biegł teraz chodnikiem - Jim? Kto nazywa psa Jim? - wprost pod nadjeżdżającą ciężarówką.

Rzuciłem się, by go złapać. Cudem mi się udało. Osoba o chudych nogach biegła w moją stronę, trzymając w ręku dużą torebkę i chwiejąc się na wysokich obcasach. Na głowie miała kapelusz z szerokim rondem i piórkiem lub czymś podobnym; w biegu kapelusz zsunął jej się z głowy, dlatego łatwiej mi



było rozpoznać tę twarz. Była to Eleanor. Szła chodnikiem prosto w moją stronę.

W pierwszych tygodniach po weekendzie Święta Pracy, gdy cały świat wręcz wirował wokół mnie, nie potrafiłem spokojnie myśleć o niczym. Jeśli byłem zły - a byłem - to na siebie. Złość nigdy nie minęła, ale wkrótce znalazłem nowy obiekt. Była nim Eleanor.

Teraz widziałem ją po raz pierwszy od dnia, kiedy umówiliśmy się na kawę, a potem na mnie skoczyła. Tamtej jesieni nie chodziła do mojej szkoły, a skoro nikt jej nie znał, nie miałem kogo o nią zapytać, nawet jeśli bym chciał. Doszedłem do wniosku, że wróciła do Chicago, by tam stwarzać problemy innym ludziom. Na pewno znalazła sobie kogoś, z kim mogła uprawiać seks. Z naszej krótkiej znajomości jasno wynikało, że jednym z jej celów było to, żeby jak najszybciej stracić dziewictwo.

Mogła udać, że mnie nie widzi - schylić się po kapelusz i przejść obok, jak gdyby nigdy nic - ale miałem jej psa. Przyciskałem go do piersi i nawet przez kurtkę czułem bicie jego serca, tak jak kiedyś czułem bicie serca chomika Joego, gdy jeszcze żył.

- To mój pies - powiedziała, wyciągając rękę, jak klient w sklepie oczekujący na resztę.

- Trzymam go jako zakładnika - odparłem. Normalnie nigdy nie powiedziałbym czegoś takiego. Jakoś tak wyszło.

- O czym ty mówisz? - spytała zdziwiona. - To mój pies.

- To ty zawiadomiłaś policję o Franku - stwierdziłem. Do tej pory sobie tego nie uświadamiałem, ale nagle dotarło to do mnie.

- Można powiedzieć, że zrujnowałaś w ten sposób życie dwóch osób - wyjaśniłem.

- Chcę mojego psa - powtórzyła.

- Och tak - odparłem. Teraz, gdy już zacząłem, kontynuowałem swój wywód. Mówiłem jak Magnum PI.: - A jaką on ma dla ciebie wartość?

- Jeśli chcesz wiedzieć, to Jim jest rasowym shitsu z rodowodem. Kosztował czterysta dwadzieścia pięć dolarów, nie licząc dodatków. Ale nie o to chodzi. Oddaj mi go.

Dotąd, myśląc o Eleanor, zawsze koncentrowałem się na tym, jak bardzo była na mnie wściekła, że nie chciałem z nią uprawiać szalonego seksu, gdy ściągnęła przede mną majtki. Byłem na tyle głupi, że nie pomyślałem nawet o nagrodzie. Teraz - mniej więcej rok lub dwa po tym wszystkim - gdy wspomniała o swym piesku za czterysta dwadzieścia pięć dolarów, którego uratowałem, nagle to do mnie dotarło.

- Myślę, że osoba, która dostała dziesięć tysięcy dolarów, może sobie pozwolić na to, by wydać kilkaset na taką futrzaną kulkę - powiedziałem.

- Podarował mi go ojciec - odparła. - Zajmuje się nim, gdy ja jestem w szkole.

- Czyli jednak dostałaś się do wymarzonej szkoły - zauważyłem. Wciąż trzymałem w dłoniach jej pieska. Postanowiłem przyczepić się do jego imienia. - A może pies chciał popełnić samobójstwo z powodu imienia? Nie może dostać heroiny, więc doszedł do wniosku, że śmierć pod ciężarówką też jest dobrym wyjściem z tej sytuacji.

- Jesteś chory - odparła. - Nic dziwnego, że nie masz przyjaciół.

- Domyślam się, że masz to w nosie, ale mężczyzna, który został tamtego dnia aresztowany, był najlepszym człowiekiem, jakiego znałem - wyjaśniłem.

Powiedziałem to, by zwiększyć efekt, ale nagle zdałem sobie sprawę, że tak było naprawdę. Słyszając swe słowa, zrobiłem coś, czego nienawidzę. Rozpłakałem się.

Z pewnością był to dla niej doskonały moment, by określić mnie swym ulubionym słowem - frajer. Nie było już żadnej wątpliwości, że odzyska psa. Wtedy jeszcze nie byłem osobą, o której można było powiedzieć, że jest stanowcza.

A jednak nie ruszyła się. Stała przede mną na tych wysokich obcasach, z kapeluszem i ogromną torebką, która wyglądała tak, jakby pochodziła z magazynu dziwnych kostiumów. Zdawało mi się, że jest jeszcze chudsza, ale w płaszczu trudno było to ocenić. Pod oczami miała ciemne plamy, a jej usta były zaciśnięte. Nie wierzyłem już, by mogła z kimś uprawiać seks. Sprawiała wrażenie osoby, która nawet przy delikatnym dotknięciu może się rozlecieć.

- Nie wiedziałam - odparła. - Chciałam tylko, żeby coś się wydarzyło - dodała i też się rozplakała.

- No cóż, na pewno coś się wydarzyło - powiedziałem. Oddałem jej psa. Trzymałem go raptem przez minutę, a mimo to już zaczął lizać moją dłoń. Byłem pewien, że wolałby zostać ze mną. Nawet pies - a może przede wszystkim pies - wiedział, że Eleanor nie jest osobą, z którą chce się przebywać dłużej, niż jest to konieczne.

Po kilku latach zobaczyłem ją znowu, na imprezie, którą organizował jeden z moich szkolnych kolegów. Na szyi miała zawieszony malutki amulecik, w którym trzymała kokainę. Rozprowadziła ją na lusterku i wciągnęła. Kalka osób zrobiło to także, ja jednak trzymałem się od tego z daleka. Wciąż była chuda, ale nie tak jak wcześniej. Miała te same duże oczy z wielkimi białkami. Udawała, że mnie nie zna, ale wiedziałem, że pamięta, iż nie mam jej zupełnie nic do powiedzenia. Powiedziałem już wystarczająco dużo, nawet o wiele za dużo.

W przedostatnim roku szkoły poszedłem wreszcie z dziewczyną do łóżka. Mogłem to zrobić wcześniej, bo nadarzyła się okazja, tak jak wtedy z Eleanor, ale miałem staromodne przekonanie, że powinienem to zrobić z

dziewczyną, którą kocham i która kocha mnie. Tak jak Becky. Byliśmy razem w ostatniej klasie szkoły średniej i przez pół pierwszego roku na studiach, dopóki nie poznała chłopaka, w którym zakochała się na zabój, a później za niego wyszła. Przez pewien czas myślałem, że sobie z tym nie poradzę, ale oczywiście było inaczej. W wieku dziewiętnastu lat wiele rzeczy wydaje się innymi niż są naprawdę.

Matka wciąż sprzedawała MegaMite przez telefon, siedząc przy kuchennym stole. Wierzyła, że to właśnie codziennej porcji witamin zawdzięczam ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, mimo że ani ona, ani ojciec nie byli wysocy

- Jesteś najwyższą osobą, jaką znam - powiedziała mi kiedyś.

- Nie. Niezupełnie - poprawiła się. Oboje wiedzieliśmy, kogo ma na myśli, choć żadne z nas nie wymówiło jego imienia.

Jakiś czas po tym, gdy wyprowadziłem się z domu, matka znalazła coś, co być może Marjorie miała na myśli, mówiąc o normalnej pracy. Nie zarabiała więcej niż na sprzedaży witamin, ale dzięki temu w końcu wyszła z domu. Być może zmusił ją do tego fakt, że się wyprowadziłem.

W naszym miasteczku było centrum seniora; matka zaoferowała tam swe usługi jako nauczycielka tańca. Fokstrot, walc, tango, swing - wszystkie dawne tańce towarzyskie, choć biorąc pod uwagę proporcje kobiet i mężczyzn, wiele pań musiało w trakcie lekcji przyjąć rolę partnerów. Okazała się znakomitą nauczycielką. Dodatkowym plusem pracy w centrum seniora było to, że nie było tam dzieci.

Była tak lubiana przez swych uczniów, że wkrótce zaproponowano jej prowadzenie całego programu zajęć. Składały się na nie warsztaty rękodzielnicze, gry towarzyskie, czasem organizowała też zwariowane zabawy, w których

mogły brać udział nawet osoby na wózkach inwalidzkich. Praca z osobami w podeszłym wieku sprawiła, że matka odmłodziła. Czasem, gdy obserwowałem ją podczas demonstrowania jakiejś figury walca lub innego tańca - jak zwykle elegancko, nigdy nie straciła figury - widziałem na jej twarzy ten sam uśmiech, który pamiętałem z tamtych dni, gdy miałem trzynaście lat. Z tamtego długiego weekendu Świąta Pracy, gdy mieszkał z nami Frank Chambers.

## Rozdział dwudziesty drugi

Minęło osiemnaście lat. Miałem trzydzieści jeden lat, łysiałem albo dopiero zaczynałem łysieć i mieszkałem w stanie Nowy Jork z moją dziewczyną, Amelią, którą wkrótce zamierzałem poślubić. Wynajmowaliśmy mały domek z widokiem na rzekę Hudson. Domek nie był osłonięty od wiatru, więc gdy zimą zawiąło od strony rzeki, jedynym sposobem na ogrzanie się było rozpalenie ognia w kominku i tulenie się do siebie pod kocem.

- Nie widzę w tym nic złego - mawiała Amelia. - Jeśli nie chcesz dotykać ludzi, dlaczego w ogóle miałbyś chcieć się z nimi zadawać?

To było szczęśliwe życie. Amelia była przedszkolanką i grała na bandžo w bluegrassowym zespole, w którego skład - ku mojemu zdziwieniu - wchodził również mój przyrodni brat Richard, grający na kontrabasie. Cztery lata wcześniej skończyłem szkołę gastronomiczną i pracowałem jako cukiernik w znajdującej się w pobliskim miasteczku restauracji, która - o dziwo - skupiała ostatnio na sobie dużą uwagę. Tego lata wybieraliśmy się do New Hampshire, gdzie miał się odbyć nasz ślub - tylko nasze rodziny i kilkunastu przyjaciół.

Poprzedniego lata restaurację odwiedziła dziennikarka z Nowego Jorku pracująca dla jakiegoś ekskluzywnego czasopisma kulinarnego. Pismo najwyraźniej specjalizowało się w artykułach na temat przyjęć organizowanych w jabłkowych sadach, gdzieś na wyspie w stanie Maine lub na brzegu jeziora w Montanie, gdzie gospodarze sami łowią ryby, a jest z nimi dziesięciu znajomych, dobrze ubranych, przystojnych i pięknych oraz na tyle fajnych, że wpadli odwiedzić ich tutaj i zjeść coś przy drewnianym stole ustawionym na brzegu rwącego strumienia, w którym złowiono pyszne pstrągi.

Chodziło głównie o to, by pokazać piękne zdjęcia wyjątkowych potraw przygotowanych z ekologicznie wyhodowanych warzyw i owoców lub takich, które jakaś praprababcia, jakiej nikt nigdy nie miał, mogłaby przyrządzić w swym opalanym drewnem piecu, mimo że ludzie na zdjęciach nie wyglądali ani na krewnych, których mógłbym mieć, ani na kogoś, kto wiezie życie w jakikolwiek sposób związane z ekologicznym rolnictwem czy uprawą czegokolwiek.

Ta właśnie dziennikarka usłyszała o restauracji, w której ja zajmowałem się deserami, i przyjechała nas odwiedzić. Potrawą, którą zdecydowała się umieścić w czasopiśmie - ze zdjęciem na całą stronę - był mój malinowo - brzoskwiniowy placek.

Część przepisu wymyśliłem sam. Na przykład karmelizowany imbir dodany do nadzienia. Świeże maliny. Samo ciasto było jednak według przepisu Franka. A raczej, jak wyjaśniłem w artykule, według przepisu jego babci. Tak samo jak wybór pomiędzy tapioką a mąką kukurydzianą, żeby ciasto było grubsze lub cieńsze.

Na stronach pisma „Nouveau Gourmet” nie wyjaśniałem dokładnie okoliczności, w których nauczyłem się wypieku tego ciasta. Zdradziłem jedynie, że przepis pochodzi od mojego przyjaciela, który z kolei otrzymał go do swej babci prowadzącej farmę, gdzie dorastał. I że miałem wtedy trzynaście lat, a zachętą do upieczenia ciasta był koszt świeżych brzoskwiń, który dostaliśmy w niezwykle upalny dzień.

- Bardzo ważne jest, by składniki były odpowiednio schłodzone - powiedziałem. - Poza tym zawsze łatwiej dodać trochę wody, niż ją odjąć. I nie ugniatajcie ciasta zbyt długo.

- Drogi sprzęt, który oferują rozmaite katalogi, jest zupełnie niepotrzebny. Nasze dłonie w zupełności wystarczą.

O układaniu górnej warstwy ciasta na owocowym nadzieniu powiedziałem: - To jest część całego procesu, kiedy cukiernik za każdym razem wybiera się w nieznane. Nigdy nie wolno pozwolić sobie nawet na chwilę zawahania. Wrzucenie ciasta na górę jest przede wszystkim kwestią wiary. Tak jak skok z okna - może dwanaście godzin po operacji usunięcia wyrostka robaczkowego - i wiara, że uda się spaść na dwie nogi.

Artykuł ukazał się w czasopiśmie, a wkrótce potem zostałem zaproszony do porannego programu w lokalnej telewizji w Syracuse, gdzie jako Kucharz Tygodnia miałem zaprezentować własną technikę wypieku ciasta. Od czytelników czasopisma, a później także od widzów programu telewizyjnego otrzymałem mnóstwo listów z pytaniami. Najwyraźniej każdy miał jakiś problem podczas przygotowywania tego ciasta. Nie znam innej potrawy która wyzwalaby większe emocje, a nawet pasję, niż najważniejszy z deserów - ciasto.

Tak jak kiedyś ostrzegał mnie Frank, największe kontrowersje wywołał problem wyboru odpowiedniego tłuszczu. Jedna z kobiet, która przeczytała w piśmie, że używam smalca i masła, napisała do mnie, przedstawiając wszystkie złe strony użycia smalca. Inna w równie zdecydowany sposób protestowała przeciwko użyciu masła.

Tymczasem restauracja Molly's Table radziła sobie lepiej niż kiedykolwiek. Zainwestowaliśmy z Amelią trochę pieniędzy w dom i przy okazji wstawiłem porządne okiennice. Właścicielka restauracji, Molly, wynajęła mnie do prowadzenia cukierni, w której szefowałem pięcioosobowej grupie zajmującej się wypiekiem ciast według przepisów Franka.

Niespełna rok po ukazaniu się artykułu w „Nouveau Gourmet” otrzymałem list z nieznanym mi znacznikiem



pocztowym. Miejsce nadania znajdowało się gdzieś w stanie Idaho. Koperta opisana była ołówkiem, a adres zwrotny składał się z ciągu cyfr, bez żadnego nazwiska.

W kopercie był list napisany na papierze w linie odręcznym pismem, starannym i ładnym, ale także bardzo drobnym, jakby autor z konieczności oszczędzał papier, co zresztą było prawdą.

Usiadłem z wrażenia, bo zakręciło mi się w głowie. Powiew zimnego powietrza, gdy otwiera się drzwi w zimowy dzień, lub fala gorąca, gdy otwierasz piekarnik i sprawdzasz - cóż by innego? - ciasto. W jednej chwili wszystko do mnie wróciło.

Minęły niemal dwie dekady, a ja wciąż dobrze pamiętałem jego twarz, tak jakby stało się to właśnie przed chwilą - spotkanie przy półce z gazetami w Pricemarcie: wyraźnie zarysowana szczeka, policzki, sposób, w jaki na mnie patrzył niebieskimi oczami. Znów byłem chłopcem, który bardzo chciał zobaczyć, co znajduje się wewnątrz zafoliowanego wydania „Playboya” z 1987 roku, ale musiał się zadowolić książką z łamigłówkami. Widzę go teraz, jak pochylał się nade mną tamtego dnia - wysoki mężczyzna o wielkich dłoniach i niewiarygodnie niskim głósie. Ale już w chwili, kiedy go poznałem, wiedziałem, że jest człowiekiem, któremu mogę zaufać. Nawet w chwilach złości i strachu, że może zabrać moją matkę i zostawić mnie samego z ojcem, poczucie, że jest szczerzy i uczciwy, nigdy mnie nie opuściło.

Od niemal dwudziestu lat nic o nim nie słyszałem i gdy wyjmowałem list z koperty - pojedynczą kartkę - miałem podobne przeczucie jak wówczas, gdy siedziałem na tylnym siedzeniu samochodu i wraz z matką wieźliśmy go z Pricemartu do naszego domu. Przeczucie, że moje życie znów w jakiś sposób się zmieni. Wkrótce świat miał być inny. Za

pierwszym razem była to dobra wiadomość. Teraz miałem pewne obawy.

Siedząc na stole w restauracyjnej kuchni, wśród noży, misek, piekarnika Viking i dębowej deski do krojenia, słyszałem jego niski głos mówiący do mnie:

Drogi Henry,

Mam nadzieję, że mnie pamiętasz. Choć być może dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdybyś zapomniał. Wiele lat temu spędziliśmy razem weekend Święta Pracy. Sześć najlepszych dni mojego życia.

Czasami, pisał, życzliwi ludzie oddają do więziennej biblioteki stare kolorowe czasopisma. Właśnie w taki sposób w jego ręce wpadło to, w którym był artykuł o mnie i o ciastach. Przede wszystkim chciał mi gorąco pogratulować ukończenia szkoły gastronomicznej. On sam zawsze lubił gotować, ale, jak pewnie pamiętam, jego specjalnością było pieczenie ciast. Ponadto, jeśli chciałbym usłyszeć kilka rad w kwestii pieczenia ciasteczek i herbatników, to bardzo chętnie mógł mi ich udzielić

Był bardzo dumny, że zrobiłem użytek z wiedzy którą przekazał mi tyle lat temu.

Gdy człowiek się starzeje, miło jest pomyśleć, że można było podzielić się z kimś częścią swej wiedzy i umiejętności. W moim przypadku jednak, biorąc pod uwagę to, że nie mam dzieci, a większość czasu spędziłem w więzieniu, możliwości podzielenia się wiedzą z kimś młodym były bardzo ograniczone. Pamiętam jednak kilka interesujących sesji treningowych, podczas których ćwiczyliśmy rzucanie i łapanie piłki, a Ty okazywałaś więcej talentu, niż początkowo przypuszczałem.

W dalszej części listu zwracał się do mnie z pytaniem. Nie chciał burzyć spokoju mojego ani mojej rodziny nie chciał też wprowadzać zamieszania, jakim niewątpliwie była nasza

krótka znajomość. Pisał do mnie, a nie do osoby, której pytanie bezpośrednio dotyczyło, ponieważ za żadne skarby nie chciał już nigdy więcej skrzywdzić tej osoby. Nie chciał dawać jej żadnego powodu do najmniejszego choćby smutku.

Zrozumiem, jeśli nie odpiszesz na ten list. Cisza z Twojej strony będzie dla mnie wystarczającym sygnałem, by zaprzestać poszukiwania jakiegokolwiek kontaktu.

Wkrótce miał zostać warunkowo wypuszczony na wolność. Oczywiście zdążył się przez te wszystkie lata zastanowić, co będzie wtedy robił. Nie był już młody - niedawno obchodził pięćdziesiąte ósme urodziny - mimo to cieszył się dobrym zdrowiem i miał wiele zapału do pracy. Wierzył, że uda mu się zatrudnić jako złota rączka, malarz pokojowy lub na farmie, tak jak w młodzieńczych latach. To i czas spędzony z nami były jego najlepszymi wspomnieniami.

Pisał, że nieustannie nawiedza go jedna myśl. Może poczuje ulgę, jeśli napiszę mu, że to głupi i szalony pomysł, ale wciąż myśli o mojej matce. Przypuszczał, że może ponownie wyszła za mąż i mieszka teraz z mężem gdzieś z dala od miasteczka, w którym się spotkali. Jeśli tak - jeśli była szczęśliwa i zdrowa - ucieszyłyby się z takiej wiadomości. Nie nachodziłby jej i w żaden sposób nie chciałby zburzyć jej życia, które spokojnie wiodła. Pisał, że moja matka jest osobą, która zasługuje na szczęście.

Ale jeśli wciąż jest samotna, chciałbym zapytać Cię o to, czy mogę napisać do niej list. Przysięgam, prędzej obciąłbym sobie dłoń, niż w jakikolwiek sposób sprowadził smutek na Adele.

Na końcu napisał mi swój adres oraz datę wyjścia na wolność. Podpisał się Szczerze oddany, Frank Chambers.

Oto był człowiek, który, gdy miałem trzynaście lat, ufał mi, że go nie zdradzę, a ja to zrobiłem. Moje działania w ciągu

tych kilku dni obrabowały go z życia - z osiemnastu lat życia - które mógł spędzić z moją matką. Z kobietą, która go kochała.

Oczywiście matkę także zdradziłem. Tych pięć nocy, które ona i Frank spędzili razem, były jedynymi nocami w ciągu dwudziestu lat, które spędziła z mężczyzną. Wtedy myślałem, że nie ma nic gorszego niż leżenie w ciemności i słuchanie tego, co oboje robią w łóżku. Później jednak przekonałem się, że zdecydowanie gorsza była cisza dochodząca zza ściany.

W swym liście Frank nie wspomniał o roli, jaką odegrałem w sprowadzeniu policji do naszego domu. Nie wspominał też o tym, że matka chciała powiedzieć władzom, iż nie wiązał nas wbrew naszej woli. Pisał tylko o jednym: o chęci zobaczenia się z nią, jeśli tylko ona wyrazi na to zgodę.

Odpisałem mu jeszcze tego samego dnia, że zlokalizowanie mojej matki nie będzie trudne, a jeszcze łatwiejsze będzie znalezienie dla niego miejsca w jej sercu. Wciąż bowiem mieszkała pod tym samym adresem.

## Rozdział dwudziesty trzeci

- Seks to narkotyk - powiedziała mi kiedyś Eleanor. - Gdy w grę wchodzi seks, ludzie tracą rozum. Robią rzeczy, których w innej sytuacji nigdy by nie zrobili. Rzeczy, które robią, mogą być szalone. Może nawet niebezpieczne. Mogą łamać serca sobie lub innym.

Dla Eleanor i być może dla mnie w wieku trzynastu lat - leżącego na wąskim łóżku, przyciskającego się do ściany, za którą stało łóżko mojej matki, a w nim ona i Frank kochający się - to, co wydarzyło się w domu podczas tamtego długiego weekendu, sprowadzało się jedynie do seksu. Dla mnie tamtego lata wszystko w taki czy inny sposób sprowadzało się do seksu, choć gdy w końcu nadarzyła się okazja, by doświadczyć tego na własnej skórze - spróbować tego narkotyku - zrezygnowałem z niej.

Prawdziwym narkotykiem, w który zacząłem wierzyć, była miłość. Wyjątkowa miłość, której w żaden sposób nie dało się wytłumaczyć. Mężczyzna wyskoczył z okna na drugim piętrze i krwawiąc, uciekł, by ukryć się w supermarkecie. Kobieta zabrała go do swego domu. Byli parą ludzi, którzy nie mogli pokazać się światu, dlatego w żółtym domu o zbyt cienkich ścianach sami dla siebie byli całym światem. Przez niespełna sześć dni żyli nadzieją na wspólne życie. Potem ona przez osiemnaście lat czekała na moment, w którym on będzie mógł do niej wrócić. I w końcu wrócił.

W związku z jego statusem byłego więźnia emigracja do Kanady nie była możliwa, dlatego przeprowadzili się tak blisko granicy, jak to było możliwe. Do stanu Maine. Z Nowego Jorku to kawał drogi, a podróż z małym dzieckiem nie jest sprawą łatwą. Mimo to jeździmy tam częściej, niż moglibyście przypuszczać.

Gdy nasza córeczka płacze, zatrzymujemy się na poboczu, odpinamy jej pasy bezpieczeństwa i nosimy na rękach.

Czasem miejsce, w którym się zatrzymujemy, nie jest zbyt wygodne. Najczęściej jest to międzystanowa autostrada. Czasem na przykład dwadzieścia minut drogi od ich domu - wystarczająco blisko, by można było powiedzieć, że nie warto się już zatrzymywać.

Zawsze jednak zatrzymuję się, by uspokoić naszą córeczkę. By ktoś z nas ją uspokoił. Jeśli mijają nas wielkie ciężarówki, odchodzimy kawałek od drogi, gdzie hałas jest nieco mniejszy. Ewentualnie zasłaniam dłońmi jej uszy. Jeśli przy drodze jest trawa, kładę się i trzymam dziecko na nagiej piersi, a zimą chowam ją pod kurtkę lub kładę kawałek śniegu na język. Gdy jest noc, przez chwilę wpatrujemy się w gwiazdy. Doszedłem do wniosku, że dziecko - mimo że nie zna jeszcze słów, nie ma informacji i nie zna zasad życia - jest najbardziej godnym zaufania sędzią uczuć. Wszystko, czym dziecko może ocenić świat, to jego pięć zmysłów. Trzymam je na rękach, śpiewam, pokazuję nocne niebo, powiewający na wietrze liść lub robaka. To jest sposób, jedyny sposób, w jaki może poznać świat, niezależnie od tego, czy jest to bezpieczne i urocze miejsce, czy nie.

Tym, co w końcu odkryje, będzie fakt, iż nie jest na świecie sama. A z własnego doświadczenia wiem, że jeśli podejść do tego w ten sposób - powoli, z odpowiednią uwagą, postępując zgodnie z prostym instynktem miłości - reakcja będzie pozytywna. Generalnie sprawdza się to z dziećmi, a być może i z większością ludzi. Również z psami. A nawet chomikami. I ludźmi tak bardzo doświadczonymi przez życie, że można by rzec, iż nie ma dla nich żadnej nadziei.

Właśnie dlatego mówię do niej. Czasem tańczymy. Gdy oddech naszej córeczki znowu jest spokojny i równomierny - może zasnęła, może nie - przypinamy ją pasem do fotelika i kontynuujemy podróż na północ. Niezależnie od pory dnia, kiedy wjedziemy na polną drogę prowadzącą do ich domu,

wiem że światła zawsze będą zapalone, a drzwi otwarte, zanim tam dojedziemy. Matka stoi na progu, a Frank tuż obok niej.

- Przywieźliście dzieciątko - mówi moja matka.

## Podziękowania

Najgłębsze ukłony kieruję w stronę Kolonii MacDowell - i wszystkich, którzy sprawili, że było to możliwe - za zapewnienie najbardziej przyjaznego środowiska, jakiego może oczekiwać kolonia artystów, a także w stronę artystów, z którymi dzieliłam tam rezydencję, oraz Korporacji Yaddo, gdzie wszechobecne zamiłowanie do pracy stanowiło dla mnie znakomitą motywację.

Bardzo wiele zawdzięczam Judi Farkas, która zachęcała mnie do pracy i przekazała mój rękopis osobie, która okazała mi nie tylko entuzjazm i wiarę, ale też wspaniałą pomoc wydawniczą - mojemu agentowi Davidowi Kuhnowi. Wyrazy szacunku i uznania również dla Jennifer Brehl z wydawnictwa William Morrow - posiadaczki idealnego słuchu i czułego serca o wyjątkowych rozmiarach. Z wielu innych osób z wydawnictwa William Morrow, które przyczyniły się do wydania tej książki - każdy zasługuje na wielkie podziękowania - chciałbym wyróżnić niezrównaną Lisę Gallagher. Autor ma wielkie szczęście, jeśli ma okazję współpracować z Lisą.

Nie mogę sobie wyobrazić pisarskiego życia bez rodziny i przyjaciół, w tym także tych - wielu znanych mi jedynie z listów - którzy są moimi czytelnikami. Każdą historię opowiadam z myślą o was.

W świętowaniu po zakończeniu prac nad tą książką towarzyszyła mi moja pierworodna córka Audrey Bethel, wspinając się ze mną w dniu Święta Pracy na moją ulubioną górę Monadnock. Na koniec chciałabym szczególnie podziękować człowiekowi, którego wiara i wsparcie nigdy nie zachwiały się w trakcie długich dwunastu lat: Davidowi Schaffowi.